Lipiec — 1856.

SZACHY
W POLSZCZE.

„... Miecza nie trzeba ni zbroje,
„Ani pancerzów, ani arkabuzów:
„Ta walka czyście może być bez guzów,
„Ktemu wyjeżdżać nie potrzeba w pole
„Wszystka się sprawa ogląda na stole.
Jan Kochanowski.

Najtwardsi filologowie i gramatycy łamią sobie napróżno głowy nad utworzeniem jakiegoś abecadła i języka, który mogąc być wspólnym wszystkim narodom, stałby się najsilniejszą spójnią i pośrednikiem między bracią już od czasów babilońskiéj wieży na cztéry wiatry rozstrzeloną, a zapominają zupełnie o tém: że posiadamy już od wieków książkę, abecadło i język, co jest dla wszystkich prawie narodów Europy, Azyi i Ameryki zarówno zrozumiałym. Ta *książka* jest czworokątna na 64 dwubarwnych pól podzielona Szachownica, tém *abecadłem* o 32 głoskach, są figurki znane pod imieniem: króla, królowéj, popka, konika, wieży i chłopków, *tym językiem* są wyrazy przy owéj grze używane;

Wszakże duma nad nią i żółty mieszkaniec Malabaru (wpatrując się w jéj figury z niemniejszem zajęciem jak w tajemnicze postacie podziemnych grot Ellory), i czarny jak węgiel dworzanin niezwyciężonego cesarza Faustyna I na Hajti, i kasztanowaty mędrzec półwyspu Malakki. Wlepia w szachownicę wązkie swe i ukośne schodzące się oczy, przy ruinach porcelanowéj wieży niezrównany Mandaryn *Su-fu-tcheu-lin-kiang-tse*; zabawia Szachami w roskosznym kiosku, perłę swego serca, perski Mirza w Astrabadzie; szachami skraca sobie wędrujący Arab godziny spieki pod namiotem na puszczy, szachami zapełnia nie jednę chwilę sześciomiesięcznéj swéj zimy, oblężony od śniegów i lodów Iślandczyk. Głęboki filozof Jeny i Gettyngi, który ma wszystkich tamtych za niedowarzonych głupców lub barbarzyńców ślęczy przecież do północy nad rozwiązaniem szachowéj zagadki. A cóż to robi owe grono w świetnym paryskim salonie? Istna milcząca szkoła Pitagoresa, ku jednéj pochylona stronie jak wierzby świętéj Heleny — Czy to akademia umiejętności, czy to kongres wiecznego pokoju? — Widzę tam i senatorów i dyplomatów i członków ciała prawodawczego i instytutu, wodzów, admirałów, bankierów, artystów i adwokatów, lekarzy i inżynierów. Czy chodzi o zbadanie południowego bieguna lub wnętrza Afryki, o plan nowéj kampanii do któréj potrzeba dwóch rzadkich dziś rzeczy: człowieka i pieniędzy? Bynajmniéj to Béj z Tunis wyzwał na trzy rozprawy klub szachowy paryski, chodzi więc o honor narodowy, o nowe zwycięztwo cywilizacyi nad barbarzyństwem; jest to nowa bitwa pod Tours, a Karolem Martelem będzie każdy co wymyśli dowcipne i stanowcze pociągnienie.

Cóżto za ruch niezwyczajny telegrafu elektrycznego między Londynem a Amsterdamem? Lądem i pod morzem leci prąd cudowny — Zapewne to nowa jakaś olbrzymia

pożyczka ze strony najbogatszego w świecie narodu, a może traktat handlowy, za pomocą którego będziemy mogli mieć darmo to, co nas dotąd tyle kosztuje?

A, już zgadłem! pewnie Ameryka zdała się na pośrednictwo Hollandyi w swych zatargach z Anglią!... Bynajmniéj! Król szachowy londyński toczy walkę z klubem amsterdamskim i za każdym podskokiem królowéj lub wierzgnięciem konika nad Tamizą lub nad Y, zbiera się poważne towarzystwo, czyta pomału depeszę, kiwa głowami, zażywa tabakę, zasępia czoła lub przekrzywia złośliwie usta i zasiada pod prezydencyą jakiejś osiwiałéj w podobnych walkach głowy, aby uradzić większością głosów śmiertelny cios dla chytrego przeciwnika! Nie tyle chodzi o ów mizerny zakład tysiąca funtów szterlingów, jak o dowód, czy Wielka Brytania ze wszystkiemi swemi koloniami słabszą jest w drewnianych figurkach jak w drewnianych okrętach.

A cóżto za śmiały i niezmordowany szermierz, co przejeżdża się z jednéj stolicy do drugiéj: z Lizbony do Sztokolmu, z Neapolu do Edynburga i Nowego Jorku i wyzywa wszędzie do walki? — Jestże to może jeszcze ostatni z rycerzów *okrągłego stołu króla Artusa* lub z *Paladynów Karola Wielkiego*? Gdzież jest hełm i długa kopija, gdzie giermek lutnista i rumak rwiący ziemię kopytem? — Cicho!.. on zasiada najspokojniéj w czarnym fraku i żółtych rękawiczkach do stolika nie koniecznie okrągłego, naprzeciw najdzielniejszego miejscowego szachmistrza, a otaczają ich jak niegdyś przy turniejach, liczni widzowie wyciągając szyje, wstrzymując oddech, mrugając tylko czasem między sobą, a każdy zły pociąg ich szermierza jest pchnięciem sztyletu w pięćdziesiąt serc naraz. Okropne słowo „*Mat!*“ z ust owego strasznego gościa wypadłe, brzmi dla nich nierównie przeraźliwiéj jak trąba Archanioła na sądzie ostatecznym. — I zaraz we wszystkich dziennikach (któ-

rych nie mało jest dziś wyłącznie szachom poświęconych) ([1]), rozpisują się nad tem zwycięztwem, rozbierają anatomicznie wszystkie możliwości i prawdopodobieństwa i wykładają dla Europy i Ameryki obustronne stanowisko i pociągi. —

Zanic Alma i Inkermann. — A jeżeli ktoś wymyśli nowy sposób, nowe rozwiązanie: co za wrzawa od ujścia Tagu do ujścia Torneo, — co za tryumf, co za żywioł dla wszystkich illustrowanych dzienników, gdzie znajdziesz często same nawet rysy owego nowego Kolumba, i przekonasz się naocznie czy łysy, czy nosi wąsy i brodę itp.

Nie mniejszą sprawił w XVIII wieku rewolucyą *Filidor* (Philidor) przez swój *System pionkowy* jak w naszém stuleciu *kapitan Evans swoim gambitem od popka krolowéj!* Co znaczy nakoniec ten długi szereg rękopismów i dzieł, broszur i pism ulotnych osobno najporządniéj uszykowanych i tworzących, widać odrębny jakiś księgozbiór? Są tu dzieła we wszystkich językach we wszystkich krajach drukowane; postrzegam nie mało rękopisów greckich, książek hebrajskich, arabskich, hiszpańskich, hollenderskich przeszło 20, łacińskich co niemiara, włoskich blisko 40, tyleż angielskich, nierównie więcéj francuzkich, a niemieckich oczywiście do 80, słowem razem około 300, a wszystkie poświęcone jedynie, początkom historyi, literaturze lub prawidłom szachowym. — Lecz to jeszcze jakaś bardzo niezupełna biblioteczka, kiedy czytam w berlińskiéj gazecie Spennera z lutego 1839, że jakiś pan Alliey burmistrz francuzki w Ardèche zamierza ogłosić nową *Bibliografię szachową*, gdzie rozbierze do koszuli 412 szachowych autorów, a przytoczy 326, co w różnych dziełach o téj grze wspomnieli!... Nie wiem jednak czy przyszła do skutku tak olbrzymia a pożyteczna praca?...

---

[1]) We Francyi: *Le Palamède* od r. 1836 wychodzący, w Anglii: *Chess Chronicle* i t. p.

Przechodząc wszakże i bez jego pomocy nowsze o szachach dzieła, widzę że nie jeden uczony umieścił je w rzędzie *umiejętności* ([2]), że najsławniejsi matematycy obliczali skoki konika na Szachownicy ([3]) lub wszystkie możliwe w tej grze kombinacye, których mnogość da się wyrazić tylko liczbą złożoną z 88 cyfr wynoszącą 1124 *Kwatuordecilionów* ([4]) — Czytam słowa Fryderyka II króla pruskiego: że jest „*więcéj jak grą, a mniéj jak zatrudnieniem i że niema lepszego nad nią obrazu strategicznych ruchów.*"

To też pewnie dla tego była ulubioną rozrywką wielu najgłośniejszych wodzów i bohatérów, zacząwszy na Wschodzie od perskiego *Chozru Nuszirwana* († 576) co miał szachy zrobione z hiacyntu i szmaragdu, aż do tatarskiego *Tamerlana* († 1405) który nawet miasto nad Jaxartem założone nazwał *Szachrochią*, a znajdując zwykłą szachownicę równie za małą dla siebie jak świat, rozprzestrzenił ją do 132 pól. Na Zachodzie od *Wilhelma Zdobywcy* († 1087) do *Jana Austryjackiego* zwycięz-

---

[2]) N. p. *Leibnitz*, które pisze (Obacz dzieł jego (1710) T. 5. st. 204) „Maximae scientiae substant ludi; qui unice *arti* eventum, nihil *casui* debent, in quibus haud dubie eminet ludus Scachicus."

[3]) Naprzykład Leonard Euler — Obacz zresztą dziełko: *Solution du Problème du Cavalier au jeu des èchecs par M. C.* (Mannheim 1773—8vo) lub: *Warnsdorfa*: Des Rösselsprungs einfachste und allgemeinste Lösung. Schmalkalden 1823. 4to z 96 litografowanemi tablicami.

[4]) Dla dania o tém lepszego wyobrażenia powiedziano że: gdyby ziemia nasza składała się z najdrobniejszych ziarnek piasku, to licząc ich tylko 8000 na jednę kubiczną linię, mieściłaby ich w sobie przeszło 750 kwintylionów. Wystawmy więc sobie że każde z tych ziarnek jest tak wielkie jak nasza ziemia i odliczmy na każde tyle partyi szachów, ile zdołaliby ich odegrać wszyscy ludzie, co żyli od początku świata, grając dzień i noc bez przestanku parami jednę tylko partyą przez pół godziny, to otrzymamy 55,927 bilionów partyj, a przecież ta summa nie wyrównałaby jeszcze ilości możliwych kombinacyj.

cy pod Lepantem (1571), który grał w Szachy żywemi osobami, do Karola XII († 1718) co zabawiał się szachami w dobrowolnéj swéj niewoli w Benderze, i aż do Napoleona I, który osładzał niemi nie koniecznie dobrowolne więzienie na ś. Helenie.

Gdybyśmy pisali historyą téj gry, tobyśmy wiele mieli do powiedzenia! Jle tu zajmujących, charakterystycznych rysów z różnych czasów i narodowości, ile powieści bądź wesołych, bądź przerażających, ile wspomnień dziejowych przywiązanych do tych stojących naprzeciwko siebie czterech szeregów jasnych i ciemnych figurek! Wieki średnie upatrywały w téj grze żywy obraz ludzkiego społeczeństwa, ideę państwa, i tysiączne z niéj wyprowadzały morały i nauki ([5]), późniéj przepisywano ją dla wojskowych jako uzupełnienie taktycznych wiadomości, chciano ją uprawiać po akademiach i domach wychowania dla rozwinięcia w młodych umysłach rozwagi, przezorności, zimnéj krwi, cierpliwości i praktycznego poglądu na rzeczy, dla zaostrzenia dowcipu i pamięci.

Nie jest wszelako naszym zamiarem zapuszczać się tak daleko i ograniczymy się na tém, co może posłużyć do wyjaśnienia, zkąd, jakiemi drogami i kiedy dostała się ta gra do Polski, co o niéj u nas rozumiano i pisano, a przy tém sprostować nie jedno mylne w téj mierze zdanie.

A najprzód wielu mniemało że znaną była już od Greków i Rzymian i że owa gra *petteja* (pessi) u pierw-

---

[5]) Napisał n. p. w XI wieku pewien mnich anglo-saski poemat pod tytułem *Moralizatio Scaccarii* a myśl tę późniéj nie raz naśladowano. Biblioteka Jagiellońska w Krakowie posiada dwa rękopisma dzieła dominikana francuzkiego *Jakuba de Cessolis* (Thesolis) z roku mniéj więcéj 1290 *Liber de moribus hominum et officiis nobilium super ludo Scacchorum*, — które na wszystkie języki tłumaczono, a późniéj w 1473 drukiem ogłoszono. Widać ze wstępu że autor brał Szachy nawet za temat do swych kazań!

szych, a *ludus latrunculorum* (latrunculi) u drugich, były mniéj więcéj dzisiejszemi szachami.

Mylność tego domysłu wykazali zwycięzko z klasycznych i wschodnich autorów sławny angielski orientalista i nauczyciel Oksfordski *Tomasz Hyde* [6]) i *Leibnitz* [7]). Musimy więc zaraz wytknąć błąd Szymona Starowolskiego, kiedy wspomina poemat Kochanowskiego „Szachy“ pod imieniem *Latrunculi* [8]) co było może i dla wybornego zresztą tłumacza dzieł *Seneki* księdza Dawida Pilchowskiego powodem, że wszędzie wyraz *Latrunculi*, *Ludus latrunculorum*, (właśnie *gra żołnierska*, *gra w łotrzyki*) oddaje przez słowo *Szachy* [9]).

Nie podpada najmniejszéj wątpliwości, że okolice górnego Indu są ich kolebką. Pierwotna ich nazwa u wschodnich narodów *Schanthrandsch* oznacza w Sanskryckim języku wojsko złożone z czterech głównych części, to jest: ze *Słoniów*, *konnych*, *dromaderów* i *pieszych*, którym przewodzi sam *Król* mający przy boku *Wezyra*. Figury te są zatem *hieroglifami* ówczesnych rodzajów broni, a cała gra obrazem indyjskiego sposobu wojowania. *Słonie* są dzisiejszemi *giermkami* (czyli popkami) *koniki* przedstawiają jazdę, *wieże* stoją zamiast *dromaderów* (*Roków*, zkąd nazwa *rokowania*) a lud pieszy jest dziś *chłopkami*. Przechodząc od Indian do Persów

---

[6]) Mandragorias seu de ludis orientalibus. Oxonii 1694.

[7]) Annotatio de quibusdam ludis & Miscellanea Berlinensia. Berlin 1710. str. 22-26.

[8]) Scriptorum polonicorum Ekatontas Venetiis 1627 str. 75.

[9]) W dziele: *O pokoju duszy* (Wilno 1771 str. 323). Kiedy pisząc o Kaniuszu na śmierć skazanym mówi: „Grał właśnie podtenczas w *Szachy*“ *W listach Seneki*. (Wilno 1781 t. 4. str. 120). „Ten który do domu swego ogniem płonącego bieży, pewnie nie „rozpatruje się w *Szachach* jak mu się bierka uda.“ W nocie zaś robi mylny wniosek. „Znać *że ta gra* w częstem była używaniu u „Rzymian“ … . Zapewne że była jako *Latrunculi* ale nie jako *Szachy*.

i Arabów przybrała ta gra nazwę *Szachów* od tytułu monarchów wschodu i naczelników arabskich (schek, scheik) bo całem w niéj zadaniem jest pojmanie przeciwnego króla, a nawet wyraz przytém używany: *Schach mat* oznacza w perskim języku, że król jest bezwładnym i ostatecznie osłabionym. Wezyr przeistoczył się dopiero w średniowiecznych rycerskich czasach na *Królowę*, bo prócz powszechnéj czci dla kobiet, widziano je istotnie nieraz przewodzące w walkach przy boku swych mężów, a zresztą kobiety trzymają, jak wiadomo, już od początku cały świat *w ustawicznym Szachu* — niebyłoby więc bez królowéj doskonałego obrazu społeczeństwa jaki w téj grze upatrywano: a tak z *Fersa* zrobiła się zrazu *Fierce*, *Vièrge* wreszcie *Reine*. Znała dobrze wszystkie zwyczaje Greków i Rzymian sławna Anna Komnena córka bizantyńskiego cesarza Aleksego Komnena (1081-1118), a przecież pisze w jego życiu [10]) ze ta gra: *Zatrikión* dostała się do Carogrodu od Arabów (Assyryjczyków).

Według niezaprzeczonych, a krytycznie zebranych świadectw, przybyły Szachy z Indyi do *Persyi*, dopiero w połowie VI wieku za króla *Chozru Waszirwana* († 576) a współcześnie do *Chin* za Cesarza *Wu-ti* (537) gdzie nazywają ich *grą słonia*. Od Persów przyjęli ją *Arabowie*, gdy w r. 648 podbili piękny *Iran*, a że niebawem stali się panami całéj zachodniéj Azyi i północnéj Afryki, nakoniec od r. 711-720 i Hiszpanii, więc podali ją z jednéj strony *Grekom bizantynom*, z drugiéj *Hiszpanom* i nadmorskim ludom: *Włochom*, *Normanom*, *Francuzom*, którzy znów obznajomili z nią *Anglossasów Niemców* i *północne Europy ludy*. Nowsze badania wykazały mylność twierdzenia Wielanda i Frereta, jakoby dopiero

---

[10]) Obacz śkriptoroc bizantini. Venetus. Alexias Księga XII, str. 285.

wyprawy krzyżowe dały poznać tę grę Europie, bo już około r. 1000 znajdujemy ją w różnych krajach.

Nie można atoli zaprzeczyć, że te religijne wyprawy, z któremi cisnęli się na Wschód rycerze ze wszystkich części Europy od r. 1096 do 1270, przyczyniły się znacznie do jéj rozpowszechnienia, a wiadomo że w 1153 wyprawił się na krucyatę także z Polski czwarty syn Bolesława Krzywoustego Henryk książe Sandomirski. Większe jeszcze rozkrzewienie Szachów spowodował u nas zapewne Zakon Krzyżacki w 1225 od ks. Konrada Mazowieckiego do ziemi Chełmińskiéj i Dobrzyńskiéj sprowadzony a składający się z mięszaniny wszystkich narodów od dawna w téj grze zamiłowanych. Nic bowiem nie wykazuje tego lepiéj, jak okoliczność, że *grać w szachy* należało w tenczas do siedmiu głównych i niezbędnych przymiotów (probitates) każdego prawdziwego rycerza, jakiemi były: *jeżdżenie na koniu*, *pływanie*, *strzelanie z łuku*, *gimnastyka*, *ptasznictwo*, *szachy* i *wierszowanie* [11]). Najpoważniejsze rzeczy przezywano od szachów. Naprzykład u Normanów zwał się *sąd najwyższy szachownicą* (Scaccarium) i nazwa ta przeniesiona do Anglii już z Wilhelmem Zdobywcą, została po dziś dzień założonéj od niego *Izbie Skarbowéj* (The Exchequer). W Irlandyi były dwie znakomite rodziny, które stawiały co rok wszystkie swe majętności na Szachy. W wyznaczonym na to dniu, zjeżdżali się ich naczelnicy przy świadkach i w obec urzędu który każde pociągnienie do aktów wpisywał. Wygrywający pobierał dochody aż do następnego roku, a protokół gry przechowywano najstaranniéj w domowych archiwach. Wielcy panowie miewali na swych dworach *Szachmistrza*, którego obowiąz-

---

[11]) Obacz Disciplina clericalis Petri Alfonsi (wydanie Schmidta), „Probitates vero hae sunt: equitare, natare, sagittare, cestibus certare, aucupare, *Scacis ludere* versificari.“

kiem było przestrzegać porządku i reguł w téj grze, i rozstrzygać zachodzące wątpliwości i spory. Ukazał się raz na wielkim turnieju w Wormancyi rycerz w szacie na któréj gęsto same tylko szachowe *koniki* były wyszyte, a z niemniejszą nosił je pewnie dumą, jak Napoleon złote swe pszczoły. To też wiele domów francuzkich, angielskich, hiszpańskich, niemieckich obrało sobie za herb *szachownicę* lub jakąś szachową figurę mianowicie *wieżę* która w języku heraldycznym zatrzymała swą nazwę (*Roc*). Szachownicę widzimy dotąd w tarczach książąt panujących np. *Badeńskich*, lub w herbach całéj prowincyi np. *Kroacyi.*

Otóż i w Polsce *Województwo kaliskie* miało pierwotnie samą tylko szachownicę w swym herbie, pośród któréj, gdy został tamecznym wojewodą jakiś wielce zasłużony rycerz herbu Wieniawa umieszczono ten klejnot, to jest głowę żubra z pierścieniem [12]). Mamy też *jedenaście* herbów szlacheckich świadczących po części o dawności téj gry u nas. Herb *Karęga* na Litwie przedstawia pole czworokątne, którego dwa czworoboki są szachownicami [13]) *Kizinek drugi* szlachty pruskiéj ma całą tarczę w żółtą i czerwoną Szachownicę [14]) *Pudwels* herb także pruski jest szachownicą z któréj lewego boku wyskakuje biały jeleń [15]) *Roch drugi* zdradza już samą nazwą swe pochodzenie, i składa się z czarnéj szachowéj wieży w białém polu. Długosz wspominając pod rokiem 1333 o obraniu Klemensa Pierzchały na płockie biskupstwo uważa [16]): „że był ze szlachetnego domu, który *marszałka szachowego* czyli Rocha ma klejnotem.“

---

12) Niesiecki t. 1, str. 124.

13) Tenże t. 2; str. 480.

14) Tenże t. 2, str. 526.

15) Tamże str. 782 931.

16) Wyd. lip. t. 1 st. 1030. „De domo et familia Pierzchała quae „*Marschalcum Skakalem* defert pro insigni alias *Rochum*.“

Paprocki nazywa ten herb *Pierzchalą* i powiada: że któryś z książąt Mazowieckich nadał go rycerzowi tego imienia za to, że grając z nim w szachy dał mu *Mata*. Dodaje iż widział go malowanego przed 250 laty w takim kształcie, jak go w dziele swém rzezać kazał [17]). W inném znów miejscu podaje [18]), że nazwa *Pierzchały* daną była w r. 1238 rycerzowi Rościsławowi staroście płockiemu z tego powodu że wyprawiony od ks. Konrada Mazowieckiego na Litwinów i Jadźwingów powiat Czerwiński pustoszących, wpadł na nich nie czekając posiłków, a w zasadzkę wciągnięty, potém *pierzchnąć* zrazu musiał, aż wzmocniony świeżym ludem nieprzyjaciół na głowę poraził, i że już wtenczas miał *w herbie Rocha*.

Szachman klejnot pruskiéj szlachty przedstawia w dolnéj owéj połowie szachownicę [19]). *Twardost* jest sercem na wskróś szachowaném [20]). O herbie *Wczele*, (mającym na tarczy szachownicę w żółte i białe pola, na hełmie zaś ukoronowaną murzynkę z głową obwiązaną trzymającą w rękach takąż szachownicę), są dość ciekawe podania. Jakiś słowiański wędrowny rycerz przybywszy do Maurów został od córki królewskiéj wyzwany do gry z warunkiem, że zwycięzca będzie miał prawo uderzyć w głowę szachownicą stronę pokonaną. Królewna dufając swéj biegłości w téj grze, pewną była, że łeb słowiański odpowie, lecz stało się właśnie przeciwnie, i musiała się poddać ciężkiemu warunkowi, lubo go zwycięzca wypełnił zapewne z największą rycerską delikatnością, a król uniesiony biegłością jego w téj grze, i

---

[17]) Gniazdo cnoty w 1578 w Krakowie drukowane str. 1089-1090. Okolski Orbis polonus t. 2. str. 614. Niesiecki t. 3, str. 862.

[18]) Herby rycerstwa polskiego Kraków 1584 str. 468.

[19]) Niesiecki t. 4, str. 257.

[20]) Paprocki Gniazdo cnoty str. 1122. Herby rycers. str. 577. Niesiecki t. 4, str. 407.

postrzegłszy może rozbudzoną w czasie niéj skłonność córki do owego rycerza, nie tylko uraczył go wielce kosztowną szachownicą, ale i ręką córki, która usadowiła się z obwiązaną głową na jego herbie nazwanym od tego *Wczele* (w czoło) [21]). Do Polski miał ten herb przybyć już za Bolesława Krzywoustego w 1103 (?). Podobne podania o uderzeniu Szachownicą w głowę po skończonéj grze, znajdujemy w różnych średniowiecznych pismach. Dawny jeden kronikarz (Andreas Ratisbonensis) twierdzi, że syn Pipina francuzkiego zabił w gniewie Oskara księcia bawarskiego Szachownicą, przegrawszy partyą: a w powieściach o czterech synach Hajmona księcia Dordonii czytamy: że jeden z nich (Regnold) zabił podobnie Bartelota siostrzeńca Karola Wielkiego. Wieland wykazuje wprawdzie niehistoryczność tych osób [22]) lecz niepodlega wątpliwości, że autorowie owych dzieł wzięli takie zdarzenia z życia, bo i *Massmann* [23]) czerpiący skrzętnie z najlepszych źródeł przytacza parę przykładów wielkiéj zawziętości w téj grze między najwyższemi osobami.

Lecz wróćmy do naszych herbów.

Wieruszowa mający Kozła szachowanego do połowy białemi i czerwonemi polami, powstał jak się domyślają [24]) z połączenia małżeńskiego dwóch domów z których jeden miał Kozła, drugi wspomniany dopiero herb Wczele czyli Szachownicę. *Wyszogota* przedstawia w jednéj połowie tarczy Szachownicę w drugiéj pół lilii [25]).

---

[21]) Paprocki w Gniezdzie cnoty opisuje to zdarzenie wierszami str. 704. W herbach rycer. str. 507 nazywa ten herb także poprostu *Szachownicą* i *Łebno* od łba. Niesiecki t. 4 str. 479

[22]) Dzieł t. 24 str. 97.

[23]) Geschichte des Mittelalterlichen, vorzugsweise des deutschen Schachspieles. Quaedlinburg und Leipzig 1839. str. 69.

[24]) Niesiecki t. 4. str. 516.

[25]) Tamże str. 619.

Herb *Zabawa*, zupełnie już polski zdradza początek i nawet powód do nazwy, ukazując w połowie swéj tarczy Szachownicę z czerwonych i białych pól złożoną. Paprocki wywodzi nazwę jego z okoliczności, że jakiś rycerz co zaszczycony nim został, nieprzyjaciela nadciągającego tak długo *zabawiał* (zatrzymywał) aż przybył hetman polski z dostateczną siłą [26]) i miało to być już w r. 1000 (?). Lecz nierównie prawdopodobniejsza że ten herb wziął imie poprostu do téj gry (zabawy), chybabyśmy chcieli jeden domysł z drugim w taki połączyć sposób: że dano owemu rycerzowi w herbie Szachownicę jako podstawę gry, będącéj tak żywym obrazem wojny, w któréj się odznaczył. Do najnowszych nakoniec herbów należy bezwątpienia *Arcembersk*i na Pomorzu polskiém, mający Jelenia na szachownicy, a nadany w r. 1630 od księcia pomorskiego Dworzaninowi za to, że gdy książe zabawiał się na łowach Szachami, on w téj chwili jelenia tuż obok wyskakującego trzema strzałami przeszył [27]).

Za Kazimierza Wielkiego musiała być ta gra już upowszechnioną, kiedy uczyniono o niéj wzmiankę nawet w prawodawstwie. Nie godzi się jednak pominąć szczegółu, że gdy zjechał się Kazimierz z Janem Luksemburskim, królem czeskim u króla węgierskiego Karola Roberta na zamku Wyszegrodzkim w r. 1335 dla ułożenia wieczystego z niemi pokoju, gospodarz uraczając ich odpowiednio do ich potęgi i dostojeństwa, umieścił między darami dla króla czeskiego przepyszną *Szachownicę* [28]).

---

[26]) Gniazdo cnoty str. 86. Nies. t. 4 str. 626.

[27]) Niesiecki. t. 1, str. 23.

[28]) Obacz Kronikę Jana Turocza w Scriptores Rerem Hungaricarum Mathiae Belii Vindobonae 1746. rozdział 97 str. 165. „Et una tabula pro Scacis mirabili.“

A teraz o prawie. Znajdujemy je w *Statucie Łaskiego* [29]) i w Statutach Jana Herburta [30]) zkąd je dosłownie odpisujemy: *Jeźli syn przez ojca niewydzielony od braciéj co przegra.* „Syn jeszcze niewydzielony będąc „w ojcowskiéj mocy y od braciey nie oddzielony, jeźli „gałki, albo bierki, albo którą inną szkodliwą grę grając, albo co innego czyniąc, co przegra, chcemy i skazujemy: iż choć na kostkach *albo Szachach*, albo na „którychkolwiek grach zyskujących, oni, którzy grają o „pieniądze, o konie, albo inne rzeczy wygrane, daliby „między sobą rękojmię: od takowych upominać się y „od nich żądać, by też nie wiem jakie było rękojemstwo y obowiązek, żadnego prawa do takich rzeczy „tym obyczajem pozyskać żaden nie może: ale kożdych „gry dozwalamy mieć y chcemy, aby czas zszedł y dla „ochłodzenia y ćwiczenia.“ (Na boku stoi: Kazimierz w Wiślicy 1368 list. 28). Chodziło więc głównie o zapobieżenie stratom, na jakie narażała się lekkomyślna młodzież równie przy Szachach jak i w innych grach, lecz nie o zabronienie téj gry.

Nie można wątpić, że coraz częstsze odtąd stosunki Polski z zachodnią Europą, powtarzane poselstwa na Sobory i do obcych mocarstw, znacznie przyczyniły się do upowszechnienia téj gry u nas i obeznania Polaków z różnemi coraz dowcipniejszemi sposobami korzystania z jéj figur i zgłębiania prawideł służących do mocnego stanowiska i pociągów w najrozliczniejszych położeniach. Zaczęto już bowiem w Europie pisać osobne o tém dzieła i rozprawy. Pierwszą w tém zasługę przyznają powszechnie Portugalczykowi *Damiano* w połowie XV

---

[29]) Wydania Hallerowskiego w Krakowie 1506 folio 28 titulo: *De filio non emancipato lusore, seu quis modus in ludis servandus sit.*

[30]) Statuta i przywileje Koronne z łacińskiego języka na polski przełożone Kraków 1570 str, 530.

wieku [31]), po którym zaraz, z końcem tegoż stulecia (1495) wystąpił hiszpan *Lucena* z dziełem o *Miłości*, w którego drugiéj części dał sto pięćdziesiąt sprytnych i uczących wzorów różnych partyj, objaśnionych 164 drzeworytami.

Mnożyły się podobne pisma mianowicie we Włoszech, gdzie obznajomiwszy się bardzo wcześnie z Szachami, tak namiętnie je uprawiano, że umierający ojcowie przekazywali w testamencie dzieciom swym niedokończone partye z sumiennym obowiązkiem dokończenia ich z zaszczytem dla domowéj sławy!

Łatwo się więc domyślić, jak dalece rozkrzewiło tę grę u nas przybycie z Włoch Bony Sforcyi, pierwszéj żony Zygmunta I (1518) i tylu za nią Włochów, kiedy dwór krakowski i wielka część wyższéj szlachty tak przesiąknęła niebawem włoszczyzną jak w wieku XVIII francuszczyzną.

Ciekawym jest bardzo w tym względzie czterowiersz słynnego *Piotra Royziusza* czyli Ruiza hiszpana, którego ściągnął do Polski Prymas Gamrat, aby wykładał w akademii krakowskiéj prawo, i który umarł w Wilnie 1571 zostawiwszy po sobie niejedno ważne pismo: a między temi Epigramata. W jedném z najdawniejszych przyrównywa trafnie postać rządu przy schyłku panowania Zygmunta I do gry Szachów, gdzie król nieporuszony w swym majestacie stoi na miejscu, a królowa jak burza tam i sam lata i wszędzie jéj pełno [32]). Surowém

---

[31]) Dzieło jego znane jest tylko w przekładzie włoskim w Rzymie 1512 drukowanym.

[32]) Obacz Wiadomości historyczno-krytycznych Ossolińskiego T. 2, str. 195 i 235. Oto tekst łaciński:

„Majestate gravis stat Rex, ubi turbinis instar
„Regina huc illuc instabilis volitat
„Hoc Regnum non poenituit me forte rogatum
„*Schacorum Regno* dicere persimile?“

okiem poglądał na Szachy Mikołaj Rej z Nagłowic, kiedy w swym *Wizerunku poczciwego człowieka* [33]) pod napisem „*Świat chytry chłop*“ wystawiając jak ludzi różnemi podstępami do złego przywodzi, mówi ówczesną polszczyzną:

„Wisza wieńce z wiechami, w okniech stoją wabi
„Do których zewsząd lecą naszy chudzi drabi
„Karty, *Szachy*, Warcaby miasto lepu stoją
„Przy których się ci ptacy radzi téż więc broją.“

Nie pominął téj gry *Łukasz Górnicki* w swym *Dworzaninie* (1566) i włożył w usta dworzan biskupa Maciejowskiego następującą o niéj rozmowę [34]).

„Rzekł p. Kostka: A o Szachach co WM. rozumiesz?“

„Odpowiedział p. Myszkowski: Iscie [35]) że jest czysta a rozumu bystrego zabawa: ale to mi się do Szachów nie podoba, *iż nader wielka umiejętność w nie być może*. Do czego, kto chce przyjść, musi siła pilności przyłożyć, bardzo wiele czasu strawić, prosto jakoby się też w zacnej jakiej *nauce* ćwiczył; a nakoniec, gdy się najwięcej jeden nauczy, cóż umie? *Grę*, i to jeszcze nie doskonale. A przeto ja tak rozumiem: iż Szachy lepiej *poprzeczkę* [36]) umieć, niż bydź w nich wielkim mistrzem. Acz we wszystkich innych naukach i rzemięślech lepiej przejść miarę a bydź między *osobnymi* [37]).

„Powiedział p. Kostka: Moskwa tu snadź bardzo się

---

[33]) Kraków 1560. 4to. Rozdział 7. List 103.

[34]) Wyd. warszawskie Gałęzowskiego 1828, T. 1, str. 231. Wiadomo że dzieło to naśladowane z włoskiego Balcera hr. Castiglioni Biskupa w Avila († 1529) „*Il libro del Cortegiano*“.

[35]) Oczywiście.

[36]) Do pewnéj poprzeczki, granicy, miary.

[37]) Celującemi.

„w tém mało ćwiczy, a *wżdy* [38]) szachy nader dobrze „umie: snadź i na pamięć je grawa w drodzę jadąc.“

„Wierz mi W. M., odpowiedział p. Myszkowski, że i „w Moskwie łatwie (łatwo) ta umiejętność nie przychodzi, *chocia to oni pokrywają:* bo kto chce w czém bydź „osobny musi się długo i nader pilnie ćwiczyć.“

Ale wiek Zygmuntowski, który wydał u nas znakomite dzieła o wszystkiém, cokolwiek wtenczas ludzkość wiedziała i czém się zajmowała, nie mógł nie uwiecznić osobném pismem i téj tak szlachetnéj i ulubionéj umysłowéj rozrywki. Podjął się tego właśnie największy z dawnych naszych wieszczów *Jan Kochanowski*, co umiał opiewać równie zwycięztwa Stefana Batorego jak i cień rozłożystéj swéj lipy w Czarnolesiu: i przypisał bardzo stósownie swój poemat „*Szachy*“ Janowi Krzysztofowi Tarnowskiemu kasztelanowi Wojnickiemu, synowi nieśmiertelnego Hetmana, kiedy gra będąca przedmiotem jego pieśni jest tak żywym obrazem rycerskich na polu sławy zapasów. A że powiada sam na końcu: iż myśl do tego rymotworczego płodu powziął od włoskiego szachowego wieszcza *Widy* [39]), naprowadziło to na bardzo fałszywe u nas wnioski, które zmuszają nas do bliższego rozpatrzenia się w rzeczy, aby wykazać jak dalece mylili się ci, co poczytali poemat Kochanowskiego za *przekład Widy*, a przytém przekonać ciekawych: że jeżeli nasz wieszcz ustępuje poniekąd swemu wzorowi w dydaktycznym wykładzie prawideł téj gry, przewyższa go daleko własnym swym poetycznym wymysłem

---

[38]) przecież.

[39]) „Mnie téż czas będzie uchwycić się brzegu
„A odpoczynąć nieco sobie w biegu
„Wysiadłszy z morza *gdziem Widę przejmował*
„*Który po wodach auzońskich żeglował*
„*Udatnym rymem opisując boje*
„*Na których miecza nie trzeba ni zbroje.*“

(treścią) a mianowicie nierównie dowcipniejszém rozwiązaniem. Pierwszy Ignacy Krasicki znając, jak widać, włoskiego rymotworcę tylko z imienia, zakończył pobieżną, jaką podał, wiadomość o Szachach [40]) na tém że: „Hieronim Wida piękne z Szachów w łacińskim języku ułóżył poema, *które nasz Jan Kochanowski na „polski język przełożył.*" W też tropy poszedł i *Mickiewicz*, kiedy w ślicznym swym wierszu „*Warcaby*" zwracając się do Widy śpiewa:

„O Wido! gdybym dostał twój pędzel bogaty,
„Wido! tak biegle w polskie przestrojony szaty,
„Zdarz, niech twojego torem idąc wynalasku
„Opisom mym udzielę powabu i blasku
„Niech ztąd warcaba świeżéj nabędzie zacności
„Niech chwalonym przez ciebie Szachom nie zazdrości."

A w nocie dodaje objaśnienie: „Szachy poety włoskiego Wida wzorowie *tłumaczone przez Jana Kochanowskiego.*"

Przecież powiedział już był *Bentkowski* [41]), że tylko *naśladowane*, pomylił się, wszakże i sam dodając że „podług oryginału *włoskiego* Marka Widy": bo ten napisał swój poemat *po łacinie*, a sami dopiero jego rodacy przełożyli go na włoskie. Późniéj zajął się Szachami Kochanowskiego uczony bibliotekarz Akademii Jagiellońskiéj *Jerzy Samuel Bandtkie* [42]). „Nie podlega „wątpliwości (mówi) że wieszcz nasz naśladował Widę „w wielu miejscach: ale ktoby rozumiał, że to jest tłu„maczeniem prostém Widy, bardzoby się pomylił. Po

---

[40]) Obacz Dzieła jego. Warszawa, 1829. T. 7, str. 246—250.
[41]) Historya literatury polskiéj, Warszawa, 1814. T. 1, str. 267.
[42]) Obacz rozprawę jego czytaną na publiczném posiedzeniu Towarzystwa naukowego Krakowskiego, w *Roczniku* tegoż, Tom XI, z 1826, od str. 178 do 195.

„części są tu i tłumaczenia, ale lubo przedmiot jeden, „treść obu poematów wcale inna.“ Szkoda, że w dalszym wywodzie przestając najczęściéj na prostém odwołaniu się do porządkowéj liczby wierszów u Widy i króciuchnéj, (że tak powiem, *inwentarskiéj*) ich treści, nie dość widocznie wykazuje wielką między obudwoma utworami różnicę. *Lesław Łukaszewicz* poszedł za Bentkowskim, poprawiając jednak tegoż omyłkę co do oryginału [43]). *Naśladowaniem* Widy mieni być i Maciejowski wiersz Kochanowskiego [44]) a *Kondratowicz* nazwał go *spolszczeniem* poematu Widy [45]), co nie jest także zupełnie odpowiedniém tam, gdzie cała treść jest *inną*. Autor *Krótkiéj wiadomości z dziejów piśmiennictwa polskiego* [46]) umieścił znów bez namysłu wiersz Kochanowskiego między *tłumaczeniami*, lubo nawet obcy i daleko od nas piszący uczony *Massmann* [47]) wspomina Szachy Kochanowskiego między podobnemi w Europie pracami *oryginalnemi* i jako jedyny w tym rodzaju u Polaków poemat. Mniemam że te i następujące szczegóły nie znużą czytelnika, gdyż chodzi o sławę naszego Czarnoleskiego wieszcza. Nie był i Wida pierwszym, co powziął myśl opiewania téj gry *udatnym rymem*.

Już uczony rabin żydowski *Abraham Aben-Ezra* (urodzony w Toledo 1099, zmarły 1174) lekarz, astrolog, poeta, napisał w połowie XII wieku po hebrajsku poemat o Szachach, który Tomasz Hyde przełożył w 1702

---

[43]) Rys dziejów piśmiennictwa. Kraków, 1836, str. 16.

[44]) Piśmiennictwo polskie. Warszawa, 1851. T. 1, str. 490.

[45]) Dzieje literatury w Polszcze. Wilno, 1850. T. 1, str. 333.

[46]) Warszawa, 1855, str. 42.

[47]) Geschichte des mittelalterlichen vorzugsweise des deutschen Schachspieles. Quedlinburg und Leipzig, 1839, 8vo, str. 100 i 183. Przytacza Wydanie dzieł Kochanowskiego w Krakowie 1639 i Mostowskiego warszawskie z 1803, cytuje i Starowolskiego Elogia (Ekatontas) z 1627.

na język łaciński, przytaczając oraz cztery inne w średnich wiekach powstałe, w rękopismie przechowane łacińskie poemata o téj grze. W pierwszym oryginalnym francuzkim romansie: „*Roman de la Rose*“ który około 1260 *Wilhelm de Lorris* pisał, a około 1300 *Jan de Meun* skończył, oddana jest wierszami pod obrazem szachowéj rozprawy wojna między Karolem Andegawskim a Konradynem synem Cesarza Konrada IV o berło sycylijskie. Mnich nadreński *Konrad von Ammenhusen* przełożył wierszami około r. 1337 wspomniane wyżéj dzieło Jakóba de Cessolis, a w 1520 ogłosił *Jakób Menell* poemat *Schachtzabel-Spiel*. Żaden nie miał jednak tyle rozgłosu co *Marek Hieronim Wida (Vida)* od r. 1532, Biskup Alby w księstwie Montferrat, urodzony w Kremonie 1470 zmarły 1566, znany z kilku innych także podobnych płodów, w swoim, pierwszy raz w Rzymie 1527 wydanym a z 658 wierszów złożonym poemacie: „*Scacchia Ludus*“ który został 15 razy przedrukowany, a wielokrotnie na język włoski, francuzki, angielski, hiszpański i niemiecki przetłumaczony. Oto treść tego Wirgiliuszowskiéj słodyczy pełnego utworu:

Jowisz z całym Olympem zaproszony na weselne gody *Oceanu* i *Ziemi*. Po biesiadzie każe Bóg morza wnieść szachownicę, a gdy niewidziany ten przedmiot ciekawość powszechną zaostrza: „Marsowe to pole (mówi) i udane widzicie obozy, któremi zwykły zabawiać się Nereidy i cały lud wodny, kiedy morze spokojne!“ Przynoszą bukszpanowe figury, ślicznie opisane. Nie można téż dość pochwalić jędrności i wdzięku wyrazów, ani wytwornéj zwięzłości w wykładzie prawideł gry, który dał gospodarz, a który wystarcza, aby poznać wszystkie zasady. Zaiste! gdyby (jak to gdzieniegdzie zamierzano), szachy przepisane były w szkołach, to kazaliby niezawodnie ci, co uczyli Alvara, powtarzać dosłownie na pamięć ten ustęp Widy!.. Nie dziw więc,

że ta gra podobała się odrazu Bogom, i że na rozkaz Jowisza zasiedli do niéj zaraz *Apollo* i *Merkuriusz.* Grono Nieśmiertelnych okrążyło ich wieńcem, zobowiązawszy się do zachowania ścisłego milczenia i *bezwzględnéj neutralności.* Prawidło prawdziwie boskie na tym padole płaczu od przypatrujących się śmiertelników zbyt rzadko zachowywane. Czarny szyk dostał się złotowłosemu Febowi, biały Merkuremu; pierwszy śmiały, otwarty, narażający się, drugi ustawiczne knowa podstępy. Gra rozpoczęta obustronném posunięciem chłopka od królowéj, jest pełną ruchu i życia. Merkuriusz naraża jednego chłopka na wzięcie, postrzega niby swój błąd, mieni się, wzdycha. Już go chce porwać jak swego gorąco kąpany bóg wieszczów, lecz oczami siedzącéj naprzeciwko Wenery ostrzeżony, wstrzymuje się w zapędzie, bo jego królowa odsłonięta padłaby od zaczajonéj zasadzki przeciwnika. Merkury utyskuje głośno na poprawkę, a Apollo wnosi prawo aby odtąd *każdy sunął tą figurą, któréj się raz dotknie.* Bill ten jednomyślnie przyjęty, stanowi do dziś dnia zasadę (*pièce touchée, pièce jouée* jak mówią francuzcy szachowi bożkowie) i to jedno podobno zostało ze wszystkich rozporządzeń dawnego Olimpu! Wszystko skrupiło się wszakże na Wenerze, którą Jowisz, za niepotrzebne wmięszanie się, okropném skarcił spojrzeniem!!! Merkury daje bezprawnie popkowi taki chód, jaki jest właściwy tylko konikowi: lecz złapany na uczynku, musi pośród powszechnego śmiechu poprawić się. Nie koniec na tém: Mars, sprzyjający także Apollinowi (dla ścisłych swych zapewne z Wenerą stosunków) stawia ukradkiem na szachownicy ubitego już *popka* i *chłopka*, a nowe te posiłki daléj w bitwę!.. Dostrzegł Wulkan to Marsa oszukaństwo (bo czegóż nie dostrzegą mężowie?) i upomniał Feba, że z tego bezprawnie korzysta, Mars zbladł od wstydu jak chusta, a władca piorunów kazał zaraz za-

grabić kontrabandę. Figiel ten mówiąc nawiasem, godny chyba studentów, pokazuje, że dziś mają nieraz więcéj powagi i uczciwości ludzie, jak dawniéj niejeden bożek. Obaj przeciwnicy tracą królowe, lecz Merkury doprowadziwszy do ostatniéj mety chłopka i zamieniwszy go w nową królowę, zaczyna wycinać w pień co natrafi, aż złakomiwszy się (istny bóg złodziejów) na jakiegoś poczciwego chłopka, wpada w podwójny szach od apollinowego pegaza. Feb zdobywa wieżę, która zagradzała jego chłopkowi drogę do królowéj, otrzymuje ją, i znów z równemi siłami bój wstępny rozpoczyna. Nie długo miał się przecież cieszyć swém powodzeniem: gdyż dostaje sam w odwecie podwójny szach królowi i królowéj, traci tę ostatnią podporę, a niezwalczony Merkuriusz matuje niebawem ogołoconego ze wszystkich obrońców czarnego króla, królem i królową, co jako zbyt pojedyncze i łatwe zakończenie, nie zasługiwało bynajmniéj na huczne oklaski, któremi bogowie zwycięzcę obsypali. Później (tak kończy Wida) nauczył on téj gry ulubioną *Skakidę* (którą po polsku możnaby nazwać *Szaszką)* najpiękniejszą z nimf nad brzegami rzeki Seri (gdzie się i kremoński poeta narodził) a téj cudnéj istocie zawdzięcza swe imie gra od wielkiego Rzymu i wszystkich na świecie narodów sławiona, bo od nimf przejął ją ród ludzki i wieszcz, co śpiewał nad rodzinną swą rzeką!

Wiadomo że nasz Kochanowski był we Włoszech około r. 1550, kiedy poemat Widy wydzierano sobie z rąk do rąk i wychodziły właśnie dzieła jego po raz *piąty* w Kremonie. Mógł znać nawet osobiście biskupa zmarłego dopiero w 16 lat później. *Bandtkie* w przytoczonéj wyżéj rozprawie [48]) wnosi, że „*Szachy*“ napisał w mło-

---

[48]) Str. 190.

dym wieku około r. 1555: należałyby więc do najwcześniejszych jego płodów. Obaczmyż ich osnowę: [49])

Tarses król duński (z téj saméj pono dynastyi co i *Klaudius* w Hamlecie Szekspira) miał córkę tak nadobną, że z najodleglejszych krajów a więc i z Polski przybywali rycerze dla widzenia jéj i otrzymania, jeżeli się uda, jéj ręki. Celowali między niemi *Fiedor* i *Borzuj*: obaj nalegali na króla potajemnie aby dał im córkę za żonę, wreszcie mieli się już pojedynkiem rozprawić kiedy mądry a szanujący ich zarówno ojciec ukazał im szachy i postanowił, że zwycięzca w tych szrankach zostanie jego zięciem:

„Miejsce na zamku, czas we dwie niedzieli
„Z wolej królewskiej naznaczony mieli.
„Obiema potém po karcie posłano
„Gdzie wszystek sposób tak im opisano...

Następuje wykład gry daleko krótszy i mniéj zupełny jak u Widy. — Zasiedli i tu gracze po uczcie, otoczyło ich grono gości i dworzan, jak tam bogów, a król wezwał wszystkich aby żadnemu z graczów nie pomagali a tylko w razie jakiegoś nieporozumienia rozstrzygali wątpliwości. Biały zastęp otrzymał Borzuj, czarny Fiedor. Los wyznaczył i tu pierwsze pociągnienie białemu, i podobnie wysunięto na dwa kroki chłopki od królowych. Dalszy téż ciąg gry przypomina rzecz Widy. Fortel Merkurego, aby pojmać przeciwną królowę, powtarza tutaj Fiedor, a ledwie Borzuj tknął palcem podstawionego mu zdradliwie w tym celu chłopka, tamten

„Porwał królowę wnet za federpuszę —
„Stój, rzecze Borzuj, gorącoś kąpany
„Nie tak-ci grają, bracie, między pany.“ —

---

[49]) Poemat Kochanowskiego jest tak prawie długim jak Widy, bo ma 596 wierszów.

Powstaje sprzeczka kończąca się i tu prawidłem:

„Ale na potém niech się nikt nie myli
„*Czemeś tknął, tém jedź:* tak starsi chodzili.“

Fiedor dopuszcza się także fałszywego chodu z popkiem i musi go cofnąć. Wiele jednak własnych rysów przedstawia partya Kochanowskiego pełnych życia i dowcipu np.:

„A Popa zabił pieszek niecnotliwy
„Trzęsą go drudzy, a on już nieżywy! —

Oto jak spolszczył owe podstępne postawienie na szachownicy dwu ubitych już figur:

„Nie wiedzić którym fortelem, szampierza (przeciwnika)
„Podszedł wódz biały, i dostał rycerza
„Który niedawno przez kapłańską kuszę [50])
„Przed samym królem dał był Bogu duszę.
„Więc go przy desce, by nieczuła horda
„Cicho posadzi: a ten zaś do korda...
„Jako gdy wiedmy [51]) Tessalskie dostały
„Świeżego trupa i czartów zwołały
„Fałszywą duszę podmiatają w ciało
„A to po chwili zaś na nogi wstało,
„Mówi bezpiecznie, widzi jako trzeba
„Używa takież jako drugi nieba. —
„Poszedł na tego rycerz był człowieka
„Ale go Fiedor obaczył z daleka,

---

[50]) Narzędzie wojenne do ciskania grotów na sprężynie. „Przez kapłańską kuszę“ to jest z rąk popka.
[51]) Czarownice.

„Uśmiechnąwszy się rzecze: toć nowina:
„A nie ty-żeś był wskrzesił Piotrowina?
„Nie trzebać świadków trzecioletnich tobie!..
„Masz prawo dobre! chowaj tego w grobie!“

Tyle téż jest myśli pożyczonych od Widy, bo cała następna część rozprawy i zakończenie przynosi niepospolity zaszczyt Kochanowskiemu jako własny jego utwór. Gdy obaj przeciwnicy postradali swe królowe a Borzujowi udało się odzyskać swoją, rzeczy Fiedora zupełnym już groziły upadkiem, bo król jego (czarny) w kąt zapędzony a od białéj królowéj przyciśniony już ledwie dyszał.

„Daj się nieboże! coraz to mu rzecze.. (Borzuj)
„A tego żałość nieboraka piecze.. (Fiedora)
„Obrony żadnéj od matu nie widzi...
„W tém wieczór zaszedł, słońce już padało..
„Stanęło na tém, aby grać przestali
„A jutro rano ostatka dograli.
„Wszakoż odchodząc szachy poznaczyli
„A z każdéj strony grze się przypatrzyli.“

Następuje bardzo dokładne opisanie obustronnego stanowiska, na które dla zrozumienia sztucznego rozwiązania szczególną uwagę zwrócić należy:

„Naprzód *król czarny* (aby każdy wiedział)
„*Rochu* się trzymał, *który w kącie siedział*, —
„Przed królem stał *koń* w piątém polu prawie
„A *pieszek* w szóstém i na tejże ławie.
„A wedle niego *drugi* w prawéj stronie,
„*Pop* przez jeden plac nazad ku obronie.
„*Król biały* patrzał na swego szampierza (przeciwnika)
„Przez *draba* i przez czarnego *rycerza*.

„A swego *rochu* posadził na stronie
„Pod królem czarnym na wtórym zagonie.
„Tym obyczajem oba ufy stały
„A czarnéj przodek zeznawał król biały.“

To jest, że na czarnego (Fiedora) było pociągnienie.— Stanowisko zaś *białéj królowy* oznaczył już, gdy kilkanaście wierszów wyżéj powiedział o czarnym królu że się:

„...do kąta napiera
„Bo nań królowa już bardzo naciera
„Ażeby pana tém rychléj pożyła
„*Rząd wszystek po nim rochen zasadziła*
„Sama już *po nim* cicho się przykradnie
„Zkąd mogła króla już pochodzić snadnie.“ [52])

Odszedłszy na wieczerzę, poruczono straż umyślnym dozorcom, by nikt figur nie naruszył. Lecz królewna *Anna* sprzyjająca widać więcéj Fiedorowi, wywiedziawszy się na czém gra stanęła, przychodzi potajemnie w nocy do téj komnaty, a gdy jéj straż żadnéj nie czyniła w tém przeszkody, obejrzała pilnie stanowiska:

„Pojrzy na czarną: gorzéj być nie może
„Do pierwszego szcia (iścia, chodu) biała ją przemoże—

[52]) Każdy świadomy téj gry, może wyjaśnić sobie obustronne położenie, jeżeli oznaczy szachownicę w sposób dziś najpowszechniéj dla uczących się przyjęty, to jest: pola horyzontalne od lewéj ręki ku prawéj głoskami A, B, C, D, E, F, G, H, a pola wertykalne z dołu do góry liczbami 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8. Tak więc pole kątowe w dole na lewo będzie się nazywać *A1*, kątowe w górze z téjże strony *A8*, i t. d. — A zatém:

Król czarny (Fiedora) stał na polu *B8*, wieża na *A8*, konik na *B4*, popek na *D4*, jeden chłopek na *B3*, drugi na *C3*.

Król biały (Borzuja) na *B1*, królowa na *E6*, wieża na *H7*.

„Jedno że czarnéj przyjdzie naprzód chodzić,
„Jeszczeby jéj snadź nieco mógł pogodzić [53])
„I rzecze: *dobry rycerz jest od zwady*
„*Popa téż nie źle zachować od rady*
„*Dać za miłego wdzięczną rzecz nie szkodzi*
„*Piechota przed się jako żywo chodzi.*—
„*Obróci rochu na króla rogami*,
„Sama wynidzie zalawszy się łzami..“

Otóż w tych kilku słowach i obracając wieżę mającą jak widać wtenczas *rogi* ku królowi przeciwnika, dała poznać całą tajemnicę, którą jeżeli Fiedor odkryje — wygrać jeszcze może.. Jaka dramatyczna chwila! Od jego dowcipu i przenikliwości zawisło szczęście całego życia.

„A nuż nie zgadnie, a nuż się pomyli?..
„Fiedor już dawno zwątpił o królewnie
„A Borzuj mniema, że już wygrał pewnie—
„Ten prosi Boga by rychléj świtało
„Ów raczéj żeby nocy przybywało..“

Gdy jednak wrócili wszyscy do fatalnego stoła z szachami, postrzegł zaraz Fiedor że jego wieże obrócono ku białemu królowi. Na jego zapytanie powiadają mu stróże, że królewna to uczyniła i powtarzają mu jéj zagadkowe słowa.

Borzuj drwi z nich lecz dla Fiedora są one błyskawicą pośród czarnéj nad jego sercem wiszącéj chmury. Po chwilowym namyśle, oświadcza królowi, że przeciwnik jego omylnie się radował, bo *za trzeciém pociągnieniem dostanie mata!*

---

[53]) Gdyby miał ciągnąć biały, to dałby od razu przeciwnikowi mata, idąc królową z *E6* na *E8*: cały więc ratunek w tém, że czarny ma pociągnienie.

„Król zatém do nich bliżéj się przysiędzie
„Wszyscy czekają co na koniec będzie?"
Dano znak do boju... *„a Roch jednym skokiem*
„Usiadł królowi tuż pod samym bokiem
— „„Co czynisz głupi? mierzi cię ta trocha?
„„Chcesz darmo stracić tak wdzięcznego Rocha?""—
„Tu próżno szukać jakiéj inszéj rady
„Przyjdzie do końca z Rochem patrzyć zwady
„Folgować darmo, bo tak króla dusi
„Że mu rad nie rad król wziąć gardło musi.
„W tem drab przyskoczy, król ustąpi kroku,
„Przypadłszy drugi poimał go z boku! [54])
„To było téj gry sławnéj dokonanie
„Prawie nad wszystkich ludzi domniemanie.

---

[54]) Oto jak sokie trafnie wytłumaczył Fiedor powyższą zagadkę: Pociągnął wieżę z *A8* na *A1* i dał szach białemu królowi, który musiał wziąść wieżę a więc stanąć z *B1* na *A1* Następnie dał biały znów temuż królowi (Borzuja) Szach chłopkiem z *B3* na *B2*. Król niemogąc schronić się na pole *A2* (zagrożone od konika stojącego na polu *B4*) ani wziąść chłopka (bronionego od drugiego chłopka z pola *C3*) musiał wrócić nazad na pole *B1*. Natenczas postąpił ów drugi chłopek z *C3* na *C2* (broniony od konika) i dał królowi *Mat*, bo ten nie mógł ani wziąść pierwszego chłopka (bronionego z tyłu od Popka z pola *D4*) ani usunąć się w prawo ni w lewo, gdyż oba te pola od chłopków były zagrożone. Bandtkie w przytoczonéj swéj rozprawie, ustawia zupełnie dowolnie figury i twierdzi, że można było i za drugiém obustronném pociągnieniem dać *Mata* i to nie chłopkiem ale popkiem, i na poparcie utworu własnéj fantazyi domyśla się że może w pierwiastkowych wydaniach szachów Kochanowskiego stało:

W tém drab przyskoczy, król ustąpi kroku
Przypadłszy *Popek* poimał go z boku.

Podaje *dwa* niby sposoby uszykowania figur, lecz wistocie jest to *ten sam,* tylko raz z jednéj drugi raz z drugiéj strony Szachownicy ułożony. I tak *pierwszy sposób:* Czarny król na *G5*, popek na *F4*, konik na *G4*, wieża na *H4*, chłopki na *F3* i *G3*. Biały król na *G1* królowa na *D7*. wieża na *F7*. *Drugi sposób:* Czarny król na *B5*, konik na *B4*, popek *C4*, wieża *A4*, chłopki na *B3* i *C3*. Biały król

„Tamże zarazem po pannę posłano
„Którą za żonę Fiedorowi dano.
„A Borzuj niechciał być proszon na gody
„Ani żegnawszy jechał precz z gospody“.

Bandtkie domyśla się że Kochanowski powziął myśl do romantycznéj treści swego poematu z dzieła *Olafa Magnusa*, arcybiskupa Upsali [55]) gdzie pisze: że w Szwe-

---

B1 królowa *E7*, wieża *C7*. Dodaje że najkrótszy mat byłby tak dany: czarny popek daje szach białemu królowi na *D3*, (tu przez myłkę druku położono, *E3*, co być niemoże). Król uchodzi na *C1*, a wieża matuje go na *A1*. „Ale nie kazała tak grać (mówi) królewna Anna, według niéj czarna wieża dała na *A1* szach królowi, ten bierze ją i staje na *A1*, pieszek czarny daje mu szach na *B2*, król cofa się na *B1* (tu znów przez oczywisty błąd druku stoi *B2*). *Popek* matuje go stojąc na *A2*. Lecz uszykowanie figur przez Bandtkiego nieodpowiada bynajmniéj wyraźnym skazówkom Kochanowskiego, bo biała nie może dać *od razu Mata* czarnéj, jak przecież Kochanowski powiada. Widzieliśmy także że u niego król czarny *trzymał się wieży* (rocha) co *w kącie siedziała*, więc nie był tak daleko na środek szachownicy wysuniętym. „*Przed królem stał koń w piątem polu*“ a u Bandtkiego stoi tuż obok i t. d. wszystko fałszywie, a najbardziéj mat dany wbrew najwyraźniejszemu opisaniu. Bandtkie nie zrozumiał także znaczenia słów królewny i z tego że powiedziała: *Popa też nie źle zachować od rady* wnosi że popkiem miał być dany mat z boku. Wykazaliśmy przeciwnie wyżéj, jak idąc dosłownie za Kochanowskim wszystko najdokładniéj da się uskutecznić, a owe wyrazy tajemnicze nieograniczają się *na popku* ale.... *dobry rycerz* jest od zwady

Popa też nie źle zachować od rady
Dać za miłego *wdzięczną* rzecz nie szkodzi
Piechota przed się jako żywo chodzi.

Jeżeli więc damy *wdzięczną rzecz* (wieżę) darmo, a piechota ma *iść naprzód*, to właśnie możność mata opiera się jedynie na stojących z tyłu *koniku* i *popku*: i to tylko chciała dać do zrozumienia królewna, a widać że Fiedor domyślniejszym był jak Bandtkie, który niebyłby otrzymał ręki królewny Anny!....

[55]) Do gentium septentrionalium sariis conditionibus drugiego wydania Bazylejskiego z 1567 (znajdującego się w Jagiellońskiéj Bibliotece) str. 575.

cyi panowie, wydając córki za mąż doświadczają starających się o ich rękę przez grę szachów, przy któréj najsnadniéj poznać usposobienie umysłu. Że zaś ten Olaf ogłosił swe dzieło pierwszy raz w r. 1555, a Tarnowski, któremu nasz wieszcz przypisał swój poemat, umarł w 1567, ztąd wniosek o czasie, kiedy był ułożony. Lecz dla czegóż niemógł sam Kochanowski wymyśleć tego zawiązania? Bandtkie przypuszcza przecież że to może była i gra *rzeczywista*, którą grał kiedyś Kochanowski. Imie *Anny* nosiła jego żona Podlodowska i jego matka Odrowążówna, może nazwał królownę swą na cześć Anny Jagiellonki i t. p.

Lecz dość już o Kochanowskim, a przytoczymy z Bandtkiego jeszcze tylko ten szczegół: że według świadectwa księcia Augusta Brunszwickiego co pod imieniem Gustawa Selenusa wydał dzieło o szachach w 1616, Polacy bardzo celowali w téj grze. Niepoślednim dowodem powszechnego w niéj u nas zamiłowania są *przysłowia* z niéj utworzone a jeżeli niedawniéj, to pewnie już w XVI wieku powstałe. Najpierwszy ich zbieracz Salomon Rysiński przytacza już w r. 1618 następujące [56]) *Szachem padać* (dla oznaczenia niespodziewanego upadku). *Albo szach albo mat* (zysk lub strata). *I w szachach przyjaciela poznać*. Drugie z nich wypisał i Knapski [57]) a ks. *Arnolf Żeglicki* [58]) podał jeszcze jedno: *Jak w szachy grał* (dla oznaczenia niepewności losu). Dziwi mię że żadnego z nich nie wspomniał p. Kazimierz Wójcicki w swéj pracy wyłącznie przysłowiom polskim poświę-

[56]) Proverbiorum polonicorum Centuriae 18, w Lubczu 1618, str. 63-76.

[57]) Thesauri & & Tomus tertius continens adagia polonica Cracoviae 1632. str. 2.

[58]) Adagio ex celeberrimis Scriptoribus tam latinis quam polonicis ad usum studiosae juventutis Varsaviae 1751 str. 2-97.

conéj [59]). Wielu najznakomitszych u nas mowców i pisarzów XVII i XVIII wieku lubiło z téj gry brać podobieństwa i obrazy i tak *Skarga* w *wezwaniu do czytania rocznych dziejów kościoła* (1603) wystawiając niezbędną potrzebę znania dziejów, powiada między innemi: „Chcesz widzić jako na szachownicy króle, panny „żołnierze pyszno stoją, a wnet gdy się gra skończy „wszyscy się w krópce jako w kośnicy pomięszają: „Czytaj stare dzieje.“ A *Fabian Birkowski* w kazaniu na pogrzebie Jana Zamojskiego (1605) str. 27. „Mógł im „szach i met dać i ukazać wrota do rozumu.“ Słynny dowódzca Lisowczyków *Hieronim Kleczkowski* przyrównał w mowie swéj do cesarza Ferdynanda II. 10 lutego 1620 w Wiedniu mianéj pułk lisowski do szachownicy: „Rzecz dziwna że szachownicy podobne, bo z ró„żnych narodów mieliśmy wojsko zebrane.“ [60]). *Ksiądz Zygmunt Brudecki* mówi: „Szachem o niebo grać“ [61]). *Wacław Potocki* zmarły około r. 1696 powiada w swym rymowanym romansie pod tytułem *Syloret* [62]). „Ty dziś „dajesz szach złéj fortunie z metem.“ A kiedy Regimentarz Stanisław Poniatowski, ojciec ostatniego króla, nieodstępny Karola XII w Benderze towarzysz, grywał z nim tam codzień w szachy, współczesny *ksiądz Franciszek Gościecki* jezuita, mówiąc o częstych w Stambule zmianach wezyrów, muftych i innych urzędników [63]) tak je opiewa:

---

[59]) Przysłowia narodowe w Warszawie 1830.

[60]) Krótki Rys dziejów i spraw Lisowczyków. Lwów 1843 t. 1, str. 260.

[61]) Cztery rzeczy człowieka ostateczne 1648 C. 6

[62]) Wydanym w druku dopiero 1764: 4to str. 188.

[63]) W dziele: Poselstwo Wielkie J. W. Stanisława Chomentowskiego wojewody Mazowieckiego od Naj. Augusta II do Achmeta IV w latach 1712, 1713, 1714. Lwów 1732 część III, str. 208.

„Właśnie gdybyś na szachy patrzył, gdy w nie grają,
„Tak się z swych miejsc tureckie urzędy ruszają,
„Rycerz króla szachuje, pop bije rycerza
„Wieża jako z więzieniem do królowéj zmierza.
„Popa pieszek pokona, psa kto zechce bije,
„Jeśli się pod bok swego sąsiada nie skryje
„Zgoła: trudno o graczów by grę zakończyli
„A żadnéj z stron obudwu sztuki nie stracili.“

Niezawadzi może wspomnieć i księcia Jana Jabłonowskiego, który także pewnie zawołany gry téj znawca i miłośnik, w *Pamiętném uprowadzeniu z Bukowiny* (druk: 1745) mówi:

„Przez powabne tego zdrajcy szachy
„Posunęli się Turcy do Szabel na Lachy“

Dość też zaglądnąć do słownika Lindego, aby się przekonać w ilu to różnych zdarzeniach używa się u nas wyraz *szachować*, *szachowany*. N. p. *szachować*, czyli w kostkę sadzić, na małe czworogranki dzielić, *suknia szachowana*, to jest z rozmaitych barw złożona, pstra, sztukowana, *robota szachowana*, haftowana, *błazen szachowany*, *lampart szachowany*, *rozum szachowany*, *dobra szachownicami leżące* (rozstrzelone, rozproszone). *Szachownicami* nazywa Czacki mieszane dziedziny. — Chcąc wyrazić położenie polityczne Europy mówimy: *Szachownica Europy tak dziś stoi* itp. *Koroną szachownicą* nazywa nakoniec *Kluk* kwiat z rodzaju lilii (fritillaria meleagris), gdzie (jak powiada) *„pospolicie dwa kolory są w szachownicę ułożone.* ([64]).

Obok takiéj wziętości i rozpowszechnienia téj gry w Polsce, dziwnym jest i dość ciekawym zabytkiem

---

[64]) **Dykcyonarz roślinny T. 4. str. 14.**

z XVII wieku piorunujący wyskok na szachy głośnego ówczesnego kaznodziei dominikana *Gabriela Leopolity*, który opisując: *Dom boży i przeciwną mu kaplicę diabelską* ([65]) tak się wyraża:

„Ażeby ni naczem nie schodziło téj szatańskiéj kaplicy, w któréj się święcą przeklęte imiona jego, ma jeszcze u niéj i drzwi dwoiste, które są z warcabnicy sadzonéj urobione. A posadzka z czego? Zda mi się z szachownicy, po któréj strugami diabełkowie biegają, bawiąc ludzi marnemi i bardzo nudnemi zabawami“! — Dodany jest drzeworyt szachownicę przedstawiający z napisem: „szachownicza jest posaczka kaplicze diabelskiéj“ ([66]). Powstając w tém kazaniu na wszelkie rodzaje gier (jest tu także wyobrażonych kilka tuzów) pyta: „Ale podobno ozwie się kto: „Ja nie gram dla zysku ale gram dla zabawy, y dla tegoż nie mam być w liczbę kostyrów poczytany.“ Słaba zaprawdę wymówka: bo przed się marnie y ty *przegrawasz czas* nieprzepłacony i nieoszacowany“ itp. — Poczciwy Leopolita był w swém uprzedze-

---

[65]) Obacz rzadką dziś książkę: *Oratorium pałaczu* (pałacu) *duchownego przez X. Gabryela Leopolitę zakonu kaznodziej. Na przedmieściu Jaworowskiém przy kościele ś. Mikołaja w drukarni Jana Szeligi 1619.* W trzeciém kazaniu na proźbę modlitwy pańskiéj *„Święć się imię Twoje* st. 111—112.

Mylnie przytacza tytuł i miejsce druku X. Fr. Siarczyński w *Obrazie wieku Zygmunta III* T. 1 str 268, jakoby Oratorium płaczu duchownego we *Lwowie.* Kiedy właśnie powyższe oznaczenie miejsca jest osobliwością w naszéj bibliografii. —

[66]) Nie wiem gdzie tu dopatrzył p. Maciejowski: *najdawniejszy rysunek szachów i warcabów* jak powiada w dziele: *Polska aż do pierwszéj połowy XVII wieku. Petersburg i Warszawa 1842 T. 3 str. 148*, bo prócz Szachownicy nie ma tu nic, coby tę grę wyobrażało, a pod imieniem Warcabnicy jest na marginesie wyrobiona tablica, jakiéj używają do gry *tryktrak* z napisem: *„Warczaby są wrotami kaplice szatańskiéj.* P. Maciejowski opisując w tém dziele (T. 1. str. 136—137) ówczesne zabawy u panów i szlachty wspomina i o szachach, w które grano o pieniądze.

niu przeciw szachom, ostatnim jeszcze echem średniowiecznych głosów, które powstawały na tę grę, o ile narażała wówczas na znaczne pieniężne straty, a wzbraniali ją głównie duchownym i zakonnikom jako rozrywkę nieodpowiednią ich powołaniu. Tak skarcił raz św. Piotr Damian kardynał i biskup Ostienski († 1072) pewnego biskupa, że podróżując grał w szachy ([67]).

Święty Bernard, który napisał w 1128 reğułę, dla zakonu Templaryuszów, upomina ich w swéj: „*Exortatio ad milites templi*“ *aby brzydzili się szachami równie jak kośćiami.*“

Przytaczający to *Du Cange* ([68]) wspomina i ustawy synodalne Odona biskupa paryzkiego z XII wieku, gdzie w artykule 29tym zakazuje klerykom mieć szachy w swoich mieszkaniach.

Że jednak surowość takich przepisów, tyczących się karności wtenczas potrzebnych, a z biegiem wieków zmianom podpadających, pomału zwolniała, widać naocznie z pism i kazań zakonników jak *Jakub de Cessolis*, *Konrad von Ammenhusen itd.* którzy brali szachy za podstawę do morałów; widać z rozpraw różnych kazuistów, którzy odróżnili szachy jako grę *rozumową* od innych, gdzie sam tylko *ślepy los* i *przypadek włada*, rozbierali szachowe wątpliwości, jakoby sumienne jakieś wypadki i wyrazili o téj grze korzystne zdanie: a *Jan Aquila* roztrząsając w komentarzu o grach ([69]) wszystkie ich w tym względzie opinie, wykazuje że duchowne osoby powinny wstrzymywać się od szachów jedynie w czasach pokutnych i w święta, kiedy mają ważniejsze za-

---

[67]) Obacz listy jego w wydaniu paryskiém z 1610 Księga I. List 10, i Żywoty świętych Suriusza na dzień 22 lutego str. 174.

[68]) Glossarium ad scriptores mediae et infimae latinitatis. Basileae 1762 T. 3. str. 90.

[69]) Opusculum enchiridion appellatum ferme de omni ludorum genere. Oppenheim 1514 str. 14 30.

jęcia, i że nie wypada im grać publicznie, ani o pieniądze. —

Pisze też Paweł Jowiusz w życiu Leona X, że światły ten papież lubo potępił kości, lubił grać w szachy i był w nich bardzo nawet biegłym. ([70]). — Sobor prowincyonalny meksykański pozwolił w XVI wieku duchownym używać tej rozrywki byle nie publicznie, nie grano w pieniądze i nie z kobietami, lub w ich przytomności ([71]). Sobór nakoniec Trydencki rozstrzygnął także w podobnym duchu rzecz co do rozrywek duchownym pozwolonych. W Polszcze powiedział już w roku 1615 współczesny Gabrielowi Leopolicie kapłan *Kasper Cichocki* w swych *Rozmowach Osieckich* ([72]) że „wiadomo jak i szachy znalazły surowych cenzorów, lecz że zabawiał się niemi sam często, nie dla lichego zysku ale dla zajęcia umysłu, co też, jak mniema, żadnemu duchownemu wzbronić nie można.“

Przeglądnąwszy to wszystko, cokolwiek udało nam się wynaleść o téj grze w Polszcze z XVII i pierwszéj połowy XVIII wieku, przechodzimy do czasów Stanisława Augusta, w których jak powiada uczony Łukasz Gołębiowski ([73]) mieliśmy niemało zawołanych szachowych graczów. — *Krasicki*, co ledwie który przedmiot zostawił nietkniętym od lekkiego swego a dowcipnego pióra, poświęcił parę kartek i szachom ([74]) przyznając im *pierwsze miejsce między grami* i mieniąc je być *fraszką tylko z pozoru o któréj warto pisać.* Nie rozwodzi się nad wyłuszczaniem istoty téj gry, *bo jest jak uważa, po-*

---

[70]) De Vita Leonis X. ks. 4. str. 86.

[71]) Thomasinus de veteri et nova ecclesiae disciplina T. 3. str. 1352.

[72]) Alloquia Osiecensia. Cracoviae 1615 str. 482. I on nazywa Szachy „*Latrunculos.*“

[73]) Gry i zabawy —Warszawa 1831 str. 34.

[74]) Obacz dzieła jego Warszawa 1829 T. 7. str. 246—250.

wszechnie znaną, i przestaje na podaniach i wnioskach o jéj początkach. Wątpi słusznie aby była znaną Grekom i Rzymianom i przywodzi znaną powiastkę o Braminie, który miał ją wynaleść dla dania zręcznéj nauki indyjskiemu despocie, że sam bez miłości i wierności poddanych nic zdziałać nie zdoła. Wiadomość tę zamyka Krasicki bardzo pobieżną a po większéj części mylną wzmianką, o kilku pisarzach szachowych, gdzie dostała się jak uważaliśmy wyżéj, i Kochanowskiemu uwłaczająca nazwa *tłumacza* Widy.

Drugi ówczesny poeta *Trembecki* był sam zawołanym szachmistrzem, a miał jak pisze Gołębiowski ([75]) „równego sobie a pono wyższego żyda, z którym grać „lubił. Przybywa celujący w téj grze do Warszawy „Anglik, był u dworu, pokonał najsławniejszych graczy „naszych i Trembeckiego nawet. Szło o narodową sła„wę, porozumiawszy się z żydkiem i opowiedziawszy „mu sposób gry cudzoziemca, Trembecki anglika do „siebie zaprasza, i żydek ów przypadkiem jakoby tam „się znajduje. Słabego udaje Trembecki, a zatem tak „dzielnemu graczowi nie mogącego sprostać, prosi: ażali „nie zechce Anglik chwilę rozerwać się z dość biegłym „w téj grze polskim żydkiem.

„Rzucił nań okiem pogardy cudzoziemiec dumny, o„pieniądze i dość sporą liczbę żydka wyzywa. Zezwala „na wszystko żydek jeśli przegra, lecz nawzajem oświad„cza „że kiedy mu się wygrać zdarzy, nie pieniędzy „Anglika pragnie, lecz wymawia sobie, iż dla pamiątki „urżnie mu guzik od sukni.“ Przystaje na to Anglik, „siada i... przegrywa. „Więc mój guzik jeden,“ ozwie „się żydek, i utnie guzik od spodni, zwierzchnéj sukni „oszpecać nie chcąc, jakoby... Zdziwiony i rozgniewa„ny Anglik gra coraz dalej, coraz gorzej; przybywa nie-

[75]) Gry i zabawy, jako wyżéj. —

„znacznie ktoś z gości, z osób od dworu monarszego. „Anglik traci guzik jeden po drugim, w wściekłość wpa„da, i w ręku trzymając ten ubiór, przeklenstwa angiel„skie na zwycięzcę miotając wypada na dziedziniec, po„wozem Trembeckiego do siebie wraca, żydkowi odsyła „ile wynosić mogła przegrana, lecz ten mu guzików „nie zwraca, Anglik równie pieniędzy raz poświęconych „przyjąć nie chce. — Opuszcza Warszawę cudzoziemiec, „dobrze że w łeb sobie nie strzelił. Król się naśmiał z téj „przygody i złostki dumnemu wyrządzonéj, zwycięzca „i od monarchy udarowany hojnie, do Trembeckiego „tak przylgnął, że po wypadkach ostatnich z nim w Tul„czynie osiadł i chwil jego aż do zgonu towarzysz lu„by, samotność, troski jego i cierpienia koił, grywając „z nim często.“ —

Wielkim téj gry zwolennikiem i znawcą był na dworze Stanisława *Antoni Dzieduszycki*, Pisarz Wiel. Litewski, Sekretarz Rady nieustającej i Jenerał poczt w królestwie, który zgromadzał zwykle co tydzień wszystkie szachowe znakomitości w swém pomieszkaniu w gmachu pocztowym przy ulicy baraniéj. Przecież, mimo tak dawnego, jak widzieliśmy i tak wielkiego upowszechnienia téj gry u nas, niemieliśmy do najnowszych czasów żadnego polskiego dzieła, gdzieby jéj prawidła i tajniki teoretycznie i praktycznie dla pragnących wydoskonalenia się w niéj wyłożone zostały, kiedy inne narody liczą po kilkanaście i kilkadziesiąt podobnych.

Dopiero w r. 1809 wyszło we Wrocławiu bezimienne tłumaczenie pisemka angielskiego *Adolfa Jul. Fieldinga* pod tytułem: *Nowy sposób nauczenia się gruntownie gry Szachów* zawierającego sześć wzorowych partyj i 15 rozlicznych stanowisk, gdzie po kruciuchnym wykładzie prawideł i własności figur, z całych partyj przechodzi do zakończeń tak zwanych *końcuwek*. Zdaje się jednak że bezimienny nie tłumaczył z angielskiego, (około r.

1800 wydanego oryginału) ale już z niemieckiego przekładu, w Berlinie pierwszy raz w roku 1803 ogłoszonego. Toż samo polskie tłumaczenie umieszczono dosłownie w dziełku: *Najnowszy almanak dla grających w karty i w szachy przez Juliusza Cezara we Wrocławiu 1821.*

Pierwsze zaś i jedyne dotąd, ile wiem, *oryginalne polskie dzieło o szachach* ukazało się dopiero przed 20 laty pod tytułem: *Strategika szachowa czyli praktyczny sposób doskonalenia się w grze szachów przez K. Krupskiego redaktora Gazety Warszawskiéj. W Warszawie 1835,* (8ka, w jednym tomie str. 302) autor powiada w przedmowie, że „upodobanie w nich u nas a szczególniéj „w Warszawie, gdzie niema żadnego porządniejszego „domu, w którymby nie umiano grać w szachy, a przy„tem brak nauki téj gry w języku polskim, zachęciły „go do napisania niniejszego dziełka, bo wydana w 1809 „w Wrocławiu broszurka zdoła raczéj odstręczyć od sza„chów jak zachęcić.“ Najlepszym pewnie dowodem prawdziwości twierdzenia Krupskiego co do zamiłowania gry u nas jest dołączony do dzieła spis prenumeratorów obejmujący *dwieście dwanaście* nazwisk między któremi znajduję: Ogińskich, Tyszkiewiczów, Wołłowiczów, Wielchorskich, Branickich, Rzewuskich, Olizarów, Leduchowskich, Niemojewskich, Swiejkowskich, Roztworowskich, Gliszczyńskich, znacznych urzędników, jak Lubowidzkich i t. d., a nie jeden po dwa i więcéj egzemplarzów zamówił. Krupski, doskonały widać znawca téj gry, korzystał z najlepszych w tym przedmiocie dzieł angielskich, francuzkich i niemieckich, i przysłużył się polskim jéj miłośnikom, książką podającą w sposób jasny, wywodny i nauczający, łatwość do zgłębienia wszystkich jéj zasad i trudności. Wykład teoretyczny poparł i objaśnił ćwiczeniami praktycznemi, na 300 przeszło tablicach systematycznym porządkiem ułożonych. Odrzu-

cił dawniejszą metodę *analityczną*, któréj trzymał się *Filidor* i wielu innych mistrzów, gdzie z całych partyj do ułamków i pojedynczych zakończeń (matów, końcówek) przechodzą, a przyjął metodę *syntetyczną* postępując stopniowo od najprościejszych położeń i matów do najzawilszych stanowisk. Słusznie bowiem uważa: że „i na „wojnie, któréj obraz przedstawiają szachy, nikt nie od- „ważyłby się rozporządzać wielką armią, nieumiejąc „dowodzić korpusem, prowadzić pułku, kompanii a na- „wet plutonu“. Podał też łatwy sposób matowania ogołoconego króla popkiem i konikiem, co najzawołańsi mistrze poczytali za jedno z najtrudniejszych zadań, niepodając do tego żadnych stałych prawideł. Powiada że: według jego metody, dzieci nawet pojęły ten mat za jedną lekcyą i dawały go każdemu najbiegléj broniącemu się graczowi. Przydał na końcu przeszło 300 zajmujących końcówek najsławniejszych mistrzów, między którymi przywodzi i *Aleksandra Hoffmana z Warszawy*, który, jak słyszałem od osób, co z nim grały, niemiał równego sobie w téj stolicy (w latach 1825-1835) a będąc nieco podobnym do Diogenesa, musiał być opatrywanym w jaki taki surdut, kapelusz i bóty, aby módz się pokazać u najpierwszych osób pragnących grać z nim u siebie.

Do celniejszych szachmistrzów liczono też powszechnie *Jerzego Samuela Bandtkiego* w Krakowie, który, gdy mu wiek mocno osłabił pamięć, przenosił tę grę nad rozmowę, na któréj nie zawsze dobrze wychodził, mianowicie z uczonymi wypytującymi się o różne szczegóły historyczne lub bibliograficzne. Jeden ze znakomitych naszych wieszczów powiadał mi, że gdy odwiedził pierwszy raz Bandtkiego aby zasięgnąć od niego pewnych objaśnień, zapytał go przedewszystkiem stary literat, „a gra pan w szachy?“ „Nie odrzecze zdziwiony.“ „Ha! to więc rozmawiajmy!“ Podobną sławę szachową miał

także *Izydor Sobański* obywatel podolski, zmarły przed kilką laty we Francyi: zasługuje na nią słusznie i *Jan Nowakowski* artysta dramatyczny, który rozwiązał parę szachowych zadań podanych *w lipskim illustrowanym Tygodniku*. W Poznaniu zawiązał się niedawno *klub szachowy* (jakich liczą dziś w Europie: w Indyach i Ameryce przeszło trzydzieści) i wyzwał z końcem r. 1838 *klub berliński* na dwie rozprawy, które odbyły się w latach 1839 i 1840 w ten sposób, że każde pociągnienie ogłaszała co tydzień z jednéj strony gazeta Vossa w Berlinie z drugiéj Gazeta poznańska. Zmarły w r. 1846 głośny berliński szachmistrz doktor *Ludwik Bledow* członek komissyi do kierowania temi partiami od klubu berlińskiego wybranéj składającéj się z ośmiu graczów, ogłosił w r. 1843 te długie, z zupełnym dla Berlina zaszczytem przeprowadzone walki, bo w pierwszéj poddał się klub poznański przy 24tem pociągnieniu, a w drugiéj już przy 19tem [76]). Gdy mój ojciec, wielki gry téj zwolennik, odwiedził Bledowa w Berlinie w r. 1843, dał mu dla mnie wykaz dzieł najlepszych w tym względzie a oraz spis celniejszych graczów poznańskich, między któremi stoi Referendarz *Jerzewski* i głośny potém w r. 1848 *Krauthofer* (Krotowski).

Lecz godzi się już przestać, boby mnie posądził może *Dodatek do Czasu*, że takiemi artykułami staram się go *zamatować*.....

---

[76]) Zwei und Fünfzig Correspondenz-Partien Berlin 1843. 8vo Drugi tytuł: Die zwischen dem Berliner und Posener Klub durch Correspondenz gespielten Schach-Partien mit Anmerkungen und Varianten nebst einer Sammlung von Fünfzig anderen Correspondenz-Partien herausgegeben von L. Bledów.

Maurycy Dzieduszycki.

O WYKOPALISKACH LEŻAJSKICH

RZECZ ARCHEOLOGICZNA.

Gdzie ty święta przeszłości macierzystéj ziemi
Z twojemi bohatyry z bogami twojemi?
Z pieśnią dzielnych lirników synów twego łona?
Przeminęłaś na świecie jakby snem prześniona.
Któż cię potrafi dzisiaj wyczytywać biegle
Na staroświeckiéj książce lub na staréj cegle?
Kiedy twoją pamiątkę znajdzie w polu chłopię
Albo ciekawy rydel w kurchanie odkopie,
Ze szkieletu, z okruchów żelaza lub gliny
Któż zdoła wypowiedzieć los całéj krainy
Kto wyssać świętą prawdę z podaniowych baśni?
Kto w literze zamknięte życie nam objaśni?
Kto zmrok zapadłych czasów odświetli choć trocha?
Chyba serce pobożne co praojców kocha.

Margier — poemat Wł. Syrokomli. Pieśń I.

W r. 1853 w piśmie czasowem wychodzącem we Lwowie pod nazwą: *Dziennik Literacki* w nr. 32, wyczytałem doniesienie z Leżajska, z podpisem: „X. Marya Podgórski wikary w Leżajsku:“ o odkrytem tamże uroczysku i znajdowanych na niém odłamach urn, przedmiotów

srebrnych, brązowych i żelaznych, oraz pieniążków rzymskich. Doniesienie w krótkich zawarte słowach, podawało tylko wiadomość pobieżną o miejscu i przedmiotach wynajdywanych bez szczegółowego onych opisu; i niejednego zapewnie z naszych archeologicznych badaczów zwróciło w swoim czasie uwagę, zwłaszcza: że o podobnych odkryciach u nas w Galicyi, rzadko zasłyszeć można.

Wiadomość ta i mnie mocno zajęła. Wiedząc zaś iż nad dolnym Sanem od dawna znajdowano urny i inne wykopaliska, pragnąłem teraz kiedy o nowych doniesiono odkryciach, rzecz tę zbabać bliżéj i ileby można szczegółowo.

Nie znając osobiście ks. Podgórskiego, ani też mając sposobność dotrzeć na miejsce, postarałem się za pośrednictwem wspólnego nam znajomego zawiązać z nim listowne porozumienie. Pośrednictwo to otwarło mi drogę jakiéj pragnąłem i postawiło od razu na stanowisku dobrych stosunków. W ks. Podgórskim znalazłem męża światłego i rozumiejącego głęboko rzecz o któréj doniósł, a zarazem chętnego i uczynnego pomocnika w badaniach moich. Z rzadką też uprzejmością, nie tylko że mi wszelkich o które go prosiłem dostarczył objaśnień, ale nadto: wszystkiemi znalezionemi przedmiotami w wykopaliskach Leżajskich raczył zbogacić zbiorek mój archeologiczny. Od dwóch lat przeszło od tego czasu wymieniliśmy z sobą w téj sprawie nie mało listów, bo nie o jedno trzeba mi było się pytać, wiele żądać wyjaśnień i równie dużo otrzymywać odpowiedzi; a stosunek nasz choć między nieznającemi się osobiście, utrwalił się owemi listami. Jak zaś pożądana jest taka pomoc w badaniach naukowych, i jak miła taka spójnia kiedy ją napotkać zdarzy się — każdy zrozumie.

Mając więc pod ręką wykopaliska i potrzebne do nich miejscowe wyjaśnienia z łaski ks. Podgórskiego,

zająłem się ściślejszym onych rozpoznaniem. Badania głębsze doprowadziły mnie do przekonania: że aczkolwiek znaleziska te drobnych są bardzo rozmiarów, połączone wszakże z datami historycznemi owych mgłą zaciemnionych czasów — kiedy po ziemiach słowiańskich różne przesuwały się ludy, i z tem co o tamtych czasach i ludach przekazali nam starzy historycy, a nowsi starali się zbadać i rozjaśnić, do pewniejszych mogą doprowadzić wniosków i przypuszczeń. Raz rozpoczęta rzecz urosła w dość spore notaty, których w tece dla siebie samego tylko, sądziłem iż nie należy zatrzymywać. Ztąd, tak o samych przedmiotach, jako i wyniku z nich historycznem powstało to sprawozdanie. Starając się rzecz tę jak rozumiałem ująć w pełności, niechciałem poprzestawać na samym tylko — i czczym do niczego nie prowadzącym opisie wykopalisk, a przez to, przyszło się nad nią przydłużéj trochę rozpisać.

Od lat kilku badania archeologiczne zajmują u nas wielu poważnych ludzi, zwłaszcza na Litwie i w Królestwie, a w ostatnich czasach pojawiały się gęściéj w literaturze naszéj pisma téj treści. Dotąd jednakże nad znajdowanemi w różnych stronach kraju przedmiotami mało kto głębsze robił studya, poprzestając li na powierzchownem onych opisie. Mimo więc tych prac, nauka archeologii niestanęła u nas dotąd na stanowisku głębszéj, rozumującéj, krytycznéj umiejętności — niepodała dotąd ręki swej starszéj siostrze historyi, niedopomaga do rozświetlenia ciemnych często onéj manowców. Wyjątek może jedyny choć i to nie w zupełności stanowi M. Grabowski w swéj „Ukrainie.“ Prawda że u nas mało bardzo w ogóle na téj drodze robiono; dla tego brak nam jest wielki przygotowawczych badań, źródeł, a nawet samychże zbiorów — bo nie wielu ludzi i w téj chwili jeszcze, zwraca uwagę swoją na podobne przedmioty.

W innych zagranicznych literaturach, daleko wyprzedzono nas już w tym względzie. Francuzi, Niemcy a nawet pobratymcze nam Czechy oddawna zapatrują się z krytycznego i badawczego stanowiska na Archeologią, jako już na stanowisku umiejętności u nich będącą. Piszą obszerne dzieła i wywody, zakładają muzea, tworzą na wszystkie strony Towarzystwa Starożytnicze. Da Bóg, może i u nas zaświeci przecie jaśniejsza gwiazda w tém polu. Dla tego jako jéj zwiastunę, z radością pełną dobrej otuchy, witamy nowo powstające muzeum archeologiczne, wraz z stowarzyszeniem ludzi tego zawodu w Wilnie, pod sterem wielkiego miłośnika i znawcy starożytności Eustachego hr. Tyszkiewicza.

W badaniach archeologicznych przedmiotów, zwłaszcza po wykopaliskach wynajdywanych, nie tylko zwracać należy uwagę na ich kształty i powierzchowność, ale zarazem poznaćby trzeba do jakich ludów i w jakich czasach należeć mogły; a żaden szczegół, żadna na pozór drobnostka nie może uchodzić badawczego oka. Z tak dopiero wyrobionemi wnioskami jeżeli się je zatrzymuje na karcie historyi, można wtedy albo ją zatwierdzić, lub też według potrzeby rozjaśnić i sprostować. Bez podobnéj archeologicznéj dążności, sama archeologia byłaby mało znaczącą nauką, albo raczéj czczą tylko zabawką, a często manią tych lubowników — coby staremi skorupami, odłamami kamieni, lub kawałami brązu, żelaza i miedzi, zapełnić radzi półki w swojém mieszkaniu.

W moich badaniach nad Leżajskiemi wykopaliskami spotkać mi się wypadało z twierdzeniami najpoważniéjszych badaczów ubiegłych wieków Staro-Słowiańskich z twierdzeniami Lelewela i Szafarzyka. Prostować wnioski tak wielkiéj u nas powagi, nie lada zapewnie zadanie; wszakże jeżeli potrzeba i należy, i przed tém uchy-

lać się nie można. Podając znowu moje własne wywody w téj sprawie, udawać je za pewniki niemam zamiaru. Bo w rzeczach tak odległéj starożytności, tak czysto na domysłach i przypuszczeniach opartych, gdzie świadectwa historyczne tak są niepewne lub też dwójznaczne, mimo wszystkich rozumowań i dowodzeń, wnioski i przypuszczenia nie tak łatwo zaraz, dadzą się ująć w pewniki. Posłużyć one jednakże mogą następnym, jak owe drogoskazy osadzone na rozstajach, do obrania pewniejszéj i wygodniéjszéj ścieszki wśród rozbiegających się kilku. Wymieniając zaś zkąd i gdzie co czerpałem, legitymuję się niejako przed czytającym, na czém wnioski moje opieram. Odległość, a bardziéj okoliczności, które nie zawsze mimo chęci przełamać można, niedozwoliły mi zbadać osobiście miejscowości Leżajska. Odosobnienie znowu na wsi od obszerniejszych książkowych pomocy, i konieczność ograniczania się na podręcznych tylko źródłach, mogły nie jednę usterkę do pisma tego dopuścić. Podaję więc, na co mnie stać w téj rzeczy.

I.

Zanim przystąpimy do opisu i ocenienia przedmiotów archeologicznych znajdowanych w wykopaliskach Leżajskich, i opowiemy zdanie nasze pod względem ich starożytności i pochodzenia, nie od rzeczy pierw jeszcze będzie rzucić okiem na położenie geograficzne samego Leżajska i okolicy, niemniéj skreślić z rozrzuconych wspomnień dziejowych choć pobieżnie, rys historyczny miejsc owych. Pojęcie okolicy wpłynąć może choć trochę na oświetlenie przedhistorycznych czasów, z których zabytki wykopywane pochodzą, i rzucić jaśniejszy promyk na ludy i ich charakter, do których w swym czasie należały. Wspomnienia zaś dziejowe, zapisane już na kar-

tach historyi, jakkolwiek nie mogą nas wszystkiego pouczyć pod względem tych zabytków, to przecież, winny być owém ogniwem łączącém czasy przedhistoryczne z historycznemi, wykazać — że na tych samych miejscach, gdzie nieznane nam teraz ludy swe koczowiska miewały — i w historycznych już czasach nie jedno zaszło zdarzenie godne uwagi; a obok miejsca wielkich dawniéj grobowisk i mysteriów pogańskich, jaśnieje teraz pełen łaski i cudów obraz Matki Zbawiciela.

Temu historycznemu przeglądowi, wiemy iż dużo tu brakować będzie; wszakże niedokładność tę niechaj usprawiedliwi brak wielu materyałów podręcznych, niemniéj i to — że głównym celem naszym, nie jest spisywanie historyi miejscowéj, któraby nawet za daleko zaprowadzić nas musiała.

Na prawym brzegu Wisły, na dolnym do niéj biegu Sanu, zaległa lesista, zapadła, podmokła okolica, która aż w Żółkiewskie i Złoczowskie przechodzi. „Szeroki pas ziem piaszczystych — mówi nasz Geograf [1]) — od urodzajnych namulisk począwszy, a kończąc na najlekszych wydmuchach, pokrywa tu ogromną przestrzeń ziemi, poczynając się na zachodzie, już w północnéj części Tarnowskiego od ujścia rzeki Nidy, ciągnie się na poprzek dolnéj Wisłoki i dolnego Sanu na *Leżajsk*, spuszcza się następnie raz ku Wiszni Sądowéj łukiem, podnosi się daléj jak Jaworów i Janów, zalega całą południową część Żółkiewskiego wyjąwszy ziemi Bełzkiéj, i przeciąga się daléj na Wschód. Cały ten pas ziemi jest lasami pokryty, a tak należy uważać tę okolicę, za obszar leśny, miejscami tylko wytrzebiony, tak, że wsie tutaj położone, są istotnie tylko leśnemi polanami, otoczone dokoła nieprzeciętym dotąd lasem.“

W takiéj to okolicy nad dolnym Sanem — o milę ni-

---

[1]) W. Pol — Rzut oka na północne stoki Karpat str. 75.

żéj po ujściu Wisłoku do Sanu, jest *Leżajsk*. Okolica cała zasypana tu piaskami, zarosła szpilkowemi lasami, zwilżona podmakającemi wodami i moczarami, dziwnie posępne przedstawia oku wejrzenie. Na powierzchni gdzie niegdzie zwir, jak około Majdana, indziéj wiele odcisków muszlowych i roślinnych, jak koło Raniżowa, indziéj znowu wielkie bryły granitu polnego, jak koło Raniżowskiéj Woli. Jest i ruda błotna, a z rzadka płaty ziemi glinkowéj. Gór niema nigdzie. Wielka to równia urozmaicona tylko miejscami: lekkiemi, falistemi, gliniastemi wzdęciami i nasypiskami piasku.

Taka lesista i posępna jak widzimy miejscowość, jak z jednéj strony przeważnie musiała wpływać na charakter osiedlających się tu ludów, tak znowu strzegąc je od obcego napływu, pozostawiła aż dotąd na tutejszych mieszkańcach wybitne piętno téj miejscowości, i zatrzymała na nich pewne powinowactwo pierwotnego ich pochodzenia. Pierwotne bowiem osady tutejsze, dla swéj lesistéj siedziby, ani do szczętu wyparte z swych siedlisk, ani wytrzebione być mogły — a światło chrześcijańskie późniéj zapewne niż gdzieindziéj, wśród tych borów zaświtać mogło. W pokoleniach więc dzisiejszéj tu ludności nie bez przesady sądzimy, szukać należy potomków owych praojców, których popioły wraz z zabytkami w urnach po tutejszych wynajdujemy wykopaliskach. Zwrócić nam przeto także uwagę należy na dzisiejszych tych okolic mieszkańców, na lud tutejszy, na jego charakter, usposobienie i obyczaje, postawę i strój. —

Lud ten zwany Leśniakami, Borowcami lub Grebowiakami [2]) osiadł północną część Tarnowskiego, Rzeszowskiego od Sokołowa i Mielca, pomiędzy Wisłoką a Sanem, ku Wiśle.

---

[2]) **W. Pol — Rzut oka na północne stoki Karpat str. 79.**

Ród to miernéj budowy ciała, cery więcéj śniadéj, włosu płowego, źrenicy dużéj, oczu pospolicie piwnych. Religijny, do kościoła przywiązany, naiwny, lecz bardzo zabobonny. Skłonny do złodziejstwa i rozpusty. Mowy polskiéj, wymowy syczącej. [3]). Rzeka Wisłok stanowi na teraz granicę Polaków od Rusinów, wszakże i na lewym jéj brzegu znachodzą się osady ruskie. Sam nawet Leżajsk po téj tu stronie będący, ma dotąd cerkiew wschodniego obrządku i ludność tego wyznania, choć ta ni słowa po rusku nie mówi. Co dowodzi, że obrządek wschodni i mowa ruska pierwéj i daléj w te strony posuwała się.

Cała okolica Leżajska, posiada dużo legend i gadek, a nawet pieśni miejscowych. Rozmiłowany w swoich rodzinnych stronach X. Podgórski, zajął się z całą skrzętnością ich zbieraniem i ma już pono, sporą tego wiązankę, obiecując, kiedyś ją na świat pokazać. Daj Boże aby się z tem nieociągał. Przecież w nich nie jedna skazówka znaleśćby się mogła, do odgadnięcia przeszłości i pochodzenia tego leśnego ludu — mimo wszelkich błędnych dowodzeń i spotwarzeń przez p. Berwińskiego, tej jak ją niewłaściwie nazwał „literatury ludowéj.“ [4]). Podania i zwyczaje ludowe należy tylko oczyścić z napływowych, oddzielić co mają właściwego w sobie, a co obcego — ocenić należycie i umieć poszukać ich duchowego pierwiastku, wcielić się duchowo w nie a do wielu rzeczy klucz w nich znaleśćby można; przedrwiewać zaś, nikomu ich nie wolno. Z powinowactwa podań i zwyczajów pomiędzy obcemi sobie narodami, da się odszukiwać i powinowactwo pochodzenia — lub

---

[3]) Wiadomości od X. Podgórskiego.

[4]) Studya o literaturze ludowéj R. W. Berwińskiego — Poznań 1854 Tomów 2.

zkąd one i dokąd, a nawet prawdopodobnie kiedy, napłynąć mogły. —

Ciekawe szczegóły co do ubioru, pojęcia estetycznego, budownictwa itp. jakie mi w swych łaskawych korespondencyach X. Podgórski udzielić raczył, pozwalam sobie tutaj dosłownie z listów jego umieścić, bo trudno byłoby komu innemu z równą bacznością na wszystko, miłością i zapałem, o tamtych stronach przemawiać: „Badałem zabobony tutejsze — pisze w jednym z swych listów X. Podgórski — z czém wszakże przed xiędzem lud bardzo się kryje. Świadczyłyby one, że czczono tutaj kiedyś żywioły, niejakie duchy wyższe, wierzono w nieśmiertelność duszy“.

„Co się ubioru tyczy — mówi znów dalej — jest niby rycersko królewski. Sukmana z tak zwanemi *siekierkami* to jest występami na kłębach do podtrzymywania kupli. Przezwisko zaś siekierki czyli nie przypomina, że za pas kładziono siekierki wojenne? Czapka zwana *magierką* koronę zębatą przypomina. [5]). Na mężczyznie wszędzie i zawsze wisi torba skórzana (znak to pochodzenia ludów wędrownych) bo kieszeni nie zna. Spodnie obcisłe. Na nogach chodaki. Strój kobiecy podobny męzkiemu, tylko że dziewczęta noszą na głowie tak zwaną *chustkę prostą*, co zupełnie jest to samo co *fascia diademalis*, opasuje bowiem tylko czoło i boki głowy; tak iż wierzch zupełnie nie pokryty. W ubiorze tym przy nadzwyczajnéj prostocie jest wzgląd jakiś dziejowy i uwzględnienie nawet estetyczne. Pod ręką artysty stać się może bez żadnéj istotnéj zmiany: klassycznym“.

„Ma lud tutejszy nie uwierzy pan może — pisze mi następnie X. Podgórski — swoje w części lokalne nawet

---

[5]) O pierwotnym kształcie koron najdawniejszych i ich podobieństwie do czapek — zob. pismo: Anzeiger für Kunde der deutschen Vorzeit. Dritter Jahrgang Nürnberg 1855. N. 8 artykuł: „Ueber viereckige Kronen“ O. J. Falcke.

rysownictwo. 1o, na pisankach. Znaczenie jaja przecież od zamierzchłych wieków jest hieratyczne. Takie miało ono znaczenie i u Słowian. Zdobią go tu rysunkiem stałym, jakby w tém jakaś świadomość była; rysunkiem *lokalném*. Pisanka musi być zawsze przepasana taśmą, jakby grecki omfolos, rozmaicie zdobioną, w rozmaitych kombinacyach.

„Używają jeszcze pospolicie do jéj ozdoby, *gałązki chojowéj*, ślimaków rozmaicie ułożonych, niekiedy gwiazd, paprotki, malin. Wykończyć ten rysunek a będzie doskonałéj piękności. — 2o, Drugie właściwe stronom tym rysownictwo jest na *zawiciach* (rańtuchach), koszulach, prostych chustkach. Już ktoś w „Przyjacielu Ludu“ mówiąc o wykopaliskach grobowych dawnych Słowian, rzucił słowo iż zdaje się, jakody ulubioną i uświęconą linią Słowian, była linia *ślimakowata*. Potwierdza się to w tym kącie na wyszyciach powyżéj wyrażonych chust. Wyszycia te gdyby były czysto zrobione, prześliczny stanowiłyby rysunek. Podstawą jego jak nadmieniłem, jest linia ślimakowata i kombinacye jéj — zygzakowe, kraciaste, oraz wtrącone do przyozdobienia, młode omdlałe gałązki świerkowe, bławat, młynek, miesiączek, poziomki, koło wozowe, kubek kielichowy, groty dzid. Główne siedlisko wyszywających robotnic, któremi są proste wieśniaczki, jest między Raniżowem a Grębowem. Drobne to niestety i bardzo drobne znaki jakiegoś estetycznego zmysłu — wszelakoż i tych pomijać nie można. —

„Szczególnym sposobem domy tutaj takie budują, podobnym zupełnie do greckiego. Przyczółki zawsze od gościńca, w których jedno lub dwa okna. Okap zawsze nad okna wysunięty. Dach z dranic i tak niski iż pod nim stanąć w żaden sposób nie można. Ledwo półtora łokcia ma nieraz wysokości od szczytu. Przyczółki dachowe często z jednéj i z drugiéj strony nie zabite, a

wiatr i śnieg swobodnie przelatują przez całą powałę. Tak kryta jest tylko izba mieszkalna, gdy tymczasem przytykająca w tyle komora i stajnie, mają już szczytowy słomiany dach".

„Między przekleństwami — mówi kończąc swoje spostrzeżenia X. Podgórski — mają tu także swoje właściwe. „Bodaj cię cud zabił — Bodaj cię smutki porwały." Czyby się nie dał uczynić ztąd wniosek na kult z czasów pogańskich(?) [6]) kładą jeszcze około Raniżowa zmarłym obol w usta. Gdy ojciec zaś umrze, a syn po nim dziedziczy grunt, kładzie nieboszczykowi w usta pieniądz miedziany i to nazywa „*dawaniem odprawy*".

Zapoznawszy się tym sposobem choć w ogólnych zarysach z położeniem stron o których nam mówić przychodzi, jak niemniéj z ludem, który je zamieszkuje; — przejdźmy teraz na pole historyczne i opisowe, samego miasta Leżajska i najbliższéj jego okolicy.

Leżajsk od mieszkańców zwane Leżeńsk — dawniéj w Województwie Ruskiém, ziemi Przemyślskiéj, położony jest w puszczy piaszczysto-lesistéj nad brzegiem Sanu, który dziś o pół mili odsunął się od miasta — a o milę zaś, gdzie Wisłok pod wsią Dębnem wpada do Sanu. Gdzie dziś wieś Stare Miasto, pół mili od teraźniejszego Leżajska; była dawniéj wieś Lanżajsko, najstarsza i pierwotna zapewnie osada tego nazwiska, a mieszkańcy jeszcze od Piastów posiadać mieli swe przywileje. ([7]) Przedwiekowe jednakże założenie téj osady,

---

[6]) „Bodaj cię cud zabił" bydź może iż to przekleństwo pochodzi od „Czud "to jest „Bodaj cię czud zabił" — co znaczy: naród dzikszy, przychodni, obcy — bo lud nasz zwykle *cz* wymawia jak *c*.

[7]) Pod względem wywodu etymologicznego znaczenia wyrazu Leżajsk — nasuwają się uwagi: Leżajsk, czyli raczéj Leżańsk ma także znaczenie inne, wtenczas gdy nie jest imieniem własném — lecz imieniem pospolitem. W takim razie jest leżajsk równoznaczącym wyrazem rzeczownikowi „legowisko." — Używa się tylko w mówie-

usuwa się przed naszemi oczami w odległą przeszłość, a ślady świadome o niéj, dość późno dopiero możemy napotkać. Tylko Jan Kochanowski w wierszu: „Dryas Zamechska“ robiąc wzmiankę o Leżajsku i tutejszéj okolicy, wyświeca nam pierwsze jemu świadome posady téj początki:

„A teraz więc te wszystkie puszcze i ze wsiami
„Król polski opatruje zawzdy starostami
„Ale przed laty (patrzaj jako wiek nasz dawny)
„Trzymał to Iwan Kustra z Kruszowa [8]) mąż sławny.

niu żartobliwem — a wtenczas daje niejednokrotnie pochop do uśmiania się z powodu zamienienia wyrazów leżajsk (legowisko) i Leżajsk (miasto) w obec niepojmujących téj igraszki słuchaczów. Przemilczałbym o tem, gdyby nie okoliczność, iż właśnie jeden z naszych przedniejszych poetów XVII wieku, bawi się w owe „bon mot“ zabawnym wierszykiem, lubo nieco w rubasznéj osnowie. Jest to Wespazyan Kochowski. Śpiewa on w „Fraszkach“ (a) o leżańsku czyli leżajsku sposobem jowialnym:

I. Na str. 127 „Sen wczesny“ z alluzyą do spania.

„Chcesz dobrze spać?, więc myśli z swojéj wyżeń łbice
„Zła droga do Leżajska, gdy na Myślenice.

II. Na str. 136 „Droga do Leżajska“ z alluzyą do nałogu opilstwa:

„Do Leżajska jak z dawna stare świadczą kwity,
„Na Chmielnik i Winiary jest gościniec bity.

Wyraz „Leżajsko“ jest jeszcze po dziś dzień w używaniu w powyższém znaczeniu, a gdy się mówi: „Jedźmy do Leżajska“ — to znaczy tyle, co: „Idźmy spać. —

[8]) Krzeszów miasteczko 2 mile odległe po drugim brzegu Sanu leżące w dawném Województwie Ruskiem, niegdyś Starostwo niegrodowe. Łukowa in dist. Krzeszowien.

(a) W dziele „Wespazyana Kochowskiego z Kochowa epigrammata Polskie po naszemu Fraszki. Kraków w drukarni Wojciecha Goreckiego r. p. 1674.“ „Mniéj te fraszki do rzeczy, lecz ztąd cenę mają, że lubo rzeczy mało, ale krótko bają.“—

„Który Leżejsko na swym gruncie zabudował:
„Tu Łukową założył — a we Pszy panował.
„Potym kiedy plemienia jego się zebrało,
„Wszystko to po nich królom w ręce się dostało."

Śpiewakowi więc „Dryas Zamechskiéj" winniśmy choć tę słabą ale najstarszą wiadomość: że Leżajsk należał zdawna do rodziny Kustry męża sławnego. Lecz kiedy to było? kto był ów Kustra? nie napotykam na ślady. Niesiecki, ów skrzętny zapisywacz rodzin i dziejów szlacheckich, nie zna bliżéj rodziny Kustrów, ani jakiego byli herbu, odwołując się tylko na to, co o nich powiedział Kochanowski w „Dryas" [9]) o Krzeszowskich zaś wie tylko: iż byli herbu Kroje, a „Krzesz hrabia wojewoda Łęczycki wieś Krzeszów od imienia swego założył, o któréj potomkowie jego Krzeszowscy". Ten zaś Krzesz jako wojew. Łęczycki przypada na rok 1210. [10]). Może to więc być: jedna i ta sama rodzina; a gdyby w istocie rzecz tak się miała, ślad widoczny Leżajska przypadałby już na początek XIII wieku; co tém jest podobniejsze do prawdy, iż w Staromieściu (dawny Leżajsk) na dębowych odrzwiach gotycką robotą w cerkwi, ma być wyrznięty rok 1228. [11]). Co do oznaczenia jednak pewnego, również sprawdzenia przytoczonych dat, trudno nam badać wieszcza z Czarnolasu i dopytywać się zkąd on czerpał swe wiadomości o Kustrze i Leżajsku. W onczas, historya rodzin i zdarzeń, była żywą kroniką w ustach szlacheckich, a tradycyjnie bez odnoszenia się do ksiąg, wiedziano kto był ten lub ów

---

[9]) Korona Polska p. x. Kaspra Niesieckiego T. II. k. 730. Zbiór nazwisk szlachty p. Piotra Nałęcza Małachowskiego k. 250. Wiadomości o klejnocie szlacheckim oraz herbach p. Ewarysta hr. Kuropatnickiego k. 55.

[10]) Niesiecki — T. II. k. 725 T. I. k. 135.

[11]) Wiadomość od X. Podgórskiego.

mąż sławny i czém się krajowi zasłużył. Kochanowski był nadto o trzy wieki bliżéj od nas od czasów Kustry, na niego więc jako na świadomszego téj rzeczy, trzeba się nam zdać w téj sprawie zupełnie, wywodząc wniosek: iż Leżajsk pierwotnie jako dobro prywatne należał do rodziny Kustrów, i że ów Iwan *zabudował* go tylko ale nie *zbudował* — że więc przedtém jeszcze, była tam już osada. Po wygaśnieniu wszakże owéj rodziny, przeszedł Leżajsk na dobro Rzpltéj, a późniéj wiele utworzono z niego starostwo niegrodowe. Skoro zaś Kochanowski mówi: „Ale przed laty (patrzaj jako wiek nasz dawny)“ widać: iż przejście to z rąk prywatnych, odleglejszych już za jego sięgało czasów.

Najpierwsza dopiero wzmianka pewna, jaką nam zdarzyło się napotkać o Leżajsku: sięga r. 1354, w którym *19 mensis Januarii* król Kazimierz W. nadając Janowi Pakosławowi dziedzicowi Stożyszcz miasto Rzeszów na własność, wymienia: „*Lanżaysko*, jako na *granicy ziemi* Jarosławskiéj leżące“ [12]).

Z przywilejów jednakże już wprost samego miasta Leżajska dotyczących, najdawniejszy znachodzimy pod r. 1397, w którym „ipso die sanctor Innocent“ w Radomiu wydanym, Władysław Jagiełło na prośbę tamecznego wójta *Joannes Valach advocatus miles* który stawił się osobiście upraszając aby dawne przywileje potwierdzone, na nowo odpisane i wydane były (zapewnie owe z czasów Piastowskich) wyraziwszy: „pragnąc pożytki nasze i państwa naszego przez osadzanie wsi i miast pomnażać, i też państwo przez karczowanie lasów i zarośli do urodzajnego przywieść stanu, postanowiliśmy wieś naszą *Leżeńsko* przeistoczyć na miasto, z nadaniem mu nazwy „*Krolowomyesto*“ podniósł Leżajsk do godności

---

[12]) Codex diplomaticus Poloniae i t. d. Leonis Ryszczewski Tom I. str. 210.

miasta. Sprzedał w nim wójtostwo Stanisławowi Jasieńskiemu mieszczaninowi z Przeworska. Przestrzeń na lokacyą miasta, naznaczył w okół jednę milę. Zwykłe królewskie daniny oznaczył. Wyjął z pod prawa krajowego i władzy starościńskiéj, pozwalając sądów według Magdeburgii — a prawo miecza oddając w ręce sławetnej radzie. Wójt zaś na potrzebę krajową miał się stawiać z jednym w kuszę (balista) opatrzonym, i jednym kopijnikiem [13]).

Z początkiem tego wieku zasłynęło miasto Jarosław w tych stronach, handlem i przemysłem, ściągając do siebie rozmaitych kupców z rozmaitych stron kraju i zagranicy a na różne strony szły ku Jarosławiu rozliczne drogi handlowe. [14]) Prawdopodobnie więc i Leżajsk jako pobliski tego ruskiego targowiska, korzystał z owych dróg i ruchu handlowego, będąc zwłaszcza nad Sanem; to téż wzrastał w handel i rzemiosła. Jakoż widzimy że w roku 1405 Władysław Jagiełło zważywszy nasuwającą się potrzebę „feria 6 post diem Cinerum“ przywilejem w Koprzywnicy wydanym, udzielił prawo osiedlenia się tutaj sukiennikom. [15])

Władysław Jagiełło ów „venator ab infantia usque ad diem mortis“ [16]) robiąc corocznie swe łowieckie po kraju objażdżki [17]) i w te tu strony snać na łowy zajeżdżał; jako w okolicę jemu miłą i pożądaną, bo lesistą i pełną grubszego zwierza, zwracając tym samym, swą królewską uwagę na miasto i okolicę. Gościł też chwilowo w tutejszych murach r. 1409 jak widać z przywileju tutaj w dzień ś. Priski 18 stycznia datowanym, na zało-

---

[13]) Starożytna Polska przez Michała Balińskiego i Tymoteusza Lipińskiego Tom II str. 669 i dokumenta miejscowe.

[14]) Wiadomości o mieście Jarosławiu p. X. Franciszka Siarczyńskiego str. 49.

[15]) Dokumenta miejscowe.

[16—17]) Długosz ks. II.

żenie wsi Giedlarowej, przez Mikołaja Giedlera mieszczanina Leżajskiego. [18]) W R. zaś 1416 w dzień oktawy po narodzeniu N. Panny na zjeździe w Sandomierzu zatwierdził wszystkie uprzednie przywileje Leżajska [19]).

Co znowu R. 1464 *Dominica proxima post Octav. Corp. Chr.*, w Krakowie Kazimierz Jagielończyk dopełnić nieomieszkał, dodając nowe dla młynów i foluszów [20].

A w R. 1494 *feria 6 proxima ante festum Sanc. Vitti*, w Krakowie, król Jan Albert, z powodu uszkodzonéj pieczęci na przywileju Władysława Jagiełły (z R. 1397?) naka ał go odpisać i zatwierdził zwąc miasto *Layżajsko* [21]).

Dotąd więc przez sto z okładem lat widzimy podnoszące się, wzrastające i uposażone przez królów miasto. Następne atoli lata, pamiętne klęskami i najazdami w strony zachodniéj Rusi, odwróciły kartę pomyślności Leżajska. W r. 1498 najazd Tatarów w okolicę Jarosławia, i zaraz po nim powtórzony napad Stefana wojewody wołoskiego, wszystkie okoliczne wsie i miasteczka spustoszyły. W cztery znowu lat późniéj, Tatarzy ponowili swe łupiezkie zagony przechodząc temi stronami Wisłę i opierając się aż o Pacanów. [22]) W tych to ogniem i mieczem znaczonych klęskach krajowych wnosić się godzi, że: uległo zapewnie i miasto Leżajsk ogromnemu wraz z całą okolicą zniszczeniu, kiedy Zygmunt Stary r. 1519 pragnąc aby miasto coraz bardziéj wzrastało i coraz do lepszego mogło się podnieść bytu,

---

[18]) Akta kościelne w Giedlarowéj — dodatek przy Gazecie Lwowskiéj r. 1852 N. 48.

[19]) Dokumenta miejscowe.

[20]) Dokumenta miejscowe.

[21]) Polska — Balińskiego — str. 670 — dokumenta miejscowe.

[22]) Wiadomości o mieście Jarosławiu p. X. Siarczyńskiego str. 51—52.

ustanowił w niém jarmark na Wniebowstąpienie Pańskie [23]).

Miało zdawna miasto prawo, ale tylko z używania poboru mostowego, z mostu na bagnach miejskich będącego, a o zatwierdzenie tego prawa postarała się sławetna rada, u tegoż Pana temi czasami. Nie odmówił swego nań przyzwolenia król Zygmunt, a mówiąc „lubo mieszczanie żadnego śladu umocowania do tego mostowego przed Nami nieokazali, o wygody ich staranie z łaski Naszéj mieć radzi“ dozwolił miastu owego poboru, uwalniając zarazem wraz z wsiami doń należącemi od Stacyi, wyjąwszy odnoszących się do przybycia królewskiego. Przywilej ten został wydany w Krakowie na sejmie walnym r. 1523. [24]).

Porażka naszych pod Sokalem r. 1519 i następnych lat zagony tatarskie w te strony, naprowadziły nowe klęski i zniszczenia na Leżajsk. Jak zaś dalece miasto i okolica zrujnowane niemi zostały, pokazuje nam to przywiléj króla Zygmunta we Lwowie, w piątek po ś. Mateuszu Apost. r. 1524 wydany, w którym jako pan mądry i dbały o swoje kraje, zwrócił bystre monarsze oko w te opustoszałe strony, i na upadające miasto, a przybywszy doń osobiście i widząc owe zniszczenie, z ojcowską pieczołowitością chcąc zatrzeć ślady poniesionych szkód, odzywa się następnie „Jako gdy przeszłych miesięcy nasi i całego Chrześciańśtwa pospolici i wieczni nieprzyjaciele Tatarzy, wielkim gwałtem w ziemię naszą wtargnęli i spustoszyli miasto nasze Leżeńsko w ziemi Przemyślskiéj będące, złupili i w perzynę przez ogień obrócili. Przybywszy pod miasto Leżeńsko, widzieliśmy jego upadek i nędzę. Ale że od obywatelów tego miasta, dowiedzieliśmy się, iż niedaleko odległe od miasta tegóż

---

[23]) Polska — Balińskiego str. 670.
[24]) Dodatek Tygodniowy do Gazety Lwowskiéj r. 1853. N. 44.

miejsce jest, wałami i bagnami od natury obdarzone i małym zachodem mogące bydź mocniejsze i do odbudowania przydatniejsze. Gdy miejsce przy mieście Leżeńsku, które odtąd i na przyszłość ma się nazywać Leżajsk Zygmuntowski (*Sigismundi Lyeżeńsko*), widzieliśmy, wybrali i naznaczyli, miasto zaś nowe Lyeżeńsko do owego miejsca aby było przeniesione pozwoliliśmy, jako téż przenosimy. Dawne ono Leżeńsko niszcząc, kasując i w niwecz obracając tylko łąki, grunta i ogrody i inne użytki nowemu Lyeżeńsku zachowując, utwierdzamy przywilejami" itd. w których nieprzepomniał król o nadaniach i ulgach wielce dla miasta korzystnych.

Przed 127 laty widzieliśmy: jak Władysław Jagiełło starą osadę Leżajsk podniósł do znaczenia i godności miejskiéj, nie szczędząc łask swych dla niego. Obecnie znowu widzimy, jak to Jagiełłowe dzieło zniszczone klęskami kraju, podnosi z upadku Zygmunt i na nowém dogodniejszém gdzie teraz jest osadza miejscu. Jagiełłowy gród powraca na dawne swe znaczenie wsi, zostawując sobie tylko jakby ku pamięci dawnych swych wspomnień nazwisko: Staro-mieścia. Zygmuntowe zaś miasto zaczyna wzrastać i utrzymuje się aż dotąd. A jak Jagiełło był pierwszym wśród lesistych piasków i uroczysk pogańskich założycielem Leżajska, tak Zygmunt jego odnowicielem a raczéj wskrzesicielem z ruiny. Dał téż ów Zygmunt na pobudowanie miasta jakąś summę gotową — i pozwolenie na trzy doroczne jarmarki i tygodniowe targi udzielił. Nie przepomniał nawet i o wsiach do miasta należących, bo te od obowiązków należnych królom uwolnił. Że zaś mówiąc o nich i wymieniając wieś Jelnę, wspomina „od wszystkich zaś prac około zamku naszego mają być wolni (Jelnianie)" [25]), widać iż w on czas, jakiś mały królewski zameczek być

[25]) **Dokumenta miejscowe.**

tu musiał, a tém samém i miasto nie liczyło się wtedy do pośledniejszych. Dziś z zamku tego ani tu śladu i tylko między ludem pewne miejsce tę nazwę zatrzymało, jak inne zwią znów: Zwierzyńcem także zapewne królewskim.

W dalszych latach, w czasach kiedy to Odrowążowie, a potém Bona, znaczne posiadłości na Rusi w swe ręce zagarnywali, dopatrujemy się, w r. 1534, jak ta królowa włoszka, otrzymała przyzwolenie na wykupno Leżańska w zastawie będącego i dzierżenia tego Starostwa w dożywociu [26]), a w skutek pewnie tego w r. 1558 zatwierdził Zygmunt August w Krasnymstawie sprzedaż przez Bonę kilku ogrodów mieszczanom tamtejszym [27]). W tymże zaś roku 1558, tenże król dozwolił „Krzysztofowi Pieleckiemu postawić w Staromieściu śpichlerz i statki budować“ [28]).

Zygmuntowskie przeto czasy, nietylko że przywróciły miasto po jego pierwszym upadku do dawnego znaczenia, ale owszem — podnosić w nich i wzmagać się poczęło; do czego samo położenie nad Sanem dużo dopomagać musiało. „Gdy zawrzał handel zbożowy ku zachodowi, a z północy przywożono futra, ze wschodu oryentalne towary, z południa woły, z zachodu żelazo i sól“ [29]). Leżajsk się podniósł i musiał zasłynąć, skoro w nieodległém mieście Jarosławiu wzięły dwa przedmieścia od Leżajska swą nazwę — „Przedmieście *górne* i *dolne* Leżajskie“. — Dla okolicy znowu, dla wsi Starostwa Leżajskiego „Zygmunt I ostatni król co skupiał w swéj duszy wszystkie promienie polskiego słońca, co nie poczuł strasznéj choroby rozdwojenia narodu, naj-

[26]) Staroż. Polska, Balińskiego, str. 671.

[27]) Dodatek przy *Gazecie Lwowskiéj*, r. 1852, Nr. 48 i 49.

[28]) Dodatek przy *Gazecie Lwowskiéj*, r. 1855, Nr. 5.

[29]) Wołoskie osady p. J. T. L. *Biblioteka Warszawska*, r. 1855, m. październik.

pierwsze zastósowanie toruńskiego statutu uczynił w Leżajskiém".

Z początkiem wszakże XVII wieku, który wiele chwały i wiele nieszczęść na Rzpltą sprowadził, blednąć powoli zaczyna gwiazda czasowéj pomyślności Leżajska — a roztwiera się owa karta niepowodzeń, które tyle miast naszych do stanu w jakim są obecnie, doprowadziły.

Panowanie Zygmunta IIIgo obfite w wielkie wypadki dla kraju, które jednak rokosze i zuchwalstwa możniejszéj szlachty głuszyły, zapisało w rocznikach Leżajskich smutne wspomnienia. Stał się on bowiem wtedy widownią i ofiarą owych domowych zamieszek i haniebnéj swawoli, tak szarpiących wnętrze staréj Rzpltéj — a które na nieszczęście, rzadko kiedy poskramiano na razie. Starostą Leżajskim był pod ów czas Łukasz Opaliński z Bnina z domu Łodziców, marszałek w. k., mąż bystrego umysłu i dużéj nauki, obszernych dostatków, a niemniejszéj zapalczywości i zuchwalstwa. Sąsiadem zaś jego był Pan na Łancucie Stanisław ze Żmigroda Stadnicki Śreniawita, odważny do zapamiętania, awanturniczego i burzliwego umysłu, zapalczywy i popędliwy do tyla, że mu aż *djabla* nadano przezwisko. Za Zygmunta Augusta walczył mężnie przeciw nieprzyjaciołom kraju. Późniéj, jako ochotnik w Węgrzech na swą liczbę dokazywał przeciwko Turkom. Potém, stanął po stronie Maxymiliana Rakuskiego i walczył przeciw swoim pod Byczyną — a do rokoszu Zebrzydowskiego silnie dołożył ręki.

Zwykłe sąsiedzkie swary dwóch tych butnych możnowładców, wyrodziły się z czasem w najazdy i boje. Najeżdżał wsie Opalińskiego i łupił Stadnicki — a mając zawsze gotową na swe rozkazy czeredę, przelewał krew bratnią, gardząc zuchwale pozwami sądowemi i zaocznym wyrokiem odsądzającym go od czci. Pojmał raz nawet *djabeł* marszałka i dopiero za wstawieniem się

innych panów, wypuścił. Mścił się nawzajem Opaliński nad Stadnickim, chcąc mu się również odpłacić — i w Wojutyczach o mało również nie przydybał. Lecz zemknął *djabeł*, a tylko Wojutycze i dwór stanęły za to w płomieniach. Działo się to r. 1604 wedle Nakielskiego a 1607 podług Niesieckiego.

Zaledwie co na chwilę wraz z płomieniami Wojutycz, przygasła zawziętość pańska — aż tu niezadługo pies gończy, którego Opaliński Stadnickiemu zabrawszy niechciał powrócić, zaciętszą i otwartą już, między przeciwnikami wywołał wojnę. Stadnicki shardziawszy przez nieobecność króla, który Smoleńsk dobywając z wojskiem tam podówczas leżał, pozbierał różnego luźnego hultajstwa krajowego i obcego — jako Węgrów, Wołochów i Cyganów, chętnych na rabunki i mordy — a niemi, nie już dobra tylko Opalińskiego, lecz i całą okolicę pustoszył. Marszałek w odpór, poczynił także zaciągi krajowe i w sześć tysięcy ludzi z obu stron zkrzyżowały się z sobą sąsiedzkie szable, a *Leżajsk zgorzał wraz z kościołem* w tėj zawierusze domowėj.

Opaliński przydybawszy następnie sąsiada i jego rozbójniczą hałastrę pod Tarnowcem w otwartém polu, i z pomocą milicyi księżnėj Ostrogskiėj bitwę z nim stoczył, — i zgraję Stadnickiego 500 trupem na miejscu położywszy, rozgonił. Wtedy to i *djabeł* postrzałem w kark ugodzony, poległ. Było to 14 sierpnia 1610 r. Nie skończyło się wszakże i na tém.

Synowie poległego zapozywali Marszałka na trybunał a nawet do Sejmu, lecz dla zasądzonego poprzednio banity, nie znaleźli sprawiedliwości. Mścili się zatém po staremu na swoją znowu rękę na Opalińskim, paląc również wsie okoliczne i *Leżajsk*, aż zwykłą koleją rzeczy i na nich, banicyą litera prawa orzekła [30]); ile zaś

[30]) **Piasecki Paweł, *Chronica*. — K. Niesiecki, *Korona Polska*.—**

w takich domowych zajazdach ucierpiało miasto i okolica, łatwo zrozumieć.

Lecz i nastające lata coraz to gorzéj się znaczą: w r. 1623 morowe powietrze wielkie spustoszenie sprawiło w całéj okolicy i tutaj, tak dalece, że proboszcz miejscowy X. Felix z Skarszowa z duchowieństwa sam jeden i to z wielkiém niebezpieczeństwem ocalał [31]). Pożar zaś wielki w miesiącu wrześniu miasto w perzynę obrócił [32]).

W roku daléj następnym 1624 w oktawę Bożego Ciała tutejsze strony splondrowali Tatarzy, spaliwszy w Leżajsku budynki ekonomiczne [33]). A rok 1672 zniszczył miasto pożarem.

Owe daléj wojny szwedzkie co zniszczeniem kraj cały napełniając, niewygasłą dotąd pamięć po sobie zostawiły wszędzie, niemało także dały się we znaki stronom Leżajska swém plondrowaniem. Podczas bowiem pierwszego najazdu Szwedów pod Karolem Gustawem częste tutaj staczano potyczki. Roku 1656 przebywał nawet chwilowo w Leżajsku sam Karol Gustaw [34]) a 12 Marca roku tegoż zniósł w tych stronach Czarniecki Duglasa nad Sanem, [35]) pomiędzy Jarosławiem a Leżajskiem. „Polacy znów pod dowództwem Czarnieckiego, Lubomirskiego, Sapiehy, Wiszniowieckiego i Sobieskiego otoczyli w okolicy Leżajska zewsząd Karola Gustawa i pewnie wkrótce byłby się stał ich niewolnikiem,

---

Nakielski Samuel, *Miechovia sive promptuarium* itd.—Siarczyński Franciszek, *Obraz wieku panowania Zygmunta III.*

[31]) Nakielski, *Miechovia.*

[32]) Tenże, str. 884.

[33]) Nakielski—Miechovia str. 903 — Baliński w Starożyt. Polsce mówi iż to się działo 1623 r.

[34]) Staro. Polska Balińskiego str. 671.

[35]) Annalium Poloniae Climacter Secundus scriptore Vespasiano a Kochow Kochowski — str. 114.

gdyby było umiano korzystać z dogodnéj chwili lecz Czarniecki dowiedziawszy się iż Szwedom idzie na pomoc Margrabia Badeński, obrócił się przeciw temu ostatniemu.“ [36]) Te więc pierwsze wojny Szwedzkie i cały nawał nieszczęść pod Janem Kazimierzem rozlany po całym kraju, który zarazem i Węgrzy Rakocego i kozactwo zzuchwalone szarpało, ciągnąc się w tych stronach przez czas niemały, musiały nanieść nie skąpo i tutaj, owego powszechnego na te czasy dla kraju i miast naszych zniszczenia — i łatwo zrozumieć potem przychodzi dla czego to zapisano w lustracyi Leżajska w r. 1664 „budynki wszystkie przez kozaki i Węgry popalone.“ [37]) Niemało jednak do tych klęsk przyczynić się musiały i owe zawieruchy chłopskie osadników wołoskich w Bełzkiem, których bunt Chmielnickiego ośmielił i pobudził do ruchu z zemstą w sercu, za bezprawia i nadużycia, najwięcéj przez rządców starościeńskich i pańskich, na nich spełnione.

Drugi także najazd Szwedzki na Polskę pod Karolem XII nieprzeminął również bez biedy dla tych stron i miasta — a zwłaszcza w latach 1702 i 1704, kiedy tędy Szwedy często czynili swoje przechody, a za nimi z różném szczęściem uganiali się nasi. Rok znowu 1715 i Tarnogrodzka konfederacya, wywołały na tych lesistych równiach znane gonitwy za Sasami; [38]) a i późniéj trochę owym konfederackim harcom, nie były obce te okolice. —

Leżajsk nie dostarcza nam ludzi, których nazwiska zaświetniałyby na kartach Rzpltéj w jakimbądź względzie. Jednego spotykamy tylko *Marcina de Lyeżeńsko*,

---

[36]) Starożytności Polskie — T. II Poznań „Leżajsk.“

[37]) Starożytna Polska — Balińskiego — str. 671.

[38]) Dzieje Polskie pod panowaniem Augusta II p. Erazma Otwinowskiego.

który urodziwszy się w tém mieście otrzymał w Alma Mater krakowskiéj baccalaureat sztuk wyzwolonych r. 1500. — R. 1514 był dziekanem wydziału, a umarł jako Dr. Ś. Teologii r. 1537. [39]).

Żydzi mieli tu od dawna prawo osiedlania się i zakupywania gruntów i domostw od mieszczan. Władysław IV przywilejem w Warszawie wydanym r. 1635 zachował ich przy tych prawach „w jakich od Najjaśniéjszych przodków naszych zachowani byli.“ Co Jan III r. 1682 w Jaworowie a Stanisław August r. 1763 w Warszawie zatwierdzili. [40]).

Ostatnim starostą Leżajskim był do r. 1772 Józef Potocki krajczy korony. [41]) Następnie przeszło miasto na własność hr. Miera, a dziś jest w posiadaniu Alfreda hr. Potockiego Pana na Łancucie.

Z tego acz pobieżnego przeglądu dziejów Leżajska, widzieliśmy: iż miasto to różne jak zazwyczaj przebiegało koleje. Powstało z bardzo staréj osady, miało swe pomyślne czasy. Gościło chwilowo królów w swych murach. Zniszczało następnie. Przeniesione potem na inne miejsce. Podniosło się znowu chwilowo — lecz klęski co na cały kraj zapadły, pogrzebły go w dalszą ruinę i sprowadziły do rzędu mało teraz znaczących miast mniejszych. Dzisiejszy Leżajsk zalicza się obecnie do Obwodu Rzeszowskiego, Powiatowi zaś i Dekanatowi sam nadaje nazwisko. Ludny do 3,000 dusz kat. a 1450 żydów, lichą i bez ruchu stanowi mieścinę. Ostatnie dwa pożary (r. 1811 i 1834) doniszczyły go o tyle, iż ci co go jeszcze przed 50 laty zaznali, gdyby powstali, pewnieby nie odgadli, gdzie się teraz znajdują. Tak przynajmniéj opowiadają starzy tutejsi mieszkańcy. Mieszcza-

[39]) Muczkowski — Liber promotionum.

[40]) Dodatek Tyg. przy Gazecie Lwowskiéj r. 1854 Nr. 8.

[41]) Star. Polska — Balińskiego str. 672.

nie teraźniejsi trudnią się przędzeniem i farbowaniem wełny, i wyrabianiem dobrego, grubego sukna znanego po całym kraju. —

Przejrzyjmy teraz kościoły tutejsze, z uwagą na ich przeszłość i starożytne zabytki. [42]).

Kościół parafialny istniał już tutaj przy końcu XIV wieku pod tytułem Przenajświętszéj Trójcy, lecz niemiał jeszcze stałéj dotacyi. Tą go obdarzył Władysław Jagiełło przywilejem w Bieczu *feria quinta infra octavam Omnium Sanctorum*. R. 1400, nadawszy mu różne dobrodziejstwa i uwolnienia, nadto dwa łany pola, jezioro zwane *Kzanza Neczeza* [43]), wolny połów ryb na Sanie i t. d. [44]).

Pierwotnie parafia Leżajska zostawała pod zarządem xięży świeckich, późniéj zaś oddaną została *Bożogrobcom*, czyli kanonikom regularnym grobu Chrystusowego Jerozolimskiego, a jenerał tego zakonu mieszkający w Miechowie, proboszczów Leżajskich biskupom Przemyślskim prezentował. Kapłanów tych, iż na czarnéj sukni nosili wyszyty podwójny krzyż czerwony, zwykle Krzyżakami lub Miechowitami u nas nazywano. Kto im parafią w Leżajsku oddał, niewiadomo, bo jak mówi Nakielski dotyczący przywiléj razem z innemi na początku XVIIgo wieku zniszczony został. Zapewnie Władysław Jagiełło

---

[42]) Co do wiadomości o kościołach tutejszych, oprócz cennego dzieła Nakielskiego *Miechovia* i wiadomości udzielonych mi przez X. Podgórskiego, raczył mi ich także łaskawie dostarczyć W. X. Franciszek Xawery Pawłowski — kanonik katedr. Przemyślski — mąż uczony, a zajmujący się obecnie opisem kościołów dyecezyi Przemyślskiéj. —

[43]) Neczeza — Wyrazu tego nie znajduję ani w słowniku naszym Lindego, ani też w słowniku czeskim Jungmana. Zdaje się iż idzie on z ruskiego, a *neczeza* znaczy tyle, co *niecieczа* to jest jeziorko z którego woda nie odcieka. Zwracamy na ten wyraz uwagę wydawnictwa drugiéj edycyi Słownika Lindego.

[44]) Nakielski — Miechovia str. 359.

lub téż syn jego Władysław Warneńczyk do Leżajska ich sprowadził; przynajmniéj ten ostatni parafią w Giedlarowéj wsi ościennéj tym zakonnikom udzielił. [45]). Krzyżacy byli w posiadaniu probostwa Leżajskiego aż do r. 1839 w którym umarł, ostatni z tego zgromadzenia proboszcz a oraz prowincyał X. Michał Pieniążek. Poczem rząd jako świeckie probostwo uważać kazał, i i prawo prezentowania zastrzegł dla siebie.

Różni dobrodzieje, a osobliwie Łukasz Opaliński Marszałek W. K. dotacyą kościoła znacznie powiększali i były na to liczne przywileje troskliwie w zakrystyi przechowywane — lecz te wraz ze wszystkiemi aktami kościelnemi w zajazdach sąsiedzkich Stadnickiego przeciw Opalińskiemu, o których już mówiliśmy, zniszczone zostały [46]) dla tego też i dawniejsze dzieje tego kościoła nie są wiadome. Wiemy tylko, że Zygmunt Stary roku 1544 na prośbę Franciszka Przeworszczyka przełożonego zakonu Leżajskiego i za przyczyną królowéj Bony, nadał kościołowi ogród, położony obok bramy miejskiéj bez żadnych danin dla króla. [47]).

A później Zygmunt III na sejmie Warszawskim 1 Junii r. 1616 na prośbę Stanisława Siecińskiego biskupa Przemyślskiego, przywileje dotacyi parafialnéj odnowił. [48]).

Budynek kościelny był długo drewniany. Murowany, po dziś dzień istniejący, zbudował i przeciw Tatarom obwarował r. 1606 X. Felix z Skarzyszowa kan. grobu Chr. proboszcz Leżajski, mąż zacny i lubiony od ludzi, a którego Nakielski zapisuje jako zasłużonego Bogu i

[45]) Nakielski — Miechovia str. 463 — prócz Leżajska i Giedlarowéj Krzyżacy posiadali w tych stronach beneficia parafialne: w Przeworsku, Urzejowicach, Gniewczynie, Rudołowicach i Tuligłowach.

[46]) Nakielski — Miechowia.

[47]) Tenże.

[48]) Tenże — str. 360.

zakonowi. [49]). Świątynię tę poświecił pod wezwaniem Przenajś. Trójcy r. 1619. Jan Andrzéj Próchnicki arcybiskup Lwowski; [50]) która podczas pożaru miasta w r. 1834 zgorzała, poczém odnowiono ją jak jest teraz.

Chór samego kościoła jest gotycki. Nawa główna w popsutym smaku. Ołtarz wielki, w stylu rzymskim, ozdobami przeciążony. Nic tu na szczególniejszą nie zasługuje uwagę, prócz dwojga drzwi, któremi się po za ółtarz wchodzi. Są to malowidła all templo o oblubieńcu i pannach, bardzo uszkodzone i zaniedbane. W posadzce znowu jest ładna lana żelazna płyta, na któréj się ścięcie ś. Jana powtarza, staro-niemieckiéj szkoły, warta lepszego umieszczenia. [51]).

Pobożność ojców naszych, zaprowadziła przy tym kościele trzy bractwa:

1. Bractwo różańca świętego, powstałe około r. 1681.
2. Bractwo Grobu Chrystusowego około 1662.
3. Bractwo ś. Anny, zaprowadzone przez Jana Dymitra Sulikowskiego, arcybiskupa Lwowskiego r. 1595.

Nadto Łukasz Opaliński marszałek W. K. fundował tu kurs, albo godzinki o Najświętszéj Pannie, aby śpiewane były [52]).

Starowolski wyliczając pomniki za czasów jego po kościołach znajdujące się [53]) z Leżajskich wymienia następne:

Sławetnego Floryana Ujeszkowicza obywatela i wójta Leżajskiego, biegłego muzyka, zmarł r. 1625.

Urodzonego Wojciecha z Prostyni Prostyńskiego i mał-

---

[49]) Nakielski — Miechovia — str. 360.

[50]) Akta konsyst. Przemyślskiego.

[51]) Wiadomość od X. Podgórskiego.

[52]) Nakielski, *Miechovia*. Niesiecki, *Korona Polska*.

[53]) Monumenta Sarmatarum. Cracoviae in officina Viduae Fr. Caesari A. D. M.DC.LV. stronnica 434.

żonki Małgorzaty z Gruszczyńskich, zmarł 25 listopada r. 1616.

Jana Srzedzińskiego młodziana walecznego co walczył pod Janem Zamojskim w Multanach, a w Inflantach przeciw Karolowi Sudermanowi. Na Węgrach przeciwko Turkom, a następnie pod Żółkiewskim wiódł boje przeciw Moskwie, i w skutek poniesionych ran i trudów bojowych życie zakończył. Żył lat 29 zmarł 18 kwietnia 1612 r.

Zofii z Daniłowiczów z Żurowa, Opalińskiéj; małżonki Łukasza z Bnina Opalińskiego M. W. K.

Piękniejszym daleko pod względem budowy i okazałości, choć nie tak odległéj sięgający przeszłości, jest kościół przy klasztorze OO. Bernardynów na Piaskach, ku wschodowi, o ćwierć mili za miastem, między teraźniejszym Leżajskiem, a Staro-Mieściem czyli pierwotną osadą położony. W tym to kościelę jest słynny cudami obraz Matki Boskiéj, do którego corocznie na odpusty ściąga się tysiące ludu z całego kraju, błagając opieki i pocieszenia u stóp ołtarza Najświętszéj naszéj królowéj. Jest to jakby druga Częstochowa stron wschodnich. Miejsce zléwu łaski Bożéj na wiernych. Miejsce pełne cudownych wspomnień i legend. Przy końcu XVI wieku (1591-1594) powstała w tém miejscu kaplica drewniana N. P. Maryi, którą 1598 r. Jan Dymitr Sulikowski arcybiskup lwowski poświęcił, pod tytułem Niepokalanego Poczęcia. Ponieważ wedle legend początek téj Swiątyni był cudownym i wielu pobożnych w rozmaitych potrzebach tam łask doznali; więc napływ z różnych okolic był do niéj nadzwyczajny. Co zważywszy rzeczony arcybiskup, a oraz mając na względzie że księża Krzyżacy, do których parafia Leżajska należała, na posługę duchowną tych pielgrzymów wystarczyć nie zdołają, poradził Maciejowi Pstrokońskiemu na ten czas bisk. Przemyślskiemu, aby do tego kościołka sprowadził OO. Ber-

nardynów z Przeworska i tymże, jego oddał zarząd. Uczynił to wspomniony biskup w r. 1608 [54]) a Zygmunt III 23 april. tegóż roku, fundacyą potwierdził. Zakonnikom borek przyległy i staw z młynem darował, tudzież miejsce na zbudowanie klasztoru pod borkiem na piasku, przeznaczył.

Chojność Łukasza Opalińskiego marszałka W. K. a Leżajskiego starosty, wszędzie widoczna w Leżajsku, i tutaj rozszerzyła swe dłonie i wnet szafunkiem tego dobrodzieja OO. Bernardynom wymurowany został [55]) w miejsce owéj kapliczki, wspaniały kościół (1618-1628) który Adam Nowodworski biskup przemyślski poświęcił, r. 1630 pod wezwaniem N. P. Maryi Niepokalanego Poczęcia. Pomnożył równie marszałek i dochody zakonnikom, zapisem d. 9 stycznia 1625, który Jan Kazimierz *in Castris ad Żwaniec* 30 Octobra 1653 r. zatwierdził — a na sejmie walnym Ordynaryjnym dnia 12 grudnia 1678 r. jako „*ex pio zelo* in perpetuum aprobowano.“ [56]). Klasztor wymurowany został staraniem O. Jakóba Uchańskiego teologa J. K. M. Prowincyała Rusi, który za pomocą O. Bernardyna Orłowicza gwardyana Leżajskiego około r. 1637 ołtarz w. w kościele wystawił i stalle przecudnéj roboty w chórze. O. Jan Walowicz prowincyał Bern. († 1680) zabudowania klasztorne nakształt fortecy murem obwarował i począł budować słynny na całą Polskę o 3,000 piszczałkach organ, który po nim O. Dymitr Wolski następca w prowincyalstwie dokończył. O. Seweryn Ryszkowski gwardyan Leżajski w drugiéj połowie XVIII wieku, dach miedziany na kościele sprawił, ołtarze wyzłocił i przyozdobił, kościół cały poma-

---

[54]) Nakielski *Miechovia.*
[55]) Niesiecki, *Korona Polska.*
[56]) Volumina Legum V. str. 571. 20.

lował używszy doń pędzla Stroińskiego, który i lwowską katedrę malował.

W r. 1657 Kozactwo i wojsko Rakocego klasztor zajęło, a wyciągając dalej, pozostawiło ogień na dziedzińcu, gdzie były dawne cele drewniane zakonników. Ztąd nieszczęściem pożar nawiedził klasztor nowo zbudowany. Dachy z wieżą zgorzały. Dzwony i zegar zniszczały. Kościół tylko szczęśliwie szkody żadnéj nie poniósł. W tym również roku gościł w tym klasztorze Karol Gustaw. Wtenczas Szwedzi skarby kościelne w ziemi zakopane odszukawszy zabrali, bibliotekę splondrowali. Mieli też chęć i kościół podpalić, ale król o tym zamiarze dowiedziawszy się, warty przy drzwiach postawił i prócz pułkowników i kapitanów nikomu wejścia niedozwolił. Odjeżdżając, w celi gdzie mieszkał ten monarcha, srebrną królewską pieczęć zapomniał, którą mu zakonnicy do Próchnika, gdzie miał na ten czas główną kwaterę odesłali [57]).

Sam kościół Bernardyński jest okazałéj budowy. W stylu włoskim, ciężkim. Kilka tu jest dobrych obrazów częścią flamandzkiéj, częścią włoskiéj szkoły. Także godzien uwagi starożytny szafkowy mały ołtarzyk z „Nawiedzeniem“ staro-niemieckiéj szkoły; szkoda że mocno zniszczony i w zaniedbaniu będący. Ładny niemniéj jest tu antifonarz na pergaminie illuminowany w starym sztucznie wykładanym pulpicie. Boczne kaplice są oddzielone od nawy żelaznemi kratami. W jednéj z nich, znajduje się obraz ś. Franciszka, wysoko przez znawców ceniony, pędzla podobno *Hannibala Caraccego* [58]). Na żądanie cesarza Franciszka był z ołtarza wyjęty i do Wiednia wożony, zkąd po odczyszczeniu

[57]) Wiadomości z kroniki klasztornéj na miejscu przez O. Kapistrana Jurkiewicza r. 1689 pisanéj, a przez innych zakonników daléj prowadzonéj.

[58]) Ks. kan. Pawłowski, mówi iż jest „Corregia.“ (?).

Alfred hr. Potocki kazał wyjąć ten obraz, był bowiem podniszczony gwoździami którymi firanki były nań przybite — odnowiony w Wiedniu

napowrót go zwrócono [59]). W drugiéj kaplicy jest cudowny Obraz N. Panny.

Malował go według szkoły staro-niemieckiéj, jak niesie podanie Erazm niegdyś mieszczanin czy burmistrz Leżajski, a późniéj kapłan, człek wielce pobożny, wzywając do dzieła swego pomocy N. Panny. Władysław IV w r. 1642 darował do tego obrazu ramy hebanowe, pięknéj roboty bogato srebrem przyozdobione z napisem: *Dei parae Leżajscensi ob victoriam de Turcis pacemque A. D. 1621 de principe relatam, Vladislaus IV Rex Poloniae etc. Sueciae ex voto posuit A. D. 1642.* Ramy te obdarli ze srebra i popsuli Kozacy w r. 1657.

Wspomnieliśmy o cudowności tego Obrazu, i cudownym jego początku, przejrzyjmyż co o tém mówi legenda — niech zaś w tem wyręczy nas X. Hyacynt Pruszcz [60]), co tak starannie, a z wiarą i z religijną prostotą pozbierał tyle podań pobożnych o świętych miejscach na ziemi naszéj, nieprzepomniawszy i o Leżajsku. Wypisujemy tu dosłownie ową legendę, aby w wyjątkach nie uroniła téj woni i prostoty religijnéj, które pod piórem X. Hyacyntha w całéj się świeżości do nas dostały — a są zaś najpożądańszą spuścizną minionych wieków.

„Roku 1590 Tomasz Michałek mieszczanin Leżajski, „dnia niektórego, dla drewek zbierania wyszedł do boru „przyległego miasteczka, zoczył na miejscu gdzie się „był zwykł modlić, w wielkiéj jasności Matkę Bożą „z Dzieciątkiem i Józefem świętym, w osobie starca sę„dziwego do siebie tak mówiącą: Tomaszu, to miejsce „obrałam sobie, na którym Synowi memu cześć odda-

---

[59]) Wiadomość od ks. Podgórskiego.

[60]) Morze łaski Bożéj które Pan Bóg w koronie Polskiéj i t. d. przez Piotra Hyacyntha Pruszcza. W Krakowie 1662 r.

„waną będzie, i przyczyny mojéj każdy człowiek wzy-
„wający dozna, idź do starszych miasta tego, a opo-
„wiadając im wolą moją i Syna mego, rozkaż im tu
„kościół zbudować, pod imieniem moim: on mniemając
„by ducha obłudnego słyszał, z razu tego tail; lecz gdy
„częste widzenia i napominania z objawieniem miewał,
„dał starszym miasta o tym miejscu wiadomość, którzy
„mu Bożą mękę na tym miejscu postawić dozwolili; któ-
„re miejsce zaraz cudami słynąć poczęło, bo i od ognia
„Boża męka podcięta wolną została, i sam Tomasz Mi-
„chałek z więzienia cudownie był wybawiony; tym
„urząd duchowny i świecki przestraszony, widząc, że
„się tam lud zewsząd gromadził, i za przyczyną Panny
„Maryey łaski Bożéj doznawał, kaplicę drewnianą wprzód
„postawili z téj przyczyny: Sebastyan Talarczyk pasąc
„bydło, widział na tym miejscu w światłości wielkiéj
„a w białym odzieniu Najświętszą Pannę z Dzieciątkiem,
„i słyszał głos dzwonków kościelnych, jako gdy Naj-
„świętszy Sakrament podnoszą, co zaraz oznajmił pro-
„boszczowi tamtecznemu, który bez omieszkania w szaty
„kapłańskie przybrany, szedł z processyą, i z wielkim
„gminem ludzi, i na ukazanym miejscu kościół założył.
„Do czego p. Kasper Gołuchowski, dzierżawca Leżajski,
„staraniem i kosztem przyłożywszy się, kościołek dre-
„wniany, pod tytułem ś. Anny zbudował.“ Daléj zaś opowiada X. Pruszcz wiadome nam już sprawy o wymalowaniu przez Erazma tego obrazu i murowaniu nowego dlań kościoła.

OO. Bernardyni zapisując w aktach swych wszelkie cuda i łaski przy tym obrazie doznane, mnogo ich zaznaczyli, między innemi wyliczając „jako śp. J. O. J. M. C. pan Adam Sieniawski hetman W. K. kaszt. krak. będąc małym dziecięciem formalnie umarł, przywieziony z żalem wielkim (zapewne z Sieniawy?) do pogrzebu,

cudownie ożył, i żył lat potem 60" [61]). Kiedy zaś obraz coraz więcéj cudami zasłynął, Henryk Firléj biskup przemyślski wyrokiem w Tyńcu 20 Novembr. 1634 r. ogłosił go za cudowny. Następnie Wacław Hieronim Sierakowski biskup przemyślski dnia 8 września 1752 uroczyście go ukoronował, jako delegat Stolicy Apostolskiéj'; korony wszakże niebyły jak za zwyczaj nadesłane z Watykanu, lecz tylko zezwolenie na ukoronowanie, datowane r. 1751.

Obrzęd koronacyjny odbył się z wielką pompą przy natłoku licznego ludu [62]), którego koszta z własnéj szka-

---

[61]) Rękopism z archivum w Kalwaryi Zebrzyd. „ex archivis provinciarum excerptum,— series locorum in toto regni Poloniae et M. D. Lith. in quibus P. P. S. Francisci Observantes, vulgo dicti Bernardini sunt fundati." Wypisaliśmy ten jeden cud z pomiędzy wielu, jako dotyczący z bliska osobę historyczną.

[62]) Aby dać wyobrażenie o owoczesnych obrzędach religijnych, pompie z jaką się odbywały i udziale w nich publiki, zamieszczamy dosłownie odpis z autentyku przepisanego naprzód porządku w którym odprawioną została uroczystość koronacyjna M. B. w Leżajsku:

„Dispositio Tractus Actus
Coronationis Beatae Mariae
Leżajscensis in Festo Nativitatis.
Mense Septembri Anno 1752."

Dnia 7 7bra w wigilią Koronacyi będą lokowane Korony w kościele Ich M. W. Xięży Krzyżaków, podczas którego czasu około Theatrum w polu wystawionym uszykuje się wojsko całe we dwie linie, do którego Theatrum pod namiotem stojącego wprowadzony będzie in assystencya różnych Panów JW. JM. X. biskup Przemyślski, Koronator Obrazu Najświętszéj Matki, gdzie oratione Panegyrica przywitany będzie przez W. O. Seweryna Ryszkowskiego Sub. Prokuratora tego aktu. Po którym powitaniu JWW. Jchmć. Panowie Starostowie ruszą się z koronami od Fary, przy dawaniu bicia z armat, i przybywszy do tronu, oddawane będą korony JW. koronatowi przez JW. IM. pana Potockiego starostę Kołomyj-

tuły opędził Stanisław Potocki, wojew. Kijowski, starosta natenczas Leżajski, wraz z żoną Heleną z Zamojskich. Na pamiątkę téj uroczystości wybito medalik z miedzi, któ-

---

skiego, które korony, gdy odbierze JW. Koronator, Salva z 24 armat i z ręcznéj strzelby od wojska ma być wydana.

Po wydaniu salwy zaczynają maszerować Cechy naprzód swoim zwykłym trybem, kompanie według swego porządku, potém Chorągwie polskie, potém szwadron Dragonii, potém Zakonnicy z krzyżem, po których kalwakata z różnych złączona Panów i Urzędników, za któremi karyta, w któréj korony do kościoła JW. Im. X. Koronator ma sprowadzić. Tak tedy gdy zwykłym marszem przez most przejdzie wojsko, uszykować się ma na wyznaczoném sobie miejscu, po lewéj stronie polskie chorągwie, po prawéj ręce dragonia, a JW. Koronator z koronami, które na wezgłowiach być mają niesione, wysiada przed bramą tryumfalną czyli gdzie się zaczyna taż brama i jéj baryery, i wraz według porządku poprzedzających Konfraternii Duchowieństwa w processyi idących, wprowadzone być mają do kościoła, i na Thronie (gdzie już obraz Matki Boskiéj znajdować się ma) deponowane będą przy daniu ognia z 24 armat i ręcznéj broni. Po złożeniu tych koron, zacznie kazanie O. W. Wenanty Tyczkowski D. Aktualny, po którym skończeniu jeżeli czas pozwoli, zaczną się Nieszpory, a jeżeliby czasu nie było, Litania do Beata śpiewana będzie.

Po zakończonym wieczornym Nabożeństwie przy następującym wieczorze fajerwerk ma być ogłoszony przez sygnał armatni i zapalony według dyspozycyi.

Dnia 8 7bra w dzień sam koronacyi, około godziny piątéj dane będzie salve z armat, po którym Nabożeństwo się zwyczajne zacznie. Tandem około godziny ósmey JW. Fundator z różnemi gośćmi przybędzie do JW. Koronatora, z którym do kościoła wnijdą i na tron wprowadzeni zasiędą swoje miejsca, gdzie W. O. Prowincyał powinien mieć mowę do JW. Koronatora, upraszając o akceleracyą téj koronacyi, któremu gdy JW. Koronator da replikę, publikowany ma być najpierwéj Dekret Rdmi Capituli Vaticani, potém Bulla Indulgentiarum, et concessio pro quatuor penitentiariis cum usu Bacillorum. Potém nastąpi adhortacya JW. Koronatora do W. O. Prowincyała i innych Jemu assystujących, aby Obraz Matki Najświętszéj i korony pilnowali, czcili i konserwowali. Po któréj O. W. Prowincyał z innemi mają przysiądz na to według formy a part na napisany. Potém poklęknąwszy wszyscy przed Obrazem Najśw. Ma-

rego *S. G.* Matka Boska trzymająca Chrystusa na lewéj ręce — w otoku napis: *Imag; B. M. V. Cor. et Ben. XIV Leż.* (aisci) *apud F. F.* (ratres) *S.* (ancti) *F.* (rancisci)

---

tki JW. Koronator incesacyą uczyni, po któréj koronować będzie pierwéj Najśw. Matkę, a potém P. Jezusa. Podczas którego aktu rzęsiste mają być ognie wydawane przy rezonancyi muzyki. Podczas którego aktu rzucone będą metalle Koron. Tymczasem zacznie śpiéwać JW. Koronator Ave Maris Stella. Po skończonym Hymnie śpiéwać będzie wiersze Corona aurea *&*. R. Expressa signo Sanctitatis *&*. 2. Gloria et honore coronasti *&*. R. Et constituisti *&*. Tandem pro Celcissimo Principe Sfortia Fud. Coron. et Celcissimo Josepho Potocki Castel. Crac. D. P. cum universo populo mówić będzie De profundis, po którym skończeniu, zacznie A porta inferi, potém dwie Kolleckty odmówi. Deus Veniae largitor. 2. Absolve quaesumus Dne animam Josephi *&*. nareszcie zmówi się Pater noster et Ave Maria pro Rdmo Capitulo S. Petri tandem oracya, Retribuere dignare Dne *&*.

Potém zacznie Illustrissimus Coronator śpiéwać Mszą solenną podczas któréj będzie miał kazanie panegiryczne W. Im. X. Mikulski kanonik lwowski. Po zakończonéj Mszy solennéj processya być ma z obrazem ukoronowanym do tronu w polu będącym, przed którą dać się ma sygnał z armat 3. Po którym sygnale zaczynać się ma processya, gdzie przy wychodzeniu z obrazem Matki Najś. salwa z armaty i broni ręcznéj i zaczyna maszerować wojsko jak przedtém. To tylko additur, że za obrazem piechoty officer z kilkunastu ludzi maszerować ma dla assystencyi większéj i bezpieczeństwa od pospólstwa. Maszeruje wojsko przed processyą aż na miejsce przeszłe przed Theatrum, tam uszykowawszy się nadchodzącemu obrazowi salve wyda tak armata, jako i wojsko, po któréj gdy obraz na mensie postawiony będzie, zacznie kazanie X. Roman Zborowski, kaznodzieja lubelski, po którym Benedykcya, potém salva tak z armat jako i wojska i dopiero nazad do kościoła. Znowu maszeruje wojsko i na przeszłym staje miejscu, gdzie znowu obraz gdy nadchodzi, salve wyda, ostatnie zaś salve przy Benedykcyi.

Podczas wieczora zacznie się Nieszporne Nabożeństwo, na którym kazanie ma mieć W. J. X. Cieszkowski kan. lwow., potém nastąpi illuminacya bram.

Die 9. Kazanie J. X. Wierzbowski kan. chełmski. Na Nieszporach J. W. X. Majewski Ord. Praed.

Obs. (ervantes) *A. 1752-S. O.* W armaturze dwie tarcze: na prawéj herb *Jelita* (Zamojskich) na lewéj *Piława* (Potockich) a nad niemi korona. *W otoku napis: Dant. Astris; Castrique Coronam* [62]).

Niezadługo wszakże dopuszczono się świętokradztwa na Cudownym wizerunku. A były znać bogate korony, i ozdoby na nim, skoro skradziono koron szczerozłotych dwie, sygnety, perły i wszystek złoty ornament [63]).

Stóletnią pamiątkę uroczystości koronacyjnéj obchodził w gronie licznego duchowieństwa i napływu pobożnych, teraźniejszy Biskup Przemyślski, najprzewielebniejszy Franc. Xaw. Wierzchlejski, w dniu 8 września 1853. A Alfred hr. Potocki na ten obrzęd odnowił swoim kosztem kaplicę M. Boskiéj. Wspomnienie tego ob-

---

Die 10. J. W. X. Siekierzeński Ord. Praed. Na Nieszporach J. X. Kolecki Ord. Praed.

Die 11. J. W. X. Zacharski Can. Sandomiriensis. Na Nieszporach J. X. Ozga Scholar. Piar.

Die 12. J. X. Kochnowski, Can. Zams. na Nieszporach Ex Familia Capuci.

Die 13. A. R. P. Paszkiewicz Ex mi. *v.* na Nieszporach R. P. Canty Praed. Leopo.

Die 14. A. R. P. Rupczyński Magi. N. A. R. P. M.

Die 15. A. R. P. Praep. Leżayscensis Concludit A. R. P. Tchorzewski.

v. R. P. Antonius Defin. noris Poloniae.

v. Antonius Częstkowski Praed. Socaliensis.

Po zakończonéj konkluzyi, dziękować będzie wszystkim przy kaplicy X. Krescencyan Wyszomirski L. —

Uwaga: Zapewnia 80-letni starzec, X. Leopold Lewicki, iż fundator J. W. P. Potocki od bramy tryumfalnéj na klęczkach niósł korony do kościoła.

[62]) Wiadomości historyczno-numizmatyczne, o koronacyach Obrazów Matki Boskiéj w dawnéj Polsce, podał Tymoteusz Lipiński. Oddruk z Bibl. Warszawskiéj. Warszawa 1850.

[63]) Wiadomości historyczno-numizmatyczne o koronacyach Obrazów Matki Boskiéj, w dawnéj Polsce.— Pismo *Kuryer Polski* z dnia 4 lipca 1759 r.

chodu zamieścił wtedy dziennik „Czas“ wraz z naprędce skreśloną wiadomością o Leżajsku [64]).

Pod względem historyi literatury religijnéj, ma ten obraz swoją własną. Jocher wymienia o nim dwie broszury [65]) „Relacya koronacyi N. M. Panny w Leżajsku. We Lwowie, w druk. Bractwa Ś. Trójcy, 1752, fol.“— i wspomina nadto „iż X. Sosnowski cytuje podobne pismo z egzemplarza bez karty tytułowéj z napisem: „Opisanie koronacyi obrazu Najświętszéj Panny w Leżajsku u OO. Bernardynów, odprawionéj 1752 r. dnia 8 września itd. fol. 10 ark.“ X. Kanonik Pawłowski znowu wymienia nie broszurę, któréj tytuł „Tron chwały, czyli opisanie koronacyi Najśw. Panny Maryi cudami słynącéj w obrazie Leżajskim u OO. Bernardynów na Piasku.“ Być może, że to jest ta sama broszura przez Jochera, z wzmianki X. Sosnowskiego zanotowana. Obie te broszury są mi nieznane. Posiadam atoli w moim zbiorze inną, drukowaną bez oznaczenia miejsca i roku, z zeszłego wieku, w ćwiartce kart 16 z drzeworytem Obrazu „Pieśń do Najświętszéj Panny Maryi w obrazie Leżajskim cudami słynącéj, u XX. Bernardynów.“ Należy ona do literatury odpustowéj, z kantyczkową prostotą wierszem napisana; z początku jest w niéj opowiedziana legenda o Obrazie jak w Pruszczu — następnie o cudach, a kończy na szumnym opisie obrzędu koronacyjnego.

Jak widzieliśmy na początku, jest jeszcze w Leżajsku cerkiew obrządku wschodniego. Lecz ta świeżo bo w r. 1832 zrujnowana, nie mieści w sobie żadnych starych zabytków, bo akta dawne cerkiewne wraz z cerkwią r. 1624 spalone zostały. Wiadomo tylko, że po przeniesieniu Leżajska przez Zygmunta I, długo cerkiew po-

---

[64]) *Czas* z r. 1853, Nr. 239, artykuł w Feuiletonie podpisany *F. K.*

[65]) Obraz bibl. historyczny przez Adama Jochera T. III, str. 490, Nr. 8921.

została daléj w Starém-Mieście, gdzie dotąd jeszcze jest jéj filia. Królowa Bona dopiero r. 1550 sprzedała kawałek ziemi pod cerkiew Nowego-Miasta. Kto zaś ją uposażał, niewiadomo. Od r. 1647 Rusini tutejsi przystąpili do Unii.

Oprócz już wymienionych Leżajskich kościołów, były jeszcze przed laty następne filialne:

1. Kościół Ś. Trójcy w Starém-Mieście. Ten jak się zdaje pierwiastkowo był parafialnym. Utrzymywał się aż do połowy XVIIIgo wieku. Dopiero Hieronim Sierakowski Biskup Przemyślski, dla wielkiego spustoszenia rozebrać go kazał.

2. Kościół N. P. Maryi Śnieżnéj, na przedmieściu na północy.

3. Kościół Bożego Ciała, na temże przedmieściu idąc ku wsi Giedlarowéj. Tę świątynię Jan Dymitr Sulikowski Arcybiskup Lwowski poświęcał r. 1596.

4. Kaplica w Zamku Leżajskim.

5. Kościołek Maryi Magdaleny, we wsi Wierzawicach. R. 1611 poświęcany przez Waleryana Lubienieckiego Biskupa Bakońskiego czyli Wołoskiego. Z tych wszystkich po dziś dzień żadnego nie ma śladu.

Tak przebiegłszy historyczne znaczenie i zabytki samego miasta Leżajska, rzucimy jeszcze okiem po najbliższych wsiach i okolicy. Rzecz ta choć wprawdzie nie wiele nas pouczyć może co do poszukiwań znaczenia naszych wykopalisk, to wszakże i z nią jako sąsiednią poznajomić się trzeba; a zwłaszcza tam, gdzie również są ślady starych grobowisk, i gdzie przynajmniéj z rzadka wynajdują się czasami różne przedmioty [66]).

Z nazwisk wsi okolicznych niewiele da się wypro-

[66]) Wymieniając miejsca znalezisk wiadome nam w tamtych stronach, czynimy to również i dla tego, aby na nie pilniejszą zwrócić uwagę — a zwłaszcza ludzi tam zamieszkałych.

wadzić wniosków. Najliczniejsze są tu Wole z różnemi przymiotnikami; lecz są i nazwiska co się wywodzą od lasów, drzew, polowania i rybołostwa; co według badań Chodakowskiego, bardzo stare osady wskazuje.

Najbliższą wsią Leżajska są *Wierzaice*, Wierzawice, któréj nazwę od wieży wywodzą (może od wiary); był tu jak wiemy kościołek, którego ślady dotąd widoczne, podobno przez Tatarów spalony.

Więcéj zwraca uwagi o pięć ćwierci mili od Leżajska odległa wieś *Grodzisk* albo *Grodzisko*, a sama już nazwa wskazuje, iż tu kiedyś musiało być bardzo stare grodzisko, i może właściwa siedziba ludności tych stron, co się na uroczyskach Leżajskich grzebały. A chociaż nigdzie nie ma tu śladów żadnego grodu, to już samo położenie wznioślej niżli Leżajska panuje. Jest to ogromna osada, a i dawniéj była bezpańszczyzniana. Mieszkańcy mają się dobrze, odznaczają się przemysłem, ruchliwością i ładnym strojem. Kościół tu murowany. Aktów niéma żadnych, w czasie najazdów szwedzkich spalone.

O trzy ćwierci mili ku południowi, jest wieś *Giedlarowa*, założona r. 1409. Przywilej Mikołaja Drogosty Starosty Krzeszowskiego wyjaśnia, iż od tego roku po wykarczeniu lasów królewskich do Leżajska należących, wiedzie swój początek. Mikołaj Giedlar mieszczanin leżajski r. 1440 od Władysława III w sołtystwo ją otrzymał i założono kościół parafialny [67]). Jest tu w polu ślad uroczyska. Skorupy z urn znajdowanych, są z podobnego materyału co i leżajskie. Zawadzają się i groty krzemienne, acz same nieforemne.

W zachodnią stronę o dobrą milę leży wieś *Żarczycka-Wola*, pierwotne jéj nazwisko było *Trzebowica*. Kościół erygowany przez Stefana Batorego przywilejem z Lwo-

[67]) Akta kościelne na miejscu.

wa 15 Junii 1578 r. [68]). Tu także znajdują się odłamy urn i groty krzemienne niekształtne. Przed kilku laty wykopano tu cztery urny z nakrywami i popiołami wewnątrz i przyniesiono do urzędu dominikalnego. Pan Mandataryusz nie zbyt biegly znać archeolog, i bojąc się może jakich ztąd uroków, kazał je napowrót zakopać pod lasem. Częsta to niestety bardzo kolej podobnych u nas znalezisk.

Z drugiéj strony Sanu o milę jest wieś *Tarnawiec* z kościołem. Tutaj, jak również do téj parafii należącéj w *Brzyskiéj Woli*, są mogiły porosłe sosną, w których dokopać się można całych jeszcze kościotrupów, lecz nic więcéj. Ludzie mówią o nich: przyszli tu jacyś, opodal od kopców się zasałaszyli (ztąd łąkę tutejszą zwią dotąd szałase) — na polach się starli i pod temi mogiłami pochowani. Legenda ta odnosi się zapewnie do wojen tatarskich, a najprędzéj szwedzkich. Niedaleko Tarnawca, zaraz za granicą w Królestwie Polskiém, we wsi Bukowinie, miano niedawno odorać jakiś duży kamień z napisami. Lecz jakiemi? trudno dobadać, bo ci co go widzieli, nie są czytelni podobnych napisów [69]).

---

[68]) Także.

[69]) W podaniach o takich z napisami kamieniach, trzeba się mieć wielce na baczności, choć na nie często natrafić można. Moją własną wycieczkę w podobnéj okoliczności, opowiem tutaj. Milę od wsi gdzie mieszkam, jest wieś „Czermna" stara osada, położona na stoku góry Liwocza (Obw. Jasielski Pow. Brzostecki). Opowiadano mi więc, iż w lesie do téj wsi należącym, jest duży kamień z napisami, których nikt odczytać nie umié, zwany: *rysowany kamień*. Przytém fantazya ludowa ustroiła ten kamień w dziwne o djabłach i zaklęciach skarbów powieści. Napisy na kamieniu — może runiczne jeszcze, zwłaszcza pod samym Liwoczem, gdzie stało kiedyś stare grodzisko, — rozciekawiły mnie mocno. W jesieni tedy 1854, udałem się odszukać ów zaklęty skarb, i znalazłem kamień z napisami — które na pierwszy rzut oka zmistyfikowały mnie swemi kształtami — zwłaszcza przez pokrycie się porostami. Po odskro-

Dalėj już, bo o mil 4 od Leżajska, leży miasteczko *Raniżów*. We wsi pół mili znowu od niego odległėj *Woli Raniżowskiėj*, w polu na piaszczystėm wydmisku jest uroczysko. Na niėm znajdują się odłamy urn, zdobione odmiennym od leżajskich znakiem, i odłamy grotów krzemiennych. Łąka należąca do plebanii zwie się tu *Zelia*, że to jest nazwa słowiańska, Raniżów więc przywodzi na myśl wielce odległe wieki. Dziwne także krąży tu w ustach ludu podanie, godne wspomnienia. Na polach Raniżowskich rozkłada się długie piaszczyste pagórze, które zwią *stołowe góry* lub *stołowa góra*. Mówią, iż tu miał być kiedyś zamek — lecz dziś, ani śladu zamczyska. O tych to górach opowiadają: *Tu się skończy wojna*—albo: *tu się zacznie i zakończy wojna, a wtedy....* Cóż to za dziwne podanie o przyszłości, mogącéj kiedyś nastąpić! Wszakże i niedaleko Krosna, jedno z tąż samą opowieścią wskazują miejsce.

---

baniu dopiero wklęsłości i wypełnieniu ich węglem na czarno — mogłem wygodnie cały napis odczytać i odgadnąć: co tu ma za znaczenie. Kamień ów, jest to grubo ziarnistego piaskowca, na wierzch wydobywająca się nie wielka skała na jednym z cyplów góry lesistéj. Jest on zupełnie naturalny — podłużny w górę, z małą na środku wklęsłością, co mu kształt jakby krzesła nadaje. Długości ma 4½ ł., szerokości 2 ł. 4 c. miary wiedeńskiéj. Na wklęsłości środkowéj wyżłobiony jest jakby laur, do herbu Nałęcz podobien. a w środku napis w dwóch wierszach, niezgrabnemi z XVII wieku zgłoskami: *Mierzaniecki* i *1652* rok. Otóż ów cały niby runiczny napis, odcyfrowany co do litery. Ponieważ ów kamień leży o kilkanaście tylko kroków od linii granicznéj, pomiędzy wsiami Jodłową i Czermną biegnącéj — wniosek ztąd łatwy, iż w owym 1652 r. musiano tutaj lasy przemierzać, a miernicy czyto z umysłu, lub też w czasie spoczynku w tém miejscu, wyżłobili na kamieniu rok ten i nazwali go Mierzanieckim — coby tyle znaczyć mogło, co kamień graniczny. Choć więc ten napis sam w sobie nic ważnego nie naucza nas, zawsze jednak ów kamień jest zabytkiem i pomnikiem naszego miernictwa w XVII wieku, a i dla tego najwięcéj wspomniałem o nim tutaj.

Od Raniżowa znowu, ku zachodniéj północy o mil 3 leży miasteczko *Majdan*— i tu na piaskach znajdują się odłamy urn i grotów krzemiennych. Przy braniu rowu przed paru laty, wykopano większe odłamy z niezgrabnemi uszkami; wszakże iż niewiedziano co mają za znaczenie, nie robiono dalszych poszukiwań. Wartoby już doprawdy, raz zwrócić uwagę ogółu na takie znaleziska, i zachęcić, aby do nich większą przywięzywano wagę. Cóż to u nas tym sposobem idzie rzeczy w rozproszenie!

Znajdują się także w tych stronach urny, a nawet i jakieś drobne metalowe przedmioty, na polach miasteczka *Rozwadowa*. Najwięcéj jednak same tylko odłamy urn tam wynajdywano. Jednę całą i dużą ztamtąd posiadała zmarła niedawno Felicya z hr. Mniszków księżna Lubomirska, pani tego miasteczka.

Miasteczko *Ulanów*, także ma mieć ślady uroczysk i urny tam odgrzebywano.

Taki jest rzut oka na Lężajsk i okolicę. Przystąpimy w następnym artykule do obejrzenia Leżajskiego uroczyska i wynajdywanych na niém przedmiotów.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Karol Rogawski.

DAWNY PORZĄDEK RZECZY WE FRANCYI

i

REWOLUCYA

według dzieła:

L'ancien régime et la révolution

par M. Alexis de Tocqueville

Paris, un vol. in 8o, chez Michel Lévy. Juin 1856.

Chcąc zdać sprawę z dzieła takiego autora jak p. de Tocqueville, nie można się trzymać metody Przeglądów francuzkich, mających na celu samą krytykę, lecz trzeba użyć metody Przeglądów angielskich, które przedewszystkiem starają się poznać treść myśli i przekonań autora. Nowożytny mędrzec polityczny, członek Akademii Paryzkiéj i były minister, autor znamienitego dzieła o *Demokracyi amerykańskiéj*, p. de Tocqueville ma prawo do takowéj, że tak powiem dystynkcyi, przeciwnéj metodzie panującéj na stałym lądzie i ma do niéj tém większe prawo w kraju, na którego język nigdy może nie będzie przetłumaczone jego dzieło.

Streszczenie myśli autora nie jest zaiste pracą literacką, ale jest często rzeczą nader pożyteczną. Przekonanie że właśnie taki zachodzi przypadek, i że mogę oddać czytelnikom usługę, skłoniło mię do podjęcia téj skromnéj pracy i ograniczenia się na wierném przedstawieniu myśli autora, w imieniu którego będę odtąd przemawiać.

Książka którą wydaję nie jest historyą rewolucyi, lecz jest to studyum nad rewolucyą. Roku 1789 francuzi zrobili nadzwyczajne wysilenie, jakiego nie dokonał żaden inny naród, aby rozciąć na dwie połowy swe dzieje i rozdzielić głęboką przepaścią to czém byli, od tego czém być chcą. Postępując w tym kierunku, Francuzi przybrali inne idee i starali się aby ich nie poznano że byli synami swych ojców. Ja zawsze byłem zdania, że ta dziwna praca mniej się udała niż Francuzi sądzili i niż sądzili cudzoziemcy, i że pomimo woli, moi ziomkowie użyli do nowéj budowli dawnych materyałów, tak że kto chce zrozumieć rewolucyą, musi badać Francyą dawną, nie w literaturze i żywotach ludzi znakomitych, jak to dotąd czyniono, lecz w praktyce instytucyi i stosunku klas do siebie. Praca moja ma na celu badania ostatniego rodzaju. Starałem się przedstawić wiek XVIII w protokółach zgromadzeń prowincyonalnych i archiwach administracyjnych. Papiery te dowiodły mi, że rewolucya 1789 zniszczyła całą przeszłość, lecz że cesarstwo odbudowało Francyą na części zasad dawnych, którymi posługiwała się dawna monarchia, odrzucając część zasad, które były w dziedzinie wolności miejscowych i narodowych. W książce, ktorą wydaję, przedstawiam obraz Francyi dawnéj, w téj zaś którą wydam późniéj

przedstawię obraz rewolucyi i cesarstwa. Czytelnik spostrzeże, że nie ukrywam błędów przeszłości i że mam na względzie wolność, którą zawsze kochałem. Powié kto: wołanie za wolnością jest dziś niewczesnem. Ja odpowiem przeciwnie, albowiem przekonany jestem że wolność jest najpewniejszą zachowawczą kotwicą. Dzisiejsza Francya dąży wyraźnie do obalenia wszelkiéj arystokracyi, zapominając, że arystokracya jest najgłówniéjszą nieprzyjaciołką despotyzmu, i że despotyzm rodzi najszkodliwsze owoce, gdyż roztrąca naród na indywidualności bez łącznika i celu wyższego, i pogrąża je w samych interesach materyalnych, które enerwują duszę. Tylko wolność może posłużyć za lekarstwo na takie złe, prowadzące do upadku, albowiem tylko wolność jest w stanie łączyć indywidua i dusze zasilać. Społeczności demokratyczne mogą być wytworne, wyrafinowane, ucywilizowane, nawet religijne, ale nie mogą mieć wielkich obywateli i nie mogą tworzyć wielkiego ludu.

I. Rewolucya francuzka uczy skromności wszystkich filozofów i statystów, nikt jéj bowiem nie przewidział, nawet Fryderyk, i nikt nie ocenił od razu jéj wielkości. Artur Young, podróżując po Francyi na rok przed rewolucyą, lękał się aby rewolucya nie powiększyła przywilejów duchowieństwa i szlachty. Burke lękał się aby rewolucya nie rozbroiła Francyi i nie pozbawiła jéj przymiotów wojskowych. Szlachta francuzka omylona pozorami, nie lękała się ludu lecz korony. Kiedy rewolucya rozwinęła się w całym majestacie, nikt jéj nie zrozumiał; De Maistre i szlachta europejska nazwali ją dziełem djabelskiem, kiedy demokracya europejska nazwała ją dziełem boskiém i ewangeliczném. Czas jest wyświecić charakter rewolucyi francuzkiéj.

II. Rewolucya zaczęła od rzucenia się na kościół i

skończyła na niereligijności. Napoleon I który zwyciężył wolność, nie mógł zwyciężyć niereligijności. Przyczyna niereligijności we Francyi nie pochodziła tylko z filozofii XVIII wieku, lecz z konstytucyi kościoła, z przywilejów, które robiły duchownych właścicielami, panami pobierającemi dziesięciny i darmochy, a które wyrodziły ogromne nienawiści. Skoro przywileje zostały zniesione, duchowieństwo podniosło się w opinii i szacunku ludu. Tak bydź musiało, bo demokracye nie są nieprzyjaciołkami ani chrystyanizmu ani katolicyzmu, bo religia pała zwykle najgoręcéj w sercach ludu. Rewolucya zaczęła także od rzucenia się na władzę, bo ta władza była zeszpecona przywilejami i nadużyciami; ale w gruncie rzeczy nie była anarchiczną, przeciwną wszelkiéj władzy społecznéj, była nawet roku 1790 za władzą monarchiczną. Skoro obaliła dawne władze nieregularne, sprzeczne i pełne nadużyć, skoro zastąpiła szlachectwo przez urzęda, Rewolucya wzniosła władzę tak obszerną, jednorodną i wielką że przypomniała dawne Państwo Rzymskie. Dzierżenie władzy, którą stworzyła, było trudniejsze bo władza nie opierała się już na rozdziale klas, ale sama władza była sto razy silniejszą niż dawna.

III. Wszystkie rewolucye polityczne zawierały się w jednéj narodowości, kiedy rewolucya francuzka przelała się na całą Europę i połączyła z sobą ludy, na wzór rewolucyi religijnéj szesnastego wieku. Od roku 1789 wojny europejskie stały się niemal domowemi, kwestye granic były zastąpione przez kwestye zasad. Rewolucya francuzka rozlała się na całą Europę, bo jak religia uważała człowieka pod względem abstrakcyjnym bez różnicy kraju do którego należał, bo pisała nie prawa Francuzów lecz prawa człowieka. Ztąd wyszedł prozelityzm rewolucyjny i propaganda. Coś podobnego działo

się w wieku piętnastym, ale nie udało się, bo narody europejskie zbyt się różniły od siebie. W wieku ośmnastym dzieło było łatwiejsze.

IV. Po upadku Państwa Rzymskiego, uorganizowanego na zasadach wysokiéj centralizacyi, Europa przeszła pod średniowieczną organizacyę feudalną, różną w szczegółach, lecz jednakową w głównych zarysach czy to we Francyi, czy w Niemczech i Anglii. Feudalność zaprowadziła wszędzie jedną hierarchię, jeden zarząd miast i jeden zarząd wiosek. W czternastym wieku organizacya Europy była więcéj jednostajną niż jest dzisiaj, mimo ułatwienia komunikacyi. Organizacya ta, w ośmnastym wieku, była w całéj Europie w stanie upadku. Szlachta feudalna stała się zgrzybiałą, wolność feudalna sparaliżowaną, zbory prowincyonalne stawały na przeszkodzie cywilizacyi, lud miejski i wiejski odsunął się od szlachty a zbliżył do korony. Narody kontynentalne robiły postępy, ale wszystko co oddychało życiem nowém, co podnosiło cywilizacyą, miało początek gminny. Korona przestała być feudalną, zależną od Panów, a stała się narodową, opartą na licznych urzędnikach zastępujących szlachtę w jéj dawném zarządzie. Upadek organizacyi feudalnéj miał także miejsce w Anglii, ale odbył się w inném wcale kierunku. Tu pobudkę do postępu dała nie korona lecz szlachta skojarzona z gminem i protestantyzmem. W Anglii dawna forma została, ale feudalność zniknęła; szlachectwo stało się przystępném dla gminu, nie opierało się na urodzeniu lecz na tytule i zamieniło się w arystokracyą; znikł rozdział narodu na klasy; równość w obliczu prawa, równość podatków, wolność druku, jawność obrad, datują w Anglii od wieku siedmnastego. Od téj epoki, Anglia może już być uważana za państwo nowożytne, ogołocone z nad-

użyć feudalnych, za państwo wolne, jakiém je dziś widzimy.

V. Rewolucya francuzka roku 1789 jak rewolucya angielska wieku siedmnastego, miała na celu obalenie feudalności szlachty, która chociaż zgrzybiała, trzymała się rutyny praw i doktryny ułożonéj w wiekach średnich. Było to dzieło naturalne, które mogło się było dokonywać powoli i inaczéj, ale które dokonało się nagle i krwawo, z przyczyny że feudalność francuzka wzbudzała najżywszą nienawiść wszystkich klas pracujących a światłych.

VI. W ośmnastym wieku gmin, trzymając się z koroną, potrafił już złamać w pewnéj części feudalność szlachecką. Poddaństwo ustało we Francyi, włościanie pracowali, przenosili się, kupowali i używali praw cywilnych jako ludzie wolni. W ośmnastym wieku włościanie byli czynszownikami albo właścicielami swych gruntów. Rozdrabianie własności ziemi było już znane w owéj epoce, namiętność włościan do posiadania ziemi była równie silną wówczas jak jest dzisiaj. Wioski nie były już zarządzane przez szlachtę lecz przez urzędników królewskich i samych włościan. Zarząd powiatów i prowincyj nie był już także w ręku szlachty. Szlachta straciła w wioskach przewagę polityczną, ale zachowała całą przewagę majątkową. Sprzedawała grunta włościanom albo wypuszczała je na czynsze, ale te grunta krępowała przez dawne służebności feudalne, przez dawne zwyczaje i ciężary. Ciężary o których mowa były mniejsze we Francyi niż w Niemczech, ale stały się uciążliwszemi niż gdzie indziéj dla tego że włościanin jako właściciel i wyzwolony z pod zarządu szlachty, czuł więcéj swą godność i swój interes. Krępowany i poniżany w każdym kroku jako właściciel, feudalnością,

która z politycznéj stała się instytucyą ekonomiczną, włościanin francuzki zgromadził w swém sercu tyle nienawiści, że musiał wybuchnąć.

VII. Mówiliśmy że wioski były rządzone ze współudziałem włościan, przez urzędników koronnych jak dzisiaj. Tak istotnie było, i administracya centralna sięga we Francyi bardzo dawnéj epoki. Decentralizacya administracyjna utrzymała się tylko w tak zwanych *Pays d'Etat*, zbyt oddalonych od stolicy, które składały czwartą część Francyi: reszta kraju była pod zarządem administracyi centralnéj. Od dawna znano we Francyi urzędników, którzy kupowali urzęda a administrowali w imieniu monarszém i podlegali władzy centralnéj. Urzędnikami byli ludzie gminni. Prowincye zachowały dawne godności szlachecko-administracyjne, lecz te tytuły nic już nie znaczyły. Cała administracya przeszła w ręce urzędników królewskich. Law zdziwił się widząc Francyą bez parlamentu, bez hrabiów istotnych, rządzoną przez trzydziestu intendentów wziętych z referendarzy stanu. Szlachta która zachowała dla siebie wszystkie dworskie godności, pogardzała urzędnikami, ale urzędnicy całą Francyą rządzili.

VIII. We Francyi miasta zachowały wolności feudalne i rządziły się jak małe rzeczypospolite. Od r. 1692 i one uległy administracyi centralnéj. Odtąd królowie sprzedawali urzęda miejskie i na takiém sprzedawaniu opierali swe finanse. Wszędzie i zawsze miasta były najwięcéj ciśnione, bo najwięcéj pracowały. Od roku 1692 administracya centralna rządziła w miastach i wioskach, wszelako mieszczanie i włościanie potrafili zachować dawne zgromadzenia i rady, zwoływane na głos dzwonów. Były to pamiątki drogie dla gminu, chociaż

nie bardzo skuteczne. Władza administracyi centralnéj pozostała przeważną. Administracya centralna uczyła miasta i wioski jak mają pracować i prowadzić się. Dzisiejsze wyrazy *opieka administracyjna* nie były wówczas znane, ale opieka była rzeczywistą.

IX. Dawna Francya znała więc administracyą centralną. Formy jéj były mniej pewne i jasne, ruchy jéj były mniéj regularne, funkcya jéj była trudniejszą, ale była to ta sama istota. Dawna monarchia francuzka przyszła powoli i nieznacznie do administracyi centralnéj z pobudki samowładczéj i tradycyi Państwa rzymskiego, zostawiając szlachcie same honory a przelewając na urzędników władzę rzeczywistą. Gnusność i egoizm szlachty ułatwiły jéj to dzieło. Rewolucya roku 1789, znosząc honory i próżne imiona, obalając urzędy szlacheckie, które stały na próżno obok administracyi koronnéj, ułatwiła Napoleonowi I. zaprowadzenie właściwéj administracyi centralnéj która dotąd rządzi Francyą.

X. Długie istnienie we Francyi administracyi centralnéj stało się przyczyną wielkości i przewagi Paryża. Położenie, bogactwo, ludność nie dają przewagi stolicom, lecz daje ją natura rządu. Londyn, chociaż jest dwa razy tak ludny jak Paryż, nie pochłania wcale Anglii; Nowy York nie decyduje o losach Stanów Zjednoczonych. W wieku szesnastym Paryż był tylko wielkiém miastem, w wieku ośmnastym stał się całą Francyą. Montesquieu roku 1740 a Margrabia de Mirabeau roku 1750 lękali się aby naród ze zbyt wielką głową nie stał się poczwarą. Korona francuzka wcale inaczéj tę rzecz widziała. Kładła ona zapory powiększaniu się Paryża, z przyczyn ekonomicznych, lecz nie znosiła politycznych przyczyn tego powiększania, to jest: administracyi centralnéj. W szesnastym i siedmnastym wieku

mnóstwo było drukarni i fabryk po prowincyach, w ośmnastym były one tylko w Paryżu. W szesnastym i siedmnastym wieku prowincye były pełne ruchu i iniciatywy, w ośmnastym zależały zupełnie od iniciatywy Paryża. Artur Young zdziwił się spostrzegłszy że kiedy w Paryżu był nadzwyczajny ruch materyalny i umysłowy, po prowincyach panowała ospałość. Taki stan rzeczy tłumaczy nam łatwość z jaką roku 1790 Zgromadzenie narodowe mogło znieść podział na prowincye i zaprowadzić podział na departamenta.

XI. Upadek życia prowincyonalnego i administracya centralna uczyniły Francuzów podobnemi do siebie; jedność narodowa zabłysła, ale dawne instytucye feudalne rozdzielały jeszcze prowincye, zapomocą linij celnych, a ludzi, zapomocą praw. Szlachta żyła wolną od wszelkich powinności, uwolniła się od służby wojennéj a zarazem od podatków; posiadała majoraty, substytucye, czynsze, darmochy, dworskie godności, a jednak upadała i ubożyła się. Gmin przeciwnie, pomimo że na nim ciążyły wszystkie powinności, nawet służba wojskowa, bogacił się bo pracował. Gmin nadto żył temsamém życiem co szlachta, ogrzewały go te same promienie, promienie filozoficzne, literackie i dworskie wychodzące z Paryża. W ośmnastym wieku wszyscy Francuzi mieli jedne idee, jeden smak, jedne zwyczaje; prawa zaś ciągle ich rozdzielały. Rozdział praw sprawił że Francuzi, podobni do siebie *de facto*, byli zupełnie niepodobnemi do siebie *de jure* i takiego fenomenu żaden kraj nieprzedstawiał. Przyczyna tego była daleka. Złe pochodziło z tego że szlachta, która z początku była arystokracyą, przystępną dla każdéj zasługi, zamieniła się w kastę, zasadzającą się na samém urodzeniu. Podobnie się działo w całéj Europie, wyjąwszy w Anglii, gdzie szlachta pozostała prawie zawsze w stanie ary-

stokracyi. W Anglii arystokracya i gmin trudniły się temi samemi interesami, miały jednakie zawody, i co więcéj, łączyły się z sobą małżeństwem. W Anglii wyraz *gentilhomme* zmienił zupełnie znaczenie a wyraz *roturier* nie istniał. Wyraz *gentilhomme*, *gentleman*, oznaczał każdego człowieka porządnego. Żaden znak, nie rozdzielał klas i każdy Anglik mógł się uważać że należy do klasy najwyższéj. We Francyi wyraz *gentilhomme* zachował kastowe znaczenie, bo prawa utrzymały rozdział na klasy; wyraz ten w ośmnastym wieku nabrał nawet większego znaczenia niż dawniéj, dla tego że dawna służba publiczna i wojskowa kast już nie łączyła. Dawniéj potrzeba zbliżała klasy, w ośmnastym wieku, kiedy administracya centralna sama o wszystkiem myślała, klasy znalazły się w większém rozłączeniu jak kiedy. Szlachta francuzka była uwolnioną od wszystkich obowiązków a zachowała wszystkie korzyści, nawet wszystkie stopnie oficerskie. Uszlachcenie stało się trudném i zupełnie nadaremnem, albowiem dawna szlachta zachowała różnicę między szlachtą starą a nową. W ośmnastym wieku szlachta niemogła ścierpieć gminu w zgromadzeniach, a gmin nie mógł ścierpieć szlachty. Mieszczanie byli także oddzieleni od włościan, z przyczyny praw a szczególniéj podatków które więcéj ciężały na wioskach niż na miastach. Jak się dorobił włościanin przechodził do miasta i starał się o urząd. Żądza urzędów jest dawna we Francyi.

XII. Rozdział na klasy był następstwem upadku wolności prowincyonalnych. Gdyby wolność była zachowaną, klasy potrzebując się wzajemnie, byłyby się z sobą łączyły jak w Anglii. Artur Young dziwił się że kiedy objawił raz jednemu szlachcicowi francuzkiemu życzenie rozmówienia się z kilku włościanami, szlachcic kazał poprostu włościan przywołać, kiedy szlachcic angielski

byłby ich zaprosił na obiad. Wolność sprawiła że w Anglii tylko biedny miał przywiléj niepłacenia podatku, kiedy we Francyi taki przywiléj należał jedynie do szlachty. W Anglii szlachta, obdarzona wielkim charakterem, lubiła rządzić i dla téj miłości brała na siebie największe obowiązki, kiedy szlachta francuzka nie chciała ani rządzić, ani sprawować obowiązków, ani ponosić ciężarów. Złe to zaczęło się od niewoli króla Jana i obłąkania Karola VI, kiedy szlachta francuzka pozwoliła królom nakładać samowładnie podatki, *byle nie były nakładane na nią.* Przy takim rozdziale klas, interesów i charakterów, łatwo daje się tłumaczyć rok 1789. Zebrane stany zetknęły się z sobą częściami zbolałemi i wybuchła nienawiść do szlachty, która dotąd nieustała.

XIII. Francya utraciła dawne swobody, dziesięć osób nie mogło zebrać się na radę bez pozwolenia królewskiego. Administracya przeszła w ręce korony, ale że ta administracya była jeszcze niepewna w swych prawach, naród zachował niektóre ślady wolności. Była to wolność negacyjna i szczególna. Szlachta np. miała wolność wzgardzania administracyą i spisywania śmiałych *cahiers de charge.* Czytając *cahiers de charge* należy żałować, że zamiast ją nagiąć, rewolucya zniosła szlachtę. Strata klasy śmiałéj i niepodległéj z charakteru jest zawsze szkodliwą, bo zmniejsza żywioły wolności. Duchowieństwo także zachowało niepodległość, dla tego że posiadało ziemię. Posiadanie ziemi czyni duchowieństwo obywatelstwem, kiedy ogołocenie go z niéj czyni je zależném, obojętném na rzeczy narodowe i wolności publiczne. *Les cahiers de charge* duchowieństwa były śmiałe, domagały się utrzymania dawnych przywilejów, ale domagały się także wolności indywidualnéj i jéj gwarancyi, drogą podobną do *habeas corpus;* domagały się zwołania *Etats Généraux,* głosowania

na podatki itd. Mieszczaństwo także miało więcéj niepodległości. Posiadało ono liczne urzęda, urzęda kupione, które zatém nie mogły być łatwo odjęte. Ale najwięcéj niepodległości okazywało sądownictwo, dla tego że było nienaruszalne i że nie było poddane pod awans, jak dzisiaj. Obyczaje sądownictwa były surowe, nacechowane legalnością i uczuciem powinności; jego procedura była jawna, poddana pod apelacyą, wcale różną od ówczesnéj procedury administracyjnéj. Tylko włościanie byli przygnieceni, bo nie mieli środków bronienia się. Biorąc rzeczy w ogóle, charakter narodowy był dość niepodległy. Ludzie ośmnastego wieku nie mieli jeszcze naszéj namiętności dobrego bytu, owéj matki niewoli, wiążącéj się z cnotami prywatnemi, z miłością rodziny, z czystością obyczajów, z szacunkiem a nawet z praktyką religii; nie mieli téj namiętności enerwującéj, która tworzy ludzi porządnych a słabych obywateli. Ówcześni Francuzi lubili wesołość, byli nawet rozpustnemi, ale nie mieli naszego zmysłowego usposobienia, owego sensualizmu umiarkowanego i nieobrażającego przyzwoitości. Klasy wyższe i średnie starały się więcéj o upiększenie życia niż o jego wygodę, o wsławienie się niż o zbogacenie. Wszyscy byli podlegli samowładności króla, ale nikt nie znał potrzeby uchylania się przed władzą nieprawą, mało szanowaną lub nieszanowaną wcale, z obawy aby mu nie zaszkodziła. Mieszkańcy więcéj kochali króla niż się go lękali. Z tych powodów charaktery męzkie utrzymały się we Francyi i męzkość ich pokazała się w rewolucyi.

XIV. Włościanie pokazywali najmniéj ducha wolności i niepodległości, pomimo że używali praw cywilnych, bezpieczeństwa osobistego i że posiadali znaczną część gruntów. Pochodziło to z braku środków obrony, z odosobnienia i z podatku pogłównego, który ciążył na

nich. Szlachta nie siedziała w wioskach lecz w miastach, nie gospodarowała i nie trudniła się ludem, lecz się bawiła. Włościanie którzy przyszli do pewnego majątku przenosili się także do miast, z odrazy od pogłównego. Pozostała na wsi szlachta biedna lub zrujnowana, nazwana przez lud *les hoberaux*, a taka tylko zdzierską mogła się pokazać. W ośmnastym wieku dola włościanina stała się gorszą niż w wieku szesnastym. Tylko szlachta andegaweńska (wandejska) siedziała na wsi, to téż ta tylko szlachta mogła pozyskać przychylność włościan i wywieść ich naprzeciw rewolucyi. Lepiéj się także działo w *Pays d'Etat*, t. j. w prowincyach, które same się administrowały.

XV. W kraju tak rozdzielonym prawem i obyczajami, w kraju w którym nikt nie pamiętał o obowiązkach, w którym wszystkie wolne instytucye marnie przepadły, polityką narodową musieli się trudnić literaci. Literaci, po największéj części mieszczanie, obeznani z historyą grecką i rzymską, a oburzeni widokiem tego co się działo, musieli wpaść na teoryą polityczną, według któréj jedna prosta reguła powinna zastąpić sprzeczne i obruszające zwyczaje. Taka teorya była naturalna, bo Francya nie znała już praktyki rządu wolnego, która najlepiéj oświeca, uczy i oddala od zbyt ogólnych reguł, i z takiéj to teoryi wyszła filozofia polityczna ośmnastego wieku. Gdyby Francya była postępowała jak Anglia, filozofia polityczna ośmnastego wieku nigdyby jéj nie dotknęła. Postępując inaczéj, stało się, że cała Francya zapaliła się do téj filozofii i że w braku rzeczywistéj wolności, rzuciła się w wolność filozofowania. Szlachta filozofowała najwięcéj i powstawała na przywileje, pomimo że najwięcéj z nich korzystała. Czyniła to z niechęci do korony, nie spodziewając się że z tego może wypłynąć rewolucya, która ją pochłonie. Filozo-

fowali także ministrowie i najlepszym z takich ministrów był Turgot. Ministrowie zawinili że nie przewidzieli rewolucyi, ale byli mniéj winni niż szlachta, bo pracowali w interesie korony, która na obaleniu przywilejów najwięcéjby zyskała. Filozofia polityczna rzuciła Francyą w teorye i abstrakcye, które złożono potém na karb geniuszu francuzkiego i tak zwanego *esprit français*, a które były tylko skutkiem braku politycznego wychowania. Filozofowie francuzcy rzucili się na kościół, dla tego że ten kościół był wówczas obrońcą kast, dozorcą druku; upatrywali w nim nieprzyjaciela wolności myśli. Ani duchowieństwo, ani naród nie przeszedł przez doświadczenie przez które przeszło pokolenie następne; duchowieństwo i naród oświecili się dopiero póżniéj: pierwsze poznało wymagania społeczności nowożytnéj, a drugi poznał konieczność religii. Roku 1789 cała Francya była niereligijną; taką więc musiała się pokazać i rewolucya.

XVI. Francya w ośmnastym wieku pragnęła reform, a nie myślała o wolności politycznéj. Voltaire wielbił w Anglii wolność filozoficzną a nie polityczną. Ekonomiści pragnęli reform przeprowadzanych drogą rządową a nie drogą wolności. Letronne, Quesnay, Turgot itd. nie wierzyli w skuteczność równowagi sił, jaka panowała w Anglii, bo znali swój naród i szlachtę francuzką, bo znali zastarzałe wyobrażenia ukonstytuowanych ciał Francyi. Ekonomiści szukali rękojmi dobroci reform w wychowaniu publiczném. Według nich, rząd miał prawo kształcić naród, wpajać weń zasady które uważał za prawdziwe lub potrzebne, a jak utrzymywał Rodeau, miał prawo zrobić z nim wszystko. Według nich rząd nie uosobistniał się w królu, lecz w narodzie, a raczéj w państwie *(Etat)*, w rodzaju demokratycznego samowładztwa. Gdyby Ludwik XV był reformatorem jak Fryderyk II, p. de Machouet, jego minister, byłby zro-

bił z Francyi to co z niéj zrobiła rewolucya. W braku reformatora, Francya postanowiła sama dokonać dzieła i to nam tłumaczy dla czego r. 1775, po obaleniu parlamentu, tak się zapaliła do wolności. Niestety, domagając się wolności, Francya była już napojona maxymami, które były przeciwne rządnéj i stałéj wolności; starała się pogodzić radykalność reform z wolnością; postępowała szczerze i bohatersko, ale niedoświadczona i zbyt loiczna w postępowaniu, wydała ostatecznie losy narodu w ręce despotyzmu.

XVII. Za Ludwika XVI pomyślność Francyi znacznie się podniosła, dla tego że monarcha strzegł porządku a zarazem słuchał opinii publicznéj, światlejszéj niż rząd. Gdyby Ludwik XVI miał przymioty wielkiego reformatora, może byłoby się jeszcze obeszło bez rewolucyi. Nieszczęśliwy król nie umiał sprostać potrzebie; naród więc musiał pójść drogą obraną. Dokonane ulepszenia zapaliły go, bo pokazywały mu co mogło się stać z Francyą gdyby rządy znajdowały się w dzielnym ręku. Rząd wydawał dużo i na cele dobre, ale nie umiał podwyższyć przychodów. Liczba jego wierzycieli się wzmagała a że nadzieja uiszczenia się skarbu pokazywała się płonną, stało się że nawet kapitaliści, zwykle mowni obrońcy *status quo*, stali się rewolucyonistami. Ówczesne złe powiększył jeszcze język szlachty, duchowieństwa i rządu. Wszyscy przyznawali się że działo się nie dobrze, że lud był przeciążony itd. i wszyscy przyznawali się do niemożności dokonania reform potrzebnych. Szlachta, duchowieństwo i rząd sami zdawali się prowadzić lud do rewolucyi. Z drugiéj strony rząd postępując ciągle arbitralnie, zabierając własności na drogi i kanały, oznaczając *maximum* na zboże, robiąc rekwizycye itd. uczył lud jak miał robić rewolucyą.

XVIII. Filozofowie, szlachta, duchowieństwo i rząd wyłożyli potrzeby rewolucyi i wskazali prawie jak miała być dokonaną. Rewolucya była nieodzowna; ani szlachta ani rząd nie umiał jéj przeprowadzić, musiał ją więc przeprowadzić gmin. Gmin francuzki był odosobnionym i poniżonym, ale w sobie samym był dumnym, bo był silnym, pracowitym i rządnym. Gmin francuzki był nieprzyjacielem nierówności, lecz był liberalnym. Rewolucya roku 1789 chciała połączyć w sobie szlachetne idee równości z ideą wolności. Było to dzieło wielkie, wspaniałe, które zapaliło umysły wszystkich. Nieszczęściem, kiedy lud wyginął, kiedy reszta została opanowaną przez zwątpienie, rewolucya musiała się obrócić na korzyść saméj równości ze szkodą wolności, uznać Dyktatora w osobie Napoleona I i poddać się pod administracyą centralną, doprowadzoną do ostatniego stopnia doskonałości. Napoleon I upadł, ale Francya nie mogła już odtąd wyzwolić się z pod administracyi centralnéj. Ile razy robiła rewolucyą, wkładała tylko głowę wolności na kadłub niewoli. Jednakże Francya nie wyrzekła się zupełnie wolności. Brakuje jéj jeszcze światła i doświadczenia, ale liberalizm spoczywa na dnie jéj serca.

XIX. Roku 1789 Francya miała tylko pięć tak zwanych *Pays d'Etat*, które z przyczyny zbyt wielkiego oddalenia od Paryża, utrzymały swe przywileje prowincyonalne i które same się rządziły. Największe z nich były: Bretania i Langwedocya. W tych prowincyach rząd miejscowy powinien był być sprawowany przez trzy stany: szlachtę, duchowieństwo i mieszczan. W Bretanii szlachta wykluczyła zupełnie mieszczan od rządów, zbierała się na rady całém ciałem, i to sprawiło, że ta prowincya pozostała biedną i ciemną. Przeciwnie się działo w Langwedocyi, położonéj pomyślnie pod wzglę-

dem przemysłowym i handlowym. Tu mieszczanie należeli do rady, szlachta reprezentowaną była przez posłów, na radach głosowano nie stanami lecz indywiduami; syndycy, wykonawcy uchwał rady, byli brani ze stanu mieszczańskiego, oswojonego z prawem i regułą, i to sprawiło że Langwedocya była administrowaną najsprawiedliwiéj, najregularniéj i że była najbogatszą z prowincyj francuzkich.

Taka jest treść ostatniego dzieła p. de Tocqueville, którego druga część będzie poświęcona saméj Rewolucyi. Nie widać już w tém dziele czystości i spokojności myśli jakie pokazał autor w dziele *o Demokracyi Amerykańskiéj*. Ostatnie dzieło czyta się całkiem inaczéj, bo dotyka drażliwego gruntu, bo porównywa instytucye angielskie z francuzkiemi, bo oddycha namiętnością a czasem i stronnością. Często, pod osłoną liberalnego języka, trudno uchwycić istotę rzeczy traktowanych przez autora. Rozdział o *Pays d'Etat* musiał najwięcéj zasmucić p. de Tocqueville, bo pokazał że liberalizm nie jest ogólném lekarstwem i że nie zawsze prowadzi do łączenia się klas. Ostatnie dzieło autora jest antycesarskim pamfletem, mającym na głównym względzie wolność i dla niéj poświęcającym wszystkie inne względy. P. de Tocqueville pokazał się szczerym, kiedy wyznał że główne złe we Francyi poszło z zawarcia się szlachty w szczupłych a enerwujących granicach kasty. Autor zbyt dobrze znał Anglią i jéj dobroczynne instytucye, zbyt on kocha wolność, aby mógł ukryć tę wielką pra-

wdę, ale czy powiedział wszystko? czy dotknął stosunku kościoła francuzkiego i licznéj a niezbędnéj armii z szeroką wolnością? czy wspomniał o obyczajach jako o warunku wolności? Szlachta francuzka, któréj autor wskazał przykład Anglii, pokazała mało wielkości charakteru i instynktu wolności, nie lubiła pracy i powinności, nie lubiła wsi, nie lubiła gminu; lubiła w ostatnim wieku życie miejskie, wersalskie i dworskie zepsucie. P. de Tocqueville zapewnia że szlachtę zepsuła monarchia. Niestety, tak nie jest podobno. Szlachta francuzka przemogła kilka razy koronę i przyszła do rządów, a cóż zrobiła? do czego dążyła? Czy do powiększenia liczby *Pays d'Etat?* nie. Dążyła do wielkich godności, do majątków i nie dała hasła ani do ulepszeń ani do wolności. Rzecz tę wyświecił dobrze p. de Carné i trudno dodać po nim co nowego. Historya szlachty francuzkiéj jest szeregiem zupełnéj nieudolności, w któréj główną rolę odgrywały zawsze kobiety. Nieudolność jéj pokazała się do samego końca. Roku 1790 szlachta opuściła swego króla i przed rewolucyą uciekła; toż samo zrobiła roku 1830; a odtąd na Północy pokładała nadzieje. P. de Tocqueville chciałby aby historya francuzka rozwinęła się tak jak się rozwinęła angielska, ale czy miał do tego szlachtę z przymiotami angielskiemi? czy szlachta francuzka znosiła klasy i zaprowadzała wolność w obliczu prawa? czy dbała o godność indywidualną wszystkich i warowała dla wszystkich *habeas corpus?* Czy wzięła przeważny udział w pomyślności Francyi? Nie. Od Franciszka Igo do Ludwika

XVIgo, Francya liczyła ciągle tylko dwadzieścia milionów ludności i trzy czwarte téj ludności żyło w stanie ubóstwa, kiedy zaraz po rewolucyi i mimo wojen rewolucyjnych, Francya podniosła się do 35 milionów dostatniéj ludności, która liczy obecnie zaledwie 200,000 żebraków. Rewolucya roku 1789 była naturalną i nieuniknioną. Była ona *sui generis*, ale była zastósowaną do geniuszu francuzkiego. Klasy się złączyły, rasa się polepszyła, zdrowie i piękność mieszkańców są większe niż były przed rewolucyą. P. de Tocqueville zarzuca i słusznie rewolucyi, że się odbyła według zbyt systematycznéj doktryny, ale nie uważa że feudalna doktryna szlachty była równie systematyczną jak gminna. Skutkiem rewolucyi, Francya została unowożytnioną. Zaiste, brakuje Francyi szerszéj wolności. Jest to brak ogromny, ale po tém co zrobiła rewolucya, szeroka wolność, jeżeli jest podobną we Francyi, nie może być tylko kwestyą czasu i zależną od wypadków. Gdyby okoliczności były po temu, Francya mogłaby być łatwo zdecentralizowaną, mieszkańcy stawaliby bez różnicy u steru rządu czy to narodowego czy miejscowego, jak się to dzieje w Stanach Zjednoczonych, i Francya, gdyby tego chciała, przyszłaby łatwo do arystokracyi naturalnéj jaką posiada Anglia, dla tego że z natury swojéj, wolność, potrzebując przywódzców, jest arystokratyczną.

Michał Łabiński.

ABRACADABRA.

Charakter.

W wędrówce życia nieraz spotykają się twarze, których po długich latach zapomnieć trudno. Złożone z pierwiastków najpospolitszych, choć w rysach ich nie ma ńic na pozór uderzającego, całością swoją ryją się głęboko w pamięci. W pierwszych chwilach naprzykrzają ci się nieustannie zwijając przed oczyma, przypominają po długich upłynionych latach, a gdyś się ich pozbył nareszcie, lada podobieństwo znowu je w całości odradza i na myśl żywo przywodzi.

Jedną z takich twarzy była dla mnie towarzysza studjów w Uniwersytecie, a chwilowo na jednéj ze mną siedzącego ławce, Iwona Draga, najoryginalniejszego z ludzi jakich mi się w życiu widzieć trafiło, choć się więcéj oryginalności bronił, niż starał o nią. Kiedym go poznał, poczynałem kursa ośmnastoletni, on na nie chodził od roku czy więcej, a dziesięć lat może ode-

mnie będąc starszy, i dobrze już nawet skutkiem pracy i zawczesnéj starości podłysiały. Był to mały człowieczek krępy, dobrze zbudowany choć wcale nie tłusty, ale muskularnéj budowy; silny znać i choć bladéj, żółtawéj, ale zdrowéj cery. W rysach jego twarzy nie było nic szczególnego i pasportową formułą dałaby się wiernie opisać tak że rysopis ten przystałby do wielu innych: twarz okrągła, nos mały, usta zwyczajne, oczy ciemne, włosy ciemne, żadnych znaków szczególnych. Ale pomimo to wcale niezwyczajna i osobliwsza całość rodziła się z tych tak prostych materyałów budowy. Czoło miał wypukłe, nad oczyma zwieszone sklepieniem, gładkie, niekiedy tylko składające się w trzy wielkie majestatyczne fałdy; — oczy okrągłe, żywe, biegające, i niesłychanèj siły wzroku, nos istotnie mały, prosty, ale wycięty jak nozdrza araba, usta drobne, których dolna warga odstawała. — Brwi ciemne w prostéj linii rosły mu nad oczyma, i schodziły się gdy czoło fałdował jak u Jowisza piorunującego. Zresztą nie był on ani piękny ani odrażający, twarz miał typu surowego, zamyśloną, coś w niéj było napoleońskiego, ucho małe, nogi i ręce kształtne, ale postać jego niknąca łatwo w tłumie, za zbliżeniem się do niéj nieopisane czyniła wrażenie, zwłaszcza gdy się go raz pierwszy spotkało. Ciągnął za sobą oczy; chciało się go śledzić i zgadywać, czując, że pod tą zimną maską spoczywa jakaś wielka tajemnica psychologiczna.

Jątrzyło to tém bardziéj że mimo największych zabiegów i łatwości poznajamiania się jaka zwykle towarzyszy koleżeństwu akademickiemu, nikt go prawdę powiedziawszy, bliżéj nie znał. Zjawiał się na niższych kursach, uczęszczał na nie czas jakiś, potem najdziwniéj zmieniał przedmiot swych studyów, brał inny, chodził pilnie i notował, pracował, a po pewnym prze-

ciągu czasu przerzucał się wkrótce do nowego i najmniéjszego z nim nie mającego związku.

Znać że i professorów fizyonomia jego uderzać musiała, bo Capelli często się do niego ze swemi dowcipami na prawie rzymskiém obracał, na które on ledwie półuśmiechem wątpliwego znaczenia odpowiadał, inni jakby mimowolnie pociągani siłą jakąś, skierowywali do niego swe tłumaczenia, objaśnienia, a czasem nawet pytania. On rzadko się odzywał, choć znać było, że dobrze o co chodziło rozumiał; trafiało się jednak że sam *proprio motu* zainterpellował nauczyciela i niepospolicie go zawsze zagadnął, tak że z trudności o któréj rozwiązanie z udaną naiwnością prosił, mistrzom się nawet trudno było wywikłać. To wszystko dawało o nim ogromne wyobrażenie, ale ilekroć kto z nas chciał się doń zbliżyć, uśmiechnął się pogardliwie niemal, ruszył ramionami, rzucił ledwie słowo i zaraz uciekał jak od powietrza....

Daliśmy mu z wypadku przezwisko Abracadabra... Był bowiem czas że chodził na medycynę, i gdy o febrach przepuszczających była mowa, a professor szeroko nam historją pojęć téj choroby wykładał, sposób leczenia jéj w dziełach najdawniejszych medyków, przed odkryciem specyfiku chiny, czytając mnóstwo formuł średniowiecznych, nasz Iwo wysłuchawszy go z wielką uwagą i serio, odezwał się w końcu, że pan professor opuścił jeszcze jeden bardzo ważny sposób kurowania feber za pomocą papierka na którym wypisywano mystyczny wyraz Abracadabra, dając go zażywać choremu, co najupartsze febry leczyć miało.

Trudno odgadnąć w jakiéj intencyi to dziwactwo przytoczył, ale gdy usiadł odezwawszy się z tą niedorzecznością, śmiech ogólny obudził, a professor choć śmiał się także, jakoś niesmacznie i półgębkiem.

Odtąd Iwona poczęto powszechnie nazywać doktorem Abracadabra. A że charakter jego tak nam się zdał nierozwikłany, jak znaczenie tego kabalistycznego wyrazu, jużeśmy raz dawszy mu ten przydomek, inaczéj go nazywać nie mogli, tak wybornie do niego przystał.

Ta zagadkowa postać wśród młodzieży daleko od niéj ruchawszéj, żywszéj i ogromnie odmiennéj, nie mieszająca się do codziennego jéj życia, dojrzalsza od niéj, uderzająca rozwagą, namysłem i wytrwałością, drażniła nas niepospolicie. Ale żaden figiel ani pochlebstwo zbliżyć nas do niego nie mogły, widać z planu unikał towarzyszów. Wiedzieliśmy tylko że stał gdzieś na bernardyńskim zaułku, a ja doszedłem że o dwa tylko domy od kanonicznéj kamienicy w któréj na dole parę zajmowałem pokoików. Miał tam izdebkę jedną, sam sobie usługiwał, jadł nie wiedzieć gdzie i co, zamykał się na klucz i pracował, a gdy wychodził na przechadzki, to gdzieś tak się błąkał, iż nikt z nim spotkać się nie mógł.

Większa część kolegów dała za wygraną doktorowi Abracadabra, ale ja z sąsiedztwa w uliczce i ciekawości wrodzonéj, wciąż go nie spuszczałem z oka, niechcąc nawet przypuścić, żeby dla mnie miał zostać wiekuistą zagadką. Spotykaliśmy się niemal codziennie wychodząc, wracając i choć nibyśmy się z sobą nie znali, uważałem że Abracadabra spoglądał na mnie z podełba, a złapawszy moje zaciekawione wejrzenie, ruszał ogromnie ramionami i zżymał się z gniewu, którego wcale nie taił, chcąc mnie nim zapewne odpędzić. Trwało to niepomnę już jak długo, gdy przez dni trzy czy więcéj znikł mi z oczów, a że to było wpośród roku akademickiego i Abracadabra bardzo był pilnym uczniem, nie mogłem sobie wytłumaczyć, coby się z nim stało. W końcu pomyślałem że jak rzucał dotąd jednę naukę dla drugiéj, tak mógł nauki całkiem porzucić dla czynnego życia.

Gospodarz domu, w którym stał, był mi zdawna znajomy, był to poczciwy na wpół spolaczały niemiec, tłusty, gruby, narodową szlafmycę piastujący na wypogodzoném czole jak godło spokoju duszy i mający przy dobrém sercu a flegmie bezprzykładnéj tę tylko jedną śmiesznostkę, że najgorzéj w świecie po polsku mówiąc, miał się za wybornie posiadającego ten język i utrzymywał, że trudno go było poznać od krajowca. Ztąd lubiał nim mówić i byle go kto chciał słuchać, gawędził chętnie, a mnie choć młodego, ale w mundur uczony ubranego, do językowych swych popisów przypuszczał. Ażeby się nawet lepiéj zamaskować z niemczyzną, nie mogąc poświęcić szlafmycy, bo by to za wiele go kosztowało, fajkę swą niemiecką porcellanową z Fryderykiem Wielkim, zmienił na antybkę i stambułkę, z któréj kurząc Wagsztaff zasiadał w oknie z powagą sułtana. W tém oknie wisiał barometr druga namiętność poczciwego Wiganda, bo codzień bawił się jego zmianami i przepowiadał zeń bodaj swéj kucharce, czego się można było nazajutrz spodziewać.

— A co panie Wigand, spada barometr? spytałem go kłaniając mu się w przechodzie obok kamienicy.

— Ni! ni! ni! Ani włos! do góra stępuje!

— Czyż być może?

— Na mój honor! do góra!

— Więc będziemy mieli pogodę?

— Będziemy mieli pogoda.... *nic pewnego* (zamiast *nic pewniejszego* zawsze się tak wyrażał pan Wigand, nie domyślając się wcale omyłki). Było to polskie przysłowie niemca, często je powtarzającego.

Zatrzymałem się przed oknem.

— Jak to miło rzekłem, wiedzieć tak naprzód wolę Bożą i być pewnym że za kołnierz nie kapnie! Ot, gdybyś pan miał parę izdebek próżnych, dla pańskiéj konwersa-

cyi i barometru gotówbym się doprawdy przenieść do pana....

— Ho! ho! uśmiechnął się z wyrazem uradowania, nieco poruszając szlafmycę — Nie prawda! barometr, to jest wielka satysfakcya!

— Bardzo wielka!

— Bardzo miłe zajęcie czasów!

— Niezawodnie, panie Wigand!

— A co pan myślisz? właśnie i stancya u mnie może być wolna...?

— Gdzie?

— Tu na dole....

— Doprawdy? któraż?

— Jak ten mruk umrze....

— Jaki?

— Jaki? A wasz kolega Drag.

— Cóż to? czy chory? spytałem niespokojnie.

— To nic że on chory, rzekł, ale głupi.... Bardzo regularny człowiek, niema słowa, prowadzi się dobrze ale.... pokazał na głowę.... ćwieka ma!

— Cóż mu jest?

— Kto go tam będzie wiedzieć? jak zachorował, zamknął się i nikogo do siebie nie puszcza.... djabli go wezmą, bo ciężko chory, będzie kłopot z pogrzebem.

— Jakto? nikogo przy nim, ani sługi ani przyjaciela?

— Nikogo... zaryglował się na klucz, i gotów umrzeć.

— Ale pan musisz mieć klucz drugi?

— Mam, a na co mieszać się w nieswoje rzeczy....

— Dajże mi pan, zawołałem, znam go trochę, będę miał o nim staranie....

— Nie przyjmie.... wypchnie.... wyłaje.... darmo! rzekł niemiec, już my próbowali....

— Nic nie szkodzi, odpowiedziałem, niechże ja spróbuję jeszcze...

Wigand pomyślał, dał mi klucz z kołka obejrzawszy i pokłonił się; ja wprost pędem pobiegłem do izdebki wskazanéj. Szczęście że zamykając się na klucz ze środka, klucz z zamku wyjął dla niepoznaki; po cichu więc otworzyć drzwi mógłem, i niezbudziwszy chorego wcisnąłem się ostrożnie. Była to izdebka mała, ciemna, o jedném z dziedzińca kraciastém okienku, a że dom Wiganda należał do szczupłéj liczby tych budów których liczne pożary jakim Wilno ulegało, nie dotknęły; — miała charakter XVII wieku wybitny jeszcze. Przytłaczało ją ciężkie płaskawe sklepienie, głębokie framugi z pułkami i szafami, kapryśnie rozpościerały się po ścianach, wyżéj i niżéj bez żadnéj regularności i planu; szczupłość czyniła ją czémś bardzo przypominającém więzienie.

Obejrzałem się i mrowie przeszło po mnie. Drag leżał wyciągnięty na lichéj pościółce, wyprężony cierpieniem, ręce podłożone pod głowę, usta zacięte, czoło zmarszczone, znać usnął zwalczony znużeniem wśród bólu, który siłą ducha przezwyciężył. W izdebce był tylko dzbanek wody, szczątki chleba, talerz natłuczony, i mnóstwo książek i papierów. W kątku stał prześliczny skelet, w przerażającej postawie szermierza z floretem w ręku, robiący mimowolnie wrażenie wyzywającéj życie śmierci, tak ruch jego był naturalny, gwałtowny, przerażający szyderstwem....

Obejrzałem się raz jeszcze i na palcach przystąpiłem do łóżka; Drag spał, ale rozpalony cały, buchając ogniem gorączkowym, niekiedy drgnął, zaszamotał się, to znów wyprężył, to znów słowo niewyraźne wyrwało się z ust jego i zacinał je zaciskając zęby, panując nad sobą nawet obalony chorobą. —

Nagle jakby instynktem poczuł przy sobie sąsiedztwo

żywéj istoty, wzdrygnął się, siadł na łóżku, otworzył na mnie oczy iskrzące ogniem gorączki i zawołał:

— Co ty tu robisz! śledzisz! szpiegujesz? idź precz próżniaku.... idź precz!

— Przyszedłem ci posłużyć....

— Nie potrzeba! nie potrzeba!... idź sobie....

— Chcę ci pomódz...

— Kto cię prosił?

— Obowiązek...

— Dziecinna ciekawość.... idź sobie!... To mówiąc położył się, a raczéj obalił, wołając jeszcze słabnącym głosem — Idź precz!

Z ostatnim wyrazem znać opuściły go siły, zamknął oczy, zaciął usta i wciągnięte oczy, zmarszczone czoło świadczyły tylko o srogiem cierpieniu. Nie mógł się już zdobyć na więcéj. Poznałem że tu bez rady doktora sam nic nie nadam, po cichu więc wymknąłem się, zaryglowałem drzwi znowu i poleciałem do professora Abichta, bo mi było najbliżéj do murów uniwersyteckich. Ale Abicht swoim zwyczajem choć najwięcéj może ze wszystkich professorów miał nauki i serce najpoczciwsze, odmówił rady, bo w praktykę niewierzył i nie miał ufności w sobie właśnie przez zbytek nauki.

Pobiegłem do Rynkiewicza któregom nie znalazł, do Porcijanki, i tego w domu nie było, nareszcie do Korzeniowskiego, który nigdy żadnemu z uczniów nie odmowił pomocy. Odmalowałem mu położenie Draga, i za chwilkę byliśmy u niego. Ale trafiliśmy już na delirium i gorączkę w któréj gadał z niesłychaną szybkością i wymową.... Professor i ja jak wkuci zatrzymaliśmy się na progu.

— Nie! wołał, nie zmożesz mię siło niszcząca.... jestem młody, mam wolę potężną, mam przyszłość... zwyciężę! Czuję przed sobą życie... muszę je zdobyć....

Zajrzę na dno téj wielkiéj tajemnicy, któréj znam tylko zadanie, a rozwiązania nie pojmuję.

— Wszystko głupstwo dodał po chwili — na dnie wszędzie człowiek ze swoją maluczkością i dziecińswem.... w każdym bohaterze siedzi w kątku kawałek błazna i trochę smarkacza.... Ot, ot, zdaje ci się żeś w nim schwytał wyższą istotę, a już się wyślizga i przedzierzga w małoletniego roztrzepańca. Zaczyna jak prorok, kończy jak szewc pijany.... doskonale śmieje się z głupstw cudzych, a swoje ma za całkowicie usprawiedliwione.... toż samo w życiu i nauce.... a wszędzie *ja* na wierzchu, *ty* dla zabawki, a *on* wielkie *X* nieznane tylko dla tego by trójkę Platonowską dopełnić.

— Co mi pan mówisz, ofuknął się z cicha professor, on chyba udaje delirium, nie deliruje....

— To być nie może, zbliż się pan... rzekłem.

Podszedł do łóżka pan Korzeniowski i zdumiał się, Drag oczywiście był nieprzytomny, obłąkany, ale pot występujący nań silnemi grochowéj wielkości kroplami zwiastował kryzys.

— Natura silna, wyjdzie cało! rzekł po cichu....

— Czegóż mu potrzeba? spytałem, by naturze dopomódz!

— Nic w téj chwili prócz spokoju, co się miało stać już się stało, przebędzie dzień dzisiejszy, wstanie osłabionym, wyłysieje na nowo, i ta choroba na długo uwolni go od innych.

Dobrze się stało, że mu lekarz nic nie przepisał, bo prawdziwie nie wiem, jakbym był mógł mu dawać lekarstwo, i namówić na nie. Lekarz usiadł przy łóżku ostrożnie i z cicha, ja stanąłem za nim i tak dywagacyj jego w których jeszcze był związek i przytomność słuchaliśmy. Drag się rozśmiał.

— Widzę, rzekł — nie, nie, nie jesteśmy tak źli; jak się zdajemy, ród ludzki składa się tylko po większéj

części z cieląt ze skrzydłami udających anioły i cieląt z rogami, któreby rade za djabły uchodzić.... przecież ciele cielęciem. Ja sam mam w sobie coś cielęcego.... zagapiłem się na naturę i naraziłem na śmierć, odrobinę ciepła zwierzęcego oddając chłodnéj atmosferze.... Było za co tyle cierpieć... by nic nie zrozumieć... Cóż ciekawego natura? wszystko jest nieco słabszém odbiciem co i my, jednego ducha, jednéj myśli... Natura... dosyć głupia dekoracya, nieosobliwszéj sztuki, któréj aktorowie ról się nie ponauczali... aleśmy dzieci!!

— Otóż Plato! zawołał... jak się masz stary marzycielu! A! a! cóżeś to popisał w Timeaszu? śmiejesz się, sam wiész że te atomy to wierutne bałamuctwo poety... Jak się masz Arystotelu! dużoś zgadł, ale wątpię by ci się przyśniło, że ludzie tak długo iść będą trzymając się twego ogona.... Siadajcie panowie.... siadajcie, to przynajmniéj jakie takie towarzystwo.... nie tych błaznów co mnie zwykle otaczają.... Pomówiemy szczerze, bo w książkach naszych, jest, przyznacie, dużo deklamacyi, komedyi i blachmalu... No, panie Platonie, nieprawdaż? poetyzowałeś na karb poczciwego Sokratesa... A Waćpan Arystotelu trochę nie w swoją rzecz się wdałeś, chcąc całéj naturze przepisać prawidła bytu... choć wywinąłeś się z tego i wyłgałeś ze zręcznością więcéj niewieścią niż mężką, figlami raczéj niż zuchwalstwem... Ale otóż i kochany Sokrates! Siadaj i Waćpan, choć na łóżku.... patrzę na ciebie z poszanowaniem i trochą szyderstwa. Co za passya koniecznie chcieć uczyć i świat przerabiać, żeby się dopracować cykuty, paskudnéj mixtury, i skończyć na cielęcéj ofierze koguta Eskulapowi.... Doskonały ten twój kogut; Cha! cha! płynął, płynął, a na brzegu utonął! Składasz go widzę na Platona, który ci przyszył ten strzępek.... ale ba! Platon klnie się, że istotnie była mowa o kogucie. Ty, którego za bezbożnika osądzono, tłumacz się nie tłu-

macz, postąpiłeś tak jak nasi niedowiarkowie, co na łożu śmiertelnem rehabilitują się spowiedzią. Był kogut w robocie! cha! cha! i Sokrates człowiek.

— A toż kto? zapytał nagłe zmieniając głos — ale ba! otworzyć dzwi tylko, to ci nieproszonych gości nasunie się bez liku.... Widzisz Waćpan kto tu jest ze mną, a leziesz jakbyś wart był siedzieć przy tych uwieńczonych bałamutach, prosty szarlatan jarmarkowy.

— Któż to taki znowu? spytał zaciekawiony profesor....

— Niewiem, słuchajmy... Nazwiska niedosłyszałem...

— Idźże precz Bombaście... Najlepszym dowodem postępu ludzkości, jest właśnie przyjście Alberta W. i Paracelsa po Aristotelesie... Cha! cha!

A precz kuglarze! precz! Prosiemy pana Bakona, który z tyłu zagląda. Co Waćpan nam powiesz? Wyłożysz zapewne swoją teoryą wiatrów, dowód jak doskonale umiałeś zasadę przez się znalezioną zastósować. Nie wstydź się Waćpan, wszyscyśmy głupi, nie z jednéj to z drugiéj strony..... możesz sobie siadać mimo teoryi wiatrów i innych twych bredni. Ależ mi ich tu nachodzi! Czy nie zamknąć by już drzwi! Augustyn syn Moniki! Kłaniam uniżenie.... Jedno piękne jakiem znalazł w legendzie Waćpana, to owo chłopię co to wielkie morze dłonią w maleńki dołek przelewać chciało. Gród Boży wziąłeś z neo-platońskiéj szkoły, nie z Platona, boś nawet po grecku nieumiał, to wiadomo... Mniejsza o to! ale duch był wielki! Głową i czołem przed potęgą ducha! Tertulian! dajże mi pokój, skończyłeś kacerzem z wielkiéj mądrości, urwało się na końcu. Hippokrates chce bym mu język pokazał... masz go jak długi, ale cóż z tego kiedyś nieznał anatomii.... chyba proroczo zgadniesz co mi jest, kiedy niewiesz co w sobie mam... Czegóż się to gniewać! tak jest! A rady niczyjéj niepotrzebuję bo i sam wyzdrowieję, czuję, chcę, muszę,

bywaj zdrów, bez was wszystkich dźwignie mnie młodość i wola....

Zamilkł, ale oddychał ciężko i rzucał się przez chwilę.

— Czy zawsze tak świat będzie piękny jak dziś? Starzy mówią wszyscy od lat tysiąców że im brzydnie, więc nie świat piękny, ale piękno w tych oczach co na niego patrzą. Dziwne przeznaczenie.... na Boga, mozolić się, pracować, boleć, tułać, walczyć, podnosić duchem, i potém znowu na upokorzenie, starzejąc tracić wszystkie mozolnie nabyte władze, słabnąć, niszczéć, zapominać, ziębnąć, by umrzeć prawie tak głupim jak się urodziło! Ale czy wola ludzka nie może zwyciężyć nawet starości? nie wiem! Sądzę! nierozumiem... Ale czém sobie głowę suszyć.... wszystko zabawki i fraszki.....

Zamilkł podśmiewając się pocichu.

— Nikogo, rzekł — żywéj duszy... takie przeznaczenie moje — nigdy nie mieć nikogo, urodzić się niewiedzieć gdzie i jak, jak grzyb nad drogą w zgniłym pniu, na kupie gnoju.... być wykarmionym z łaski, rzucony na łaskę losu.... i sierotą zostać na zawsze.... a pokazać że wola wszystko zastąpić może, zwycięży i przemoże wszystko..... Nie znałem ani ojca ani matki ani serca.... i nie potrzebuję ich, miłość zmiękcza, rzecz babska, na nic się nie zdało kochać.... posiąść chcę nie miłować.... Pokraję świat w kawałki i zjem go po troszę... może też przy téj operacyi dobędę się do jego serca i zobaczę co bije na dnie.

— Biedny człowiek, rzekł professor z litością... Kto wié co go czeka, to organizacya potężna... ale w piersi pusto, zaschło serce.... straszny człowiek....

To mówiąc oddalił się na palcach, ja zostałem przy chorym, i nie mogę wypowiedzieć z jakim zajęciem śledziłem tę zagadkę, którą dla mnie była ta istota. Całą noc następną drzemiąc przesiedziałem u jego łóżka, za-

słoniłem okno płaszczem, żeby go zawcześnie nie obudziło światło, spał coraz się uspokajając, kilka razy tylko ciężko westchnął, ale z oddechu coraz regularniejszego znać było że gorączka ustępowała. Nazajutrz ku wieczorowi dźwignął się powoli, ale powstać nie mógł tak był złamany, stęknął i upadł na łóżko znowu. Przystąpiłem do niego... okiem zdziwionem powlókł po mnie jakby sobie przypominał kto jestem, chciał odepchnąć, potém po namyśle zażądał abym mu pić podał.... Pobiegłem po napój wskazany przez doktora na przewidziany wypadek pragnienia, orzeźwiał i słabszym głosem nie podziękowawszy nawet, wybąknął tylko — Idź że już idź... dość tego... niepotrzebuję nic... W istocie spokojniejszy już mogłem go teraz opuścić postanawiając odwiedzać, aby choć parę razy w dzień miał pomoc, którą tak niechętnie przyjmował. Zdawał się oswajać ze mną, jadła którem mu przynosił nie odrzucił, robił com mu wskazywał, był posłusznym wcale, ale zaledwie sił nabrał trochę, zaryglował się zaraz ze środka i więcéj mnie już dopuścić nie chciał, zbywając milczeniem. Chłopiec od p. Wiganda nosił mu jadło, na które dawał pieniądze, i napój, po który posyłał do apteki.

Ja dopełniwszy obowiązku i niechcąc mu się więcéj narzucać, od téj chwili odstąpiłem go, i gdy zbladły wyszedł, a spotkaliśmy się w kilka dni potém parę razy na ulicy, udałem że go nie widzę, żeby nie żebrać podziękowań, którychem wcale nie potrzebował.

Uważałem tylko, że człowiek ten tak nadzwyczajnéj był siły, iż po najcięższéj chorobie, po któréj by inny niezmiernie długiego do wyzdrowienia i powrotu do siebie potrzebował czasu, on cudownie prawie w miesiąc pokrzepniał, dźwignął się, i wypełzła nawet głowa, nowym mu sią zaczęła pokrywać włosem.

Po staremu wrócił do dawnych obyczajów odludka i do nauki. Nie gadaliśmy do siebie znowu i trwało to bardzo długo, a ja już nawet byłem potroszę gorączkowych jego marzeń zapomniał, gdy jednego razu z największém zadziwieniem mojém, postrzegłem go wchodzącego do mojego mieszkania. Upiór by mnie więcéj zdaje mi się nie zdziwił i nie przestraszył. Była to godzina spoczynku, grałem na fortepianie i ręce przyrosły mi do klawiszów, pobiegłem opamiętawszy się ku niemu, ale on ledwie skinąwszy głową, obejrzał się w koło ciekawie i usiadł jak w domu.

— Przyznam ci się kolego, żeś mi wielką zrobił niespodziankę. Uśmiechnął się z pewną dumą.

— Chodzisz na literaturę, odrzekł krótko — mówmy jak ludzie oszczędzając słów próżnych! prawda to!

— Tak jest, odpowiedziałem.

— Osobliwszy wybór.... co to jest literatura? Bałamuctwo! bełkot dziecinny! próbki słabości! co się tam uczyć.... Dla czegoś to wybrał!

— Nie czułem się zdatnym do czego innego!

— A za tém chyba do niczego, odrzekł... bałamuctwo, czegóż się uczysz i co będziesz umiał, gdy tę literaturę skończysz?

— Języki, historya... filologia...

— Instrumenta... do czego? Całe więc życie myślisz fabrykować instrumenta, ale daléj? cóż daléj?

— Nie wiem rzekłem, ale poznanie literatur...

— To jest poznanie jak dwudziestu czterech zarozumialców lub pokaleczonych śpiewali jedną pieśń coraz inaczéj i coraz gorzéj, a drugich dwudziestu czterech udawali ich potém... bałamuctwa!

— We wszystkiem równie człowiek jest człowiekiem... i tu go poznać można, równie jak przez ściślejsze nauki....

— Ale tu bo chodzi o poznanie Boga nie człowieka!

rzekł Drag — a co mi z anatomii cielęcia? wszystkie cielęta są jako jedno ciele.... Co to literatura? szwargotanie, zabawka! popisy! do czego to prowadzi, do urodzenia niepotrzebnéj powtarzaniny komunałów, które jutro znów zostaną zapomniane, bo słusznie na to zasługują.... Jeźli ci poważniejsza nauka nie smakuje, to szukaj że chleba....

— A jeśli i chlèb mi nie smakuje?

— E! dziecko jesteś i umrzesz dzieckiem....

Przepowiedział, niestety!

— Waćpan ratowałeś mnie w chorobie, ja go chcę poratować w obłąkaniu... jesteś widomie chory na poezyą.... Ale to produkt chorobliwy jednéj tylko pory i godziny żywota... daléj, późniéj, starzejąc, przekonasz się o nie podobieństwie poezyi, i uschniesz jak krzak, którego kwiaty były pełne, i przez to że były pełne owocu dać nie mogły.... bo pręciki nasienne przeszły dla zabawki w czcze liście pachnące i kolorowane, ale wiednące po godzinie życia.

— Nie widzę jeszcze czém to gorsze od nauki, która także jest tylko owocem chwili w życiu człowieka....

— Jakto chwili? zawołał — uczyć się można do śmierci!

— I w końcu, nic nie umieć, lub co na jedno wychodzi, za wiele....

— Nauczyć się niewiadomości, pokory! a! a! to ogromna nauka! zawołał — a nauczy cię tego poezya?

— Sądzę, że równie przynajmniéj jak matematyka, medycyna, filozofia... i teologia...

— Tak, tylko gdy cię ona tego nauczy, nie będziesz już wówczas poetą.... bo słowo zwątpienia na ustach, wszelki ogień w sercu zagasi.... Bądź zdrów.

Wyszedł i tyle go widziałem.

Z największém zdumieniem mojem, na drugi rok odmieniwszy mieszkanie i zająwszy nowe w domu Orłow-

skiéj, na wysokościach, w których mi tak było dobrze... raz ztąd poszedłszy na mszą świętą do Bernardynów spostrzegłem w kościele Draga.... osłupiałem znajdując go na modlitwie.

Śledziłem go gdy wychodził z kościoła.

— A co? spytałem w kruchcie..... poezya językiem wiary i do twojego przemówiła serca....

Spojrzał na mnie ostro.

— Mylisz się, rzekł, wiara przemówiła językiem poezyi.... ale niemyśl bym był pod panowaniem jéj.... jestem panem siebie... Cóż z tego że we mnie biją wszystkie tętna ludzkości, nie chcę ich uderzeń tamować... żyję chwilami sercem i szukam przez wiarę okna na świat lepszy.

— Daj Boże zawsze żyć ci sercem i wiarą! zawołałem....

Zmarszczył się pogardliwie.

— Zobaczysz, rzekł: pracuję, walczę, przemieniam się, probuję, ale ty téj exystencyi zrozumieć nie możesz... Powtarzam ci, szukam okna, którém bym zajrzał w świat drugi.

— Wszakże je już znalazłeś?

— Nie wiem!

I wyrwawszy mi się, odszedł szybko....

Śledząc go późniéj ciekawie, przez parę miesięcy spotykałem ciągle uczęszczającego do kościoła, gdy nagle znikł mi znów z oczu.

Przyznaję się chętnie, że była chwila, w któréj mnie z innemi towarzyszami szał karnawałowy owładnął, przebieraliśmy, dziwaczyli, warjowali na salach domu Müllera.... i po dziecinnemu bawiliśmy się. Zdaje mi się, że to przypadło właśnie w chwili gdy po raz pierwszy w Europie naszéj pokazała się cholera. Jednéj maskarady, pamiętam jak dziś, wsuwa się blade widmo w całunie, z maską starej wychudłéj i z żółkłéj baby

szpitalnéj na twarzy, wywiędłe, obwieszone flaszkami, a tak dobrze uosabiające straszliwą plagę, że niepotrzebowało napisu, który je miał tłumaczyć *urbi et orbi*. Na widok téj maski wszystko struchlało... straciliśmy serca, zdrętwiały nogi... to szyderstwo ze śmierci, zdawało się każdemu niewczesne i niegodziwe. Ja uciekałem od dziwaka, który tak wrażliwe obrał sobie przeistoczenie, gdy cholera zaczęła żywo nacierać na mnie.... byłem przebrany za *garson sans souci*, utrzymując więc moją rolę, musiałem w końcu dostać choćby i cholerze i zaśmiać się jéj w oczy.

Cholera wzięła mnie do kąta, podniosła maskę i z pod niéj wychyliła się twarz szyderska Draga.

— A ty tu co robisz?

— Bawię się rzekł, strachem i przesądnością ludzi...

— Winszuję....

— Nierozumiesz mnie, rzekł — chciałem tych co się niedorzecznie obawiają śmierci uzbroić w odwagę, wskazując im kogoś co się ośmiela kpić z cholery pod jéj nosem....

— Myśl śliczna, szkoda że potrzebowała komentarza odpowiedziałem....

— Strasznieście ograniczeni! odparł urażony, dla ciasnych głów darmo by i komentarze pisać.... pójdę się przebiorę, bo się chcę zabawić, a wszyscy uciekają odemnie.

— Ty bawić się?

— Próbuję, czy w tym stanie duszy, do którego czuję jakieś usposobienie, nie otworzą mi się oczy na nowy jaki horyzont....

— Ale cóż znowu za chorobliwa potrzeba horyzontów i widzeń nowych? odparłem — wiecznież masz próbować życia, a nigdy żyć?

— Rozpocznę życie na pewno, gdy grę poznam....

Wyszedł i po pewnym przeciągu czasu dał mi się po-

znać w ubiorze pajaca, a szalał tak że o mało go policya wyprowadzić nie kazała. Znaleśliśmy się znowu w bufecie, ale już było nad rankiem, wszyscy się rozchodzili, ledwie kilka figur krążyły powstrzymane, nie mając co robić z sobą; muzyka już była zeszła z galeryi.

— A cóż? spytałem... nowa próba...

— Miał słuszność król Salomon, wszystko głupstwo... Zabawa męczy i wstydzi, to dobre dla dzieci.

— Czasem się miło zdziecinić.

— Być może, ale dla tych, którzy woleliby być dziećmi choć udają ludzi, bo im wąsy wyrosły, pusto w końcu... pusto w sercu.

Nadchodząca maseczka dosyć niesmacznie przebrana za peruwiankę, podała mu w tej chwili rękę, i z wielkiem mojém zdumieniem niezdziwiony wyszedł z nią z maskarady, szepcąc po cichu....

— I to próba być musi! rozśmiałem się po cichu.

— Jakże panu posłużył wczorajszy balsam peruwiański? zapytałem go nazajutrz spotkawszy w ulicy.

— Doskonały do smarowania bydląt, gdy im grzbiety swędzą.... odparł ze wzgardą i poszedł zamyślony.

Te urywane spotkania i częstsze coraz rozmowy skleiły w ostatku między nami znajomość, znosił mnie, a na niego i to było wiele, jam podziwiał człowieka, który jak zapalony toxykolog najdziwaczniejsze z sobą odbywał próby. Podobny Proteusz nie wiem czy się rychło drugi raz znajdzie na świecie, bo był czém chciał na rozkaz, a próbował wszystkiego. Dla mnie stał się on ciekawém studium psychologiczném, chociem sobie wówczas niezdawał z tego sprawy jak dalece był typem, u nas szczególniéj wielką klasę umysłów wahających się i nie wytrwałych, przedstawiającym. Silniejszy i pełniejszy od tych, których był reprezentantem, jak go dziś pojmuję, jest wyrazem ogromnéj liczby młodzieży dzisiej-

széj, która ma wszystko co potrzeba do życia, prócz wytrwania, krwi zimnéj i woli do pracy. O ile go sobie przypominam Drag nie ograniczał się jedném skosztowaniem czegokolwiek, powracał do próby raz drugi i trzeci, nurzał się gwałtownie w tém co go nęciło, przejedzony dostawał odrazy, obojętniał, odwracał, uciekał. Najczęściéj przerzucał się potém do przeciwnego bieguna szukając kontrastu i zrazu znajdując w nim wielką rozkosz, ale wkrótce przesycając się nim do obrzydzenia.

Przy takiéj ruchliwości umysłowéj, materyalna strona, gospodarstwo jego życia, przedstawiło najporządniéj i zegarkowo regularnie zbudowaną całość. W niéj malowała się druga wybitna strona jego charakteru, w kierunku pracy umysłowéj żadnego nie mająca udziału; — tą była niezwykła u nas żelazna wytrwałość i stałe trzymanie się jednego obmyślanego planu, od którego zakreśliwszy sobie raz, nie odstępował na włos. Drag sam o własnéj sile wyszedł z pauprów parafialnéj szkółki, długi czas czyszcząc buty, do niższéj szkoły w któréj żył korrepetycyami. Znać zawczasu zaraz osnuł sobie jakieś życia zadanie, bo kosztem największych ofiar i wyrzeczenia się, zbierał grosz na dalszą drogę, żyjąc jak anachoreta, aby okupić czas swój i niezależność przyszłą. Przybył do Wilna z trochą pieniędzy, zarabiał ich niewiele potem robiąc preparata anatomiczne, przy których nieraz życie ryzykował, ale się ich podejmował dla tego, że pracując na zarobek uczył się zarazem. Burzliwy umysł umiał nagiąć do najżmudniejszéj i powolnéj roboty, uczył zresztą małe dzieci, i tak mało potrzebował dla siebie, że temi środkami utrzymywał się nie wymagając najmniejszéj od nikogo pomocy. Sam nosił sobie wodę i posługiwał, ale że czas na to stracony żal w nim wzbudzał, obrachowywał się szczelnie by mu jak najmniéj wychodziło; biegł do stu-

dni drogą jak najprostszą, jadł jak najmniéj i jak najkrócéj, przyjemnostki codzienne życia były mu obce. Najbardziéj uwagi godnem było w nim to sterowanie i panowanie nad sobą potężne, cóż kiedy sprężyna woli nie służyła mu wcale do kierowania ukształceniem umysłowém.

Po niejakim czasie ujrzałem w nim zmianę wielką, osmutniał jakoś, zadumał się i pobladł; sądziłem że mi się wygada z jaką boleścią, ale milczał swoim zwyczajem. Na dnie duszy po tych próbach nieustannych została mu jak mi się zdawało, wielka tylko odraza od wszystkiego i lekceważenie; już się był tak jakoś ułomnie usposobił, że mógł jasno widzieć we wszystkiem złą i kulawą stronę, a piękności znikały przed nim. Powiedziałem mu to otwarcie.

— Doktorze, nadto jesteś dumny, z tego że wszędzie dostrzegasz łatwo słabą stronę ludzkiéj nauki, mądrości i żywota.... zrobiłeś się dobrowolnie kaleką. Dla czegóż z równą łatwością nie starasz się nabyć władzy budowania czegoś lepszego od tego czém tak poniewierasz?

Zastanowił się nieco..

— Uwaga głębsza niż ci się może zdaje... rzekł powoli — burzyć umiem, to prawda, szydzić mogę, pierwszym rzutem oka chwytam błędy i uchybienia.. ale gdy zapragnę co stworzyć braknie mi siły... Dwóch ludzi czuję wówczas walczących we mnie, jednego który wierzy, drugiego który szydzi i przeczy, a ostatni zawsze zwycięża...

— Zdaje mi się, dodałem, że ten charakter sam dobrowolnie nadałeś umysłowi swemu.. Zostałeś wedle ewangelicznego prawa ukarany orężem, którym walczyłeś.

Spuścił głowę.

— Miałożby to w istocie, zawołał, być nieprawdą ale

tylko złudzeniem skoszonych oczów.. to co widzę tak jasno.. tak dobitnie..? miałżebym wiecznie patrzeć tylko na jedną stronę, skutkiem jakiegoś, jak on powiada— kalectwa?... Tak mrucząc odszedł powoli..

Jużem go też po téj krótkiéj między nami rozprawie nie widział więcéj w Wilnie, ja nagle późniéj musiałem przerwać kursa moje, a gdym znowu powrócił z zamknięcia dwuletniego na bruk miejski i świeże powietrze, po długich rozmyślaniach samotnych i łzach wylanych między cztérma ścianami i kratą... już Draga w Wilnie nie było. Pytałem o niego u kolegów którzy się jeszcze w mieście znajdowali, a nikt mi nic o nim powiedzieć nie umiał.. poszedłem w świat i upłynęły unosząc mnie na swych barkach długich, długich, niepowrotnych lat dwadzieścia kilka....

Nie jeden to zapewne postrzegł, jak dziwnie się zmieniają fizyonomie ludzkie, długim czasu i życia przeciągiem, jestem pewien że dusza ogromnie tu działa na ciało.

Są dzieci idealnéj piękności, które żywot późniejszy przeistacza na bydlątka, są starte maski bez wyrazu, na które rozwój ducha i serca wkłada promienistą aureolę natchnienia i męczeństwa... są wreszcie ludzie uprzywilejowani spokojnego ducha, czy marmurowego oblicza, które się nic nie zmienia.

Często z ruiny młodzieńczych rysów pozostają to oczy niezagasłe, to usta nieuwiędłe, uśmiechnione dawnym uśmiechem, to czoło niewzruszone, gdy resztę przetworzą burze i prace życia, namiętności i bóle. — Jużem tych metamorfoz, niepostrzeżonych dla ogółu wiele napotkał zdumiewających, i niejedna smutne we mnie wzbudziła myśli.. z cieniuchnych chłopaków, porosły

wielkie brzuchy na dwóch nogach, z niezgrabnych kloców porozwijali się Antinousy.. ale niestety! rzadko mi się trafiło dostrzedz by młodość albo niezatarta przechowała się na obliczu, lub rozkwitła jaśniejszą niż była dojrzałością w późniejszym wieku. W ogóle twarze ludzi i ich postacie stają się cieleśniejsze coraz, a rzadki dożyje chwili w którejby rysy jego mogły nietknięte burzą, zajaśnieć spokojem przytomnéj, trzeźwéj, promiennéj starości.

Los nie ma tu udziału żadnego, jakem się wielokrotnie przekonał, chyba komu pies kawał nosa odkąsi, przypadek gra rolę bardzo podrzędną, my sami tworzym twarz naszą co chwila coś jéj dodając, coś od niéj odejmując i przekształcając fizyognomie nasze. Każda namiętność gwałtowna burzy harmonią rysów i zostawuje po sobie ślady przejścia, jak kataklyzm w naturze; każde nadużycie, znużenie, wycieńczenie, piętnuje się na nas, na jednych brakiem siły i woli, w drugich niepokojem i walką, w innych powolném zbydlęceniem. Zdarzało mi się jednak po latach dwudziestu kilku napotykać twarze tak dziwnie niezmienione, a raczéj tak logicznie postarzałe, żem je od razu poznawał.. ta logika jednak jest rzeczą bardzo rzadką; a smutno patrzeć na żywe ruiny, gdy z pałacu lub świątyni przerobi się człek na gorzelnią lub garkuchnią. W twarzy dziecięcia potrzeba wielkiego badacza żeby rozpoznać i zgadnąć, co z niéj spełznie na zawsze, a co istotny zaród przyszłości i nasionko rozwinięcia późniejszego stanowi. Zmianą wyrazu tak się przeradzają fizyognomie, że kiedy je z obrazem wyrytym w pamięci porównasz, przestrach cię ogarnia. Nikt podobno przedmiotu tego który tu tylko z lekka dotykam, nie traktował *ex professo*, nie mamy do niego innych nad własne doświadczenie materyałów, a szkoda, bo metamorfozy twarzy więcéj są nauczające, niżby się na oko zdawało. Często by z nich przy po-

równaniu żywota do lica, wyrosła nie jedna prawda moralna.

Przepraszam czytelnika za ten ustęp nie należący do powieści, do którego dodać jeszcze muszę mimochodem ciekawą skazówkę. Mamy dwa bardzo różne portrety Władysława IV, jeden malowany przez Rubensa gdy był młodém książęciem, drugi sztychowany przez Falcka, w późnym już wieku, po ożenieniu powtórném. Na bok odłożywszy piętno jakie na nie wkładają dwa odmienne style artystów, chociaż Falck do szkoły rubensowskich sztycharzy się liczy, zapominając o tém że sztycharz za mało idealizował i może z umyślnym przekąsem zrobił niemal karykaturę (choć portret Heveliusza i Łuk. Opalińskiego przez niego robione dowodzą, że umiał podnieść do wysokiéj potęgi wyraz ducha w ludzkiém obliczu)... co za przeogromna różnica w tych dwóch Władysławach! W tym kawalerze tak rycersko, śmiało i pięknie postawionym, tak arystokratycznego wdzięku a tą maską rozlaną, ogromną, karykaturalnie śmiészną, schorowanego i w tłuszcz rozlanego sybaryty. W portrecie Rubensa widzisz istne zarody bohaterstwa, myśli, popędu rycerskiego, tu sapie tylko opasły niedołęga, który Bożego daru piękności w duszy i ciele przechować nie umiał. Portret Suyderhöefa stoi w pośrodku i jest jakby szczebel przejścia pomiędzy temi dwoma. Pomimo tych różnic ogromnych, wpatrzywszy się w dwa portrety Władysława, oba w swoim rodzaju zrobione wybornie, dojrzysz w Rubensie Falck'a, a w Falck'u Rubens'a; człowiek ten mógł pozostać pierwszym, chociaż w kawalerze i rycerzu znać już roztyłego męża Maryi Ludwiki. Nie chcę się zapuszczać w dłuższą o tém rozprawę, choć zaprawdę wieleby jeszcze powiedzieć się dało; powracam do mojéj powiastki.

Upłynęły tedy lat dwadzieścia kilka; zapomniałem Draga jak bardzo wielu innych towarzyszów moich, ja

sam także zmieniłem się do niepoznania z czerwonego chłopaka, na bladego i wymęczonego, niepewnych lat człowieka; — gdy, będąc przedostatnią razą w Warszawie, na chodniku wprost nowo-przetwarzającego się hotelu Gerlacha, spotykam się oko w oko z człowiekiem tak mi znajomym.. tak znajomym dziwnie, choć nieznanym, żem się przed nim aż zatrzymał. Był to Drag, mało co postarzały, i dziwnie taki sam jakim go znałem w Wilnie, serce mi do niego uderzyło jak do postradanéj młodości, stanąłem, on wpatrzył się we mnie także, i uśmiéchnął.. zbliżył i podał rękę... Nie wiem jak mnie poznał czy odgadł, to pewna że się chwili nie zawahał, chociaż ja sam, niełacnobym może porównywając twarz moją dawną z dzisiejszą, mógł je do jednego mianownika sprowadzić.

— A! a! zawołał — co tu robiemy!

Drag, czyli doktor Abracadabra, gdym się weń wpatrzył, nieco mi się wydał okrąglejszy, ale twarz wygolona, nie miała zmarszczek, czoło rysu, pełne policzki udawały wybornie młodość. U fraka jego, pod paletotem postrzegłem parę wstążeczek orderowych... Zawróciłem się z nim i poszliśmy razem.

Po kilku wyrzeczonych słowach, zaraz mi się dawny Abracadabra przypomniał, nic się w nim nie zmieniło, jak twarz i on pozostał tym samym; panował w nim ten sam ciekawy sceptyk i szyderca, doskonale umiejący chwytać śmiészną i maluczką stronę życia, a nie mogący pojąć wielkiéj i poważnéj, ani dźwignąć się do udziału w niéj. Przyznam się że byłem ciekawy jego losów i stanowiska, którego się poniekąd domyślałem z oznak długiéj służby i elegancyi jaka go otaczała. Choć szedł piechotą dla agitacyi, ekwipaż wcale ładny postępował za nim, skromny ale pełen smaku. Miał ten takt że mnie ani zapraszał do siebie, ani ze staréj korzystając znajomości jak ciekawego zwierzątka nie po-

kazywał licznie nagromadzonym przyjaciołom; — pojechałem do niego na Nowy Świat na zaimprowizowaną herbatę, gdyż szczęściem wieczór miałem wolny.

Znalazłem apartament z angielską skromnością i comfortem urządzony, ciepły, zamczysty, surowo wyglądający na oko, czyściutki tak że nigdzie pyłku nie dostrzegłem, sługę jednego ale bardzo pokaźnego, porządek i regularność zegarkową, wszędzie ślady więcéj niż zamożności, dostatku, prawie bogactwa. Ale w tych ścianach kosztownem obiciem przystrojonych chłodno było myśli i sercu, bo w nim człowiek otoczył się tylko wygodą, a nigdzie nie odezwało się serce jakby go nie miał wcale. Żadnego portretu, pamiątki, nic, coby zdradzało przeszłość, ból, wspomnienie. Biblioteka była liczna, ustawiona porządnie ale równie chłodna jak reszta.. żaden promyk poezyi jéj nie ozłacał.

Gdyśmy usiedli przeciw siebie w wygodnych elastycznych fotelach wybitych ciemno-amarantową trypą, zapalili cygara i spojrzeli sobie w oczy, dopiero wpatrując się lepiéj postrzegłem że Abracadabra wyglądał raczéj na marmurowe popiersie Cezara rzymskiego, niż na żywego człowieka — nic w nim nie było życia, krew nie wiem dokąd uciekła, znużenie i wiek odmalowały się tylko w lekkich sinowatych otokach, które opasywały powieki. Zaczęliśmy sobie przypominać Wilno, ale on szydził nawet z téj smętności, pogrzebanéj pamiątki i niepowrotnéj, świętéj przeszłości lat ozłoconych młodością — nielitościwy!

Dziś tylko jego szyderstwo wystalsze, lepiéj sformułowane, oparte na pozorniejszych podstawach, wyglądało poważniéj i uroczyściéj. Widocznie umysł jego nie zmieniając kierunku nabrał hartu, wzrok widział jaśniéj i daléj. Nie mogliśmy mówić o sobie i wzdychać jak z kim innym, Abracadabra nie miał w piersi serca ani odrobiny, nie stworzył sobie rodziny, nie nauczył kochać,

pozostał jak był sam jeden na świecie i z tego stanowiska Stylity patrzał na to, co mu się zwijało pod nogami, ze wzgardą nie tajoną, ale przesiąkłą potajemną zazdrością.

Wpadliśmy więc na ogólny przedmiot o dzisiejszych i dawniejszych czasach, a że sąd jego choć jednostronny był wielce dla mnie zajmujący, pozwoliłem mu się rozgadać, słuchając go z natężoną ciekawością.

— Świat, rzekł po chwili, mocniéj jest chory niż sam sądzi, krzyczemy i wołamy żeśmy na drodze postępu, a cofamy się najwidoczniéj. Co do mnie nie widzę by kiedykolwiek ludzkość wielkie zakreśliła koło, jest to wiekuiście jedno tema z waryacyami mniéj lub więcéj udatnemi, z tą różnicą że je czasem pisze Bethoven genialny, a częściéj małpa Gelineck. Jednakże wpatrzywszy się w to mrowisko, są tam barwy nieco różne, jaśniejsze i ciemniejsze, ale wiek nasz niestety, choć tyle prawi o duchu.. ducha niema.. Mówi o nim jak spragniony o wodzie, ale się go nie napił, szuka źródła w pustyni, ale trafia tylko na miraże...

Dla mnie przeszłe wieki, pierwsze wieki ludzkości nawet okrzyczane wieki średnie, mają daleko więcéj wielkości, powagi, piękności stosunkowéj, od tego w którym się nam żyć dostało. Zeszliśmy do fraszek i rzeczy maluczkich, do prozaicznych zaprzątnień, do cywilizacyi czysto materyalnéj, która nas pożéra i trawi. Wiek XVIII począł już szukać formuły szczęśliwości ziemskiéj i znalazł ją w dobrym bycie, któren ekonomiści określili, wyważywszy chleb i wodę potrzebne człowiekowi... W szkole ekonomistów leży najcharakterystyczniejszy objaw wieku, nie filozofia nasza ale ekonomia będzie dla wnuków miarą wzrostu któregośmy dosięgli.

Tymczasem jak dziś jest, cała ta nauka stoi na politurowanych fałszach z najkruchszego drzewa.. Gdzieniegdzie pomalowano ją wielkiemi słowy, aby szpar i

dziur znać nie było, pozatykano duchem jak kłakami, polepiono filantropią, i cieszym się dziełem naszém.... Ale ilekroć na tym sprzęcie coś usadowić potrzeba, najmniejszy ciężar łamie je i druzgocze,— ilekroć chcemy zastósować wielkie prawdy nasze, wychodzą na pociesznę fałsze. Czasem doświadczenia z niemi doprowadzają do czegoś niby na oko pokaźnego, ale wpatrz się bliżéj, a przekonasz że ta fizyognomia myli, i ludzkość wzięta w kluby własnych praw syczy i boleje.

Spojrzmyż i porównajmy wieki te w których nie urodziły się jeszcze formuły, nie prawiono o duszy i duchu... jaka tam potęga! jaka wielkość! co za żywot ogromny! Z całą swą cywilizacyą materyalną, kolejami, parą, bawełną angielską, telegrafami, świat stał się podobny machinie w któréj ustawicznie jakieś kółko się psuje, i zastanawia wszystko.. dopóki go maszynista nie nałata.. Co kółko to nowa teorya, i tylko co nie widać jak wcale nową budować przyjdzie machinę do teoryi, lub teoryą do machiny.

— Wolisz więc co innego? doktorze, spytałem, i ja dzielę twoje zdanie, ale czy poetyczność i wielkość przeszłości nie jest dziełem złudzenia i perspektywy powietrznéj w któréj ją widziemy?

— Nie! zdradzają się wieki we wszystkich pozostałościach swoich... po Egipcie zostały bazalty, głazy, piramidy choć ceglane, mumie i garnki.. po Grecyi ideały z marmuru, bronzu i słowa, po Rzymie drogi olbrzymie i ruiny obozowisk, po średniowiecznéj przeszłości mogiły krzyżowców i katedry, — co po nas zostanie? Alkaloidy i banhofy? dwudziestu czterech ekonomistów formułujących społeczną zasadę bytu, trochę szkła, trochę drutu i żelaziwa, dużo rdzy i kwita... Wiek, powiadam waćpanu, głupi, dziecinny i dowodzący upadku ludzkości; żadna w nim wielka myśl nie drga i zrodzona nie wyżyje długo w jego atmosferze zatrutéj, najle-

pszą potrafiemy zepsuć.. Jest niby pragnienie filantropijne podniesienia proletaryatu, ale jak się do tego biorą? jedni socyalizmu niewolą, drudzy utopią bałamutną. — Sformułowano miłosierdzie chrześciańskie i zmieniono je w regularny podatek, ustanowiono towarzystwa i urzędników, którzy muszą być miłosierni od rana do nocy, a są w istocie tylko nieznośnemi machinami do podpisywania regestrów.

Wszelka niespodzianość życia niknie, na wszystko znajduje się prawidło, od którego odstąpić na dół czy do góry nię godzi się.. robią ze świata klasztor bez religii, rzecz w świecie najtrudniejszą... fabrykę, warsztat... więzienie.

Teraz obejrzmy się w tył na to co nas poprzedzało— weźmijmy heroiczne wieki, czytajmy Herodota... spojrzmy na marmur grecki, wnijdźmy na wierzchołek piramidy, zajrzmy Sfinksowi w oczy, odkopmy Babylon i Niniwę, wzruszmy gruzy feudalnych zamków, potrząśmy smętarzyskami, w ich kościach więcéj jest jeszcze ducha, niż krwi w żyłach naszych... Błędne ale potężne popędy ludzkości zawsze wiodą ku czemuś, a choćby nad przepaść wiodły, to z heroiczną pięknością dobrowolnego skoku z tarpejskiéj skały... Wszędzie poezya, miłość, życie, poświęcenie, wszędzie duch potężny, wszędzie pokuszenia szalone ale ogromne. — Stosy Sardanapalów, bitwy termopilskie, Machabeusze; Dawidy, Salomony, Scewole, Mucyusze, Arystydesy.. a choćby Nabuchodonozory.. potém Golgotha i dwunastu ubożuchnych ludzi co świat z gruntu przetwarzają jedném słowem.. potém Piotr pustelnik, zapasy z niewiernemi, scholastycyzm, boje.. alchemja... reforma, inkwizycya.. wszystko to wielkie błędy i wielkie fakta w których biją pulsa życia... a dziś.. drut telegrafu niosący kurs papierów giełdowych, handel, fotografia martwa, fabryki,.. a za całą poezyą statek parowy wiozący złoto z Kali-

fornii, kopane przez szaleńców, krwią i potem rozpusty oblane...

— Przyznasz mi pan, dodał z głęboką wzgardą, że ludzkość nie może się pochwalić postępem, chyba powié że się cofnęła by skoczyć silniéj i daléj, ale skoki nie są chodem, i skoczywszy najczęściéj się na nos upada.. Ilekroć wyrwie się wśród zgrzytania żelaznych zębów machin, głos silniejszy wołający jak nad Jerozolimą — biada! okrywają go śmiechem lub analizują interessem lub zagłuszają hukiem warsztatów w których jedna połowa ludzi fabrykuje gałgany dla drugiéj. Zakochać się w tém trudno, późniéj i życia trzeba iść szukać u dzikich ludów.. zmięszanego z dzikością.. niestety!

A kto dziś powié że tą drogą dochodzi się do nieprzebitéj gołéj ściany, to nieprzyjaciel postępu, zdrajca i przechéra, to poziome stworzenie jak kret ryjące tylko pod ziemią, w ciemnościach.

Osobliwszy widok przedstawia z drugiéj strony przy wygaśnieniu ducha i odebraniu potęgi słowu, spospolitowanie myśli i obrócenie pisma do najobrzydliwszych posług. Jak papuga która się tylko co paplać nauczyła, krzyczym czy jest czego czy nie, powtarzamy, zapisujemy stósy.. a ścisnąwszy to.. niema nic.. Jedna połowa ludzkości mozoli się nad urządzeniem świata, druga dostarcza jéj teoryi, a wszyscy boleją... Obłąkani zeszliśmy z drogi zupełnie, pod pozorem swobody zostaliśmy niewolnikami błędów wieku. Proste życie jest jeszcze w Ameryce, gdzie się podobno przyszłość nowéj ery gotuje, ale i tu zarażona europejskiém swém pochodzeniem ludność, na miejscu ewangelii karmi się głupim mormonizmem, poczwarném przerobieniem wielkiéj szaty na kusy przyodziéwek, buduje przyszłość na bycie materyalnym, dusi negrów i choruje na toż samo obłąkanie co my, lecząc się trochę pustynią, pracą i

klimatem dziewiczym... Tymczasem Europa zastyga, zwijając się do snu jak przed laty Azya, nim się z niéj to zrobiło czém jest dzisiaj. Widać z daleka patrząc że się zabieramy do końca... bo spisujemy już tylko regestra, pakujemy manatki, porządkujemy rasy, ustawiamy się w szeregi, sadowim, kładziemy i patrzym jak najwygodniéj skonać..

Wśród hałasu i krzyków miliona głosów, pokażcie mi choć jeden potężny, co by do kości poruszył to sparaliżowane ciało....? wskażcie mi jedną myśl większą, lub odezwanie się do szlachetniejszego uczucia.... ze stosów ksiąg dajcie mi jedną z któréj by nowe trysnęło życie? Kto pragnie a chce ochłody, musi powrócić do Biblij, Homera, do Liviusza i Tacyta, do Augustyna i Tomasza.... do poezyi hymnów kościelnych do scholastycznych marzeń, w których jasna jest młodzieńcza siła. Wysiłki umysłowe naszego wieku przypominają mi umizgi osiemdziesiątletniego starca, któremu zbiera się na miłość przez imaginacyą i zebrać nie może.

Wszystkie dzisiejsze płody są dziełem prawideł i formuł, hodujemy poetów jak szparagi, karmim historyków jak woły na stajni, a najwyższym wyrazem piękna dla nas jest niezrozumiałe lub dziwaczne.... zręczne i kuglarskie.

— Ale przerwałem tę długą chryję — cieszę się kochany doktorze, że choć przeszłość znalazła łaskę w twych oczach..tego dawniéj niebyło i to już wielka w tobie zmiana.

— Powoli, rzekł, powoli, nie ciesz się wcale... wszystko jest stosunkowe..... uniewinniam i podnoszę przeszłość gdy na naszą teraźniejszość poglądam. Jakże chcesz bym nie skłonił głowy przed wiekami, w których potężne słowo wiodło za sobą tłumy, w czasie, gdy tylko jadłem i napitkiem, odzieżą i karmią budzi się i wiedzie ludy? Ale i przeszłość ludzkości, to ułomne dzieje kulawego plemienia...

— Któremu przebaczyć potrzeba...

— A nie śmiać się z niego trudno.... Jakże chcesz bym pokląkł przed wielkim Cobdenem, Bastiatem lub Chevalier, gdy przypomnę tych, których oni uzurpowali stanowiska... Sięgają im właśnie po pięty. Wyschliśmy od rozumu...

— Uderz że się w piersi... doktorze... a ty? gdzież w tobie uczucie?

— Alboż ja lepszym być mogę od drugich? i jak nim być wśród nich potrafię? ja jestem zieloną gąsiennicą na liściu zielonym, jaki pokarm, barwa taka. A wiesz, dodał, niech wstanie prorok, niech błyśnie myśl, niech się wyrobi potęga, może pojmę ich ułomność, ale mnie one pociągną... jak celnik rzucę worek i pójdę za słowem Messyasza... Jeszczem ja nie tak ostygły jak wasz wiek dzisiejszy... Dla nas niema jeno chleb powszedni, nic, jeno koryto wieprzowe... jeść, jeść i nic więcéj... nie uczyć ubogich ale ich karmić chcemy, nie doskonalić, ale od głodu obwarować. Wyrazem wieku jest ta obawa o jutro nie duszne ale żołądkowe... I chcesz bym taki świat kochał, albo dla niego poświęcił ćwierć minuty życia mojego... Nie! jak wszyscy tak i ja! buduję ciepłą chatę, jem, piję, i kpię z tego co mnie otacza.

— A! zawołałem, to stan okropny!

Rozśmiał się.

— Wiesz, rzekł, tyle się tylko we mnie zmieniło że pojmuję okropność tego stanu, że są dla mnie chwile takiéj rozpaczy, iż głowę o mur chcę roztrzaskać, ale śmiechem się jak zimną wodą obleję i znowum zdrów... ot tak! aby do końca!

— I nic dla serca! spytałem.

— Na co serce? serce to rana która boli, a ledwieś ją zasklepił świerzbi... lepiéj się nie kaleczyć.

— Nieuważasz więc że idziesz drogą, która ci się samemu fałszywą wydaje?

— Niemam siły proroka, ani namaszczenia do męczeństwa... protestuję śmiechem... bo niemogę krwią i życiem...

— Cóż daléj? jak sądzisz! spytałem po chwili znużony.

— Niewiem, rzekł — potop... koniec świata, śmierć, pożoga... ruina i na gruzach jéj życie nowe... czy zgrzybiałość powolna, wygaśnienie ducha, i sen wiekuisty. To pewna dla mnie że z tego co jest, w kierunku w jakim to sobie idzie, nic być nie może, trzeba nowego jakiegoś żywiołu do téj lampy, któréj knot dymi i kopci, nie świecąc i nie grzejąc, trzeba czegoś ogromnego, nie jak maluczka reforma luterska obcinająca poły wiary na kusy fraczek niemiecki, ale jak odrodzenie Rzymu — Cezarów... najścia barbarzyńców... potopu świeżych ludów, trzeba jednym słowem, niepodobieństwa; trzeba człowieka coby wstał i takim głosem ryknął, żeby go świat cały posłyszał, uląkł się.... Ale machiny zgrzytają, świszczą lokomotywy, trzeszczą warsztaty, i jęk proroka zagłuszą.

Drwiąco rozśmiał się patrząc na mnie.

— Jutro zapewne jak was znam, rzekłem do niego, co innego myśleć i mówić będziecie, wzięliście mnie na próbę dzisiejszéj dyspozycyi... nieprawdaż.

— Nie! nie, zawołał.... i jam się odmienił, bo się już nie przerzucam z jednego stanowiska na drugie, by coraz co nowego wymyślać na ludzkość, przeszłość i teraźniejszość — stanąłem i stoję na jedném... smutne ono ale trwałe...

— Cóż powiecie o odrodzeniu się wiary? spytałem, wszak to widoczne i bijące?

— Tak widoczne ale niepocieszające.... przychodzimy do wiary nie tą drogą, którąśmy do niéj przyjść byli powinni, nie sercem ale głową, wyrozumowaliśmy sobie jéj potrzebę, tak jak pożyteczność pewnych pokarmów: doktorowie ludzkości przekonali się żeśmy nadto

już karmili się strawą mięsną, poradzili jarzyny, i żywioł nowy, w czysto hygienicznéj myśli. Zaczęła się propaganda na zimno, arystokracya uczuła się powołaną do protegowania wiary, i tak to sobie idzie jak gdzieindziéj handel towarów lub entrepryza kommercyjna.

Ja niewierzę w tę religią waszą, którąście wzięli jak płaszczyk modny skrojony przez najlepszego krawca, bo dla mnie niema religii gdzie niema łez ofiar, i zaparcia się siębie, a tego tu niedopatrzysz. Pięknie poubierane panie, chodzą na strych nawracać i uczyć dzieci katechizmu, ale wieczorem tak samo jadą na teatr gdy moda zawoła, i mówiąc o braterstwie w Chrystusie pieczętują się herbami swemi i noszą ze szlachectwem jak paw z ogonem. Są to usiłowania na zimno, które pewną liczbę ludzi poczciwych poprowadzą na dobrą drogę i skutek dobry mieć muszą, ale to nie owa potężna reforma jakiéj nam potrzeba. Apostołów zastąpiły kobiety i rodowa arystokracya, która obejrzawszy się że jéj nic do czynienia nie pozostało, wzięła się do zabawiznia wiarą, ale gdzie duch i namaszczenie? To na zimno obrachunek ze strachu proletariatu, którego się boją, więc mu dają ochładzające lekarstwo, z próżnowania i próżności zajmując się jego dystylowaniem. Kilku ludzi poczciwszych kierują tą fryzowaną apostolerią wiedząc że i te wiory na coś się przydać mogą — ale to sprawa maluczka. Za czasów XVIII wieku modą było mieć d'Alamberta, Diderota, Helvetiusa w salonie, korespondować z niemi i przetwarzać ludzkość ostrząc nóż na własną szyję; więc się nóż zaostrzało i gilotynę stawiało rękami markizów i baronów, paliło pargaminy i wocyferowało o równości pod prawem natury, dziś moda wiary, drukują się więc książeczki dla ludu i hrabiowie piszą nowe ewangelie, dla braci w Chrystusie, ale zajrzyj w tych panów i poszukaj iskierki w ich piersiach skośniałych. Są to zimni han-

dlarze, spekulanci, potajemne hulaki, bezmózgie małpeczki, tłuste bydlątka.... tylko człowieka między niemi ani słychu... Ofiary, które robią nigdy niedochodzą nawet do zakatarzenia, a kieszeniowe nieprzejdą dzisiątéj części tego co przegrywają w karty i wyrzucą na stroje. Prędzéj tu znajdziesz dziwaka, niż potężne serce i główę... a dziwactwo ich to maska wielkiego karnawału naszego...

— Okropnyś doktorze— przerwałem wzdrygając się, niepojmuję cię... zawsze i zawsze jedna tylko i to najgorsza strona...

— Bo dwóch nigdy razem widzieć nie można, rzekł chłodniéj strzepując pyłek cygara..... Co mi tam! to pewna że pierwszą i charakterystyczniejszą stronę życia widzę... druga spi w cieniu, jak ziemia nad którą nie świeci słońce.

— Dla czegóżby tak ludzkość upadać miała?

— A tego ja ci niepowiem, odparł, ale jak człowiek starzejąc podupada na siłach, tak podobno i zbiorowa ludzkość kochany kolego... Nieuchronnie potrzeba by coś nieprzewidzianego spadło na ziemię, połamało warsztaty, pogruchotało głowy fryzowanym mędrkom i ludzkość na nowo rozpoczęła się od jakiegoś nie przemądrzałego ale silnego Hryćka i Horpyny.

— Dla czegóż od Hryćka?

— Żeby nie była skrofuliczną.... zresztą, przyznasz, że żaden Alfred i Gustaw nie jest w stanie mieć tyle synów i córek ile ich potrzeba na nowe zaludnienie... i Alfred zaraz by z Emmą lub Eweliną nazajutrz z głodu pomarli, gdyby im przyszło samym sobie dać rady.— Więc jakiś Hryciek i Horpynka zszedłszy z Bąbiéj Góry, po potopie, który wyniknie z pęknięcia beczek porterowych, rozpoczną na nowo starą historyą.... aleby to nie było ciekawe.... Zawsze naśladowanie słabsze tego co już rąz się mocniéj odprawiło...

Westchnąłem nad tym sarkazmem, w tém wszedł po szyję zapięty na wszystkie guziki kancellista z teką papierów do podpisu pana Radzcy... Drag wskazał mu miejsce na biórze gdzie miał położyć papiery głową nawet nie skinąwszy — podawano nam herbatę, kancellista odszedł z wielkiem uszanowaniem...

Przyznam się że w Warszawie nie piłem lepszéj herbaty, gdyż pomimo staréj, zapomnianéj pieśni do *czaju* niegdy przez Ludwika Osińskiego napisanéj, w któréj prorokował że z tym czajem lepiéj nam będzie niż z węgrzynem...(!) stolica nasza dotąd się go robić nie nauczyła i pije ciepłą wodę zamiast herbaty, chrzcząc ją różnemi ingredyencyami, aby była znośniejszą. U pana Radzcy napój ten zrobiony był z całą rozmyślnością sybaryty, który lubi z każdéj rzeczy wyciągnąć jak najwykwitniejszą przyjemność.

— Widzę, rzekłem, że lubisz wygódki i na serio bierzesz kuchnię życia.

— Jestem dzieckiem naszego wieku, odparł uśmiechając się — niemamy ani uczuć, ani wzruszeń, ani wiary żadnéj, potrzeba szukać dystrakcyj w żołądku i podniebieniu.

— Panna Ewelina! zawołał wchodzący lokaj.

Radzca się gwałtownie odwrócił i zmarszczył.

— Co to jest? zapytał surowo...

— Przysłała pytać czy pan będzie dzisiaj, bo chce jechać do teatru.

— Niech sobie jedzie, odparł sucho.

— A ha! jest i jakaś Ewelina, zaśmiałem się po wyjściu służącego — balsam peruwiański widać nie tak zły jak się panu wydał z początku.

Drag wzgardliwie ruszył ramionami.

— Panna Ewelina to mój deser po obiedzie... Stworzeńko ładne, głupiuchne, złe, ale czasem potrzebne dla dystrakcyi.... Domyślasz się że jest chorystką czy ba-

letniczką.... zgadłeś! Te istotki choć zdradzają ale bawią... cacko... lalka! potrzebujemy rozrywki, jest w nas instynkt łączenia się w grona, który w zepsutych ot tak, przeradza się w bydlęce jakieś używanie i profanowanie piękności i młodości... Co się tycze zdrady... nie obawiam się, to mi wszystko jedno, czy ja jeden czy dwóch nas je jedną kuropatwę, bylem ja jéj miał ile mi potrzeba...

Wzdrygnąłem się.

— Trzymam to w ryzie, rzekł—płacę dobrze—ale nie robię sobie nałogu z jednéj twarzy i co kilka miesięcy przemieniem... kandydatek dosyć zawsze...

— A powiem ci, dodał z pewną chlubą i dumą, ot życie tak urządzone jak moje jest wcale znośne.... Głupie, czcze, ale wygodne. Nie wyrywam się z gorliwością natrętną naprzód, bo to dziecińtwo, Talleyrand i Napoleon mieli racyą, *surtout point de zéle* nie zaniedbuję się jednak nigdy w niczém, żyję i jestem ze wszystkiemi dobrze, karmię i poję tych, którzy mi są potrzebni, dowcip jeśli go mam, chowam jak ślimak rogi, niegniewam się nigdy, nie słyszę czego słyszeć nie chcę... mieszkam wytwornie, doktora mam najlepszego, zawsze jakąś Ewelinkę, zapas na jutro w dobrych listach zastawnych, żeby mi bieda swych łokciów dziurawych nie pokazała..... cóż chcesz? to życie do zazdrości!

— I najlepszy komentarz do tego coś mi niedawno mówił z takim zapałem, odpowiedziałem po cichu.

— Powtarzam ci, rzekł śmiejąc się—jestem dziecięciem wieku, a ja i matki nie zapieram się, chcąc żyć długo i zarobić na błogosławieństwo..... A jak mi się żółci zbierze na wątrobie i zechcę pocichu podrwić, znajdę sobie zawsze człowieka, jak ciebie dziś, kolego, który mnie nie skompromituje.... kogoś przyjezdnego,

obcego, cichego.... to się przed nim wypaplam i kwita. Może jeszcze szklankę herbaty?

— Nie! zawołałem wstając — nie! nie! musisz doktorze Aracadabra potrzebować siesty po herbacie, a tak regularnego życia jak twoje żal by dla fantazyi przybysza przerywać... Bywaj mi zdrów! dwa razy spotkaliśmy się w życiu, Bóg jeden wié czy zobaczemy się jeszcze raz trzeci...

— Zapewniają że mamy się wszyscy znaleść na tamtym świecie... rzekł uśmiechając się... a zatém zawsze do zobaczenia kochany kolego... Nie zgadłeś co do siesty, dodał zaglądając do zegarka — idę teraz na Sessyą Towarzystwa Dobroczynności, którego jestem jednym z Dyrektorów... a potém do Eweliny...

All is well that ends well....
powiedział Shakspeare...!!!...

J. I. Kraszewski.

PARK BOŻY

(Ałłáh-Bahczesi)

OBRAZEK Z BAŁKANÓW

poświęcony

Cyprianowi Norwidowi.

Pomiędzy dwoma ścianami z granitu
Dumnie pnącemi się w przepaść błękitu,
Cudne w Bałkanach dał Pan Bóg ogrody,
Sady i parki na własność przyrody.

Wielka *żelazna* prowadzi w nie brama, (*)
Strojna bluszczami, szeroko otwarta;
Lecz dziwna jakaś niewidzialna warta
Stoi — i noga wstrzymuje się sama,

Cofa się z trwogą; wzrok tylko ciekawy
W sad dziki spojrzy i wraca struchlały

(*) Po turecku Demír kapú, żelazna brama.

Ujrzawszy nagie i ponure skały,
Na pował głazów rozrzucone ławy.

I ucho słucha z podziwem i dreszczem,
Jak tam z jakiegoś pod niebem urwiska,
Kamienie woda z łoskotem w dół ciska,
W ciemnych przepaściach szumi kaskad deszczem.

Tu orłów, sępów krzyk słychać złowrogi,
Czasami tylko odważny się znajdzie
Łowiec, i w straszną krainę tę zajdzie
Dla innych trwoga zamknęła tu progi!

Z Czałyk-Awaku zielonéj równiny
Patrząc na groźne skał nagie wyżyny,
Słuchałem dziwnych tureckich powieści,
O cudach które Allacha park mieści.

A zawsze wzrok mój ciekawy się wieszał,
Na wschody w skale wykute wyraźnie
Z legendą widok ten sny moje mieszał,
Strojąc się w szatę wschodniéj wyobraźnie.

Dziwnych powieści nęcony urokiem
O cudnych zamkach i grodach z kamieni,
Sadach z jaśminu i krociach strumieni,
Ze skał zuchwałym spadających skokiem;

Z strzelbą, z kindżałem puściłem się rano
W ową krainę tajemną, nieznaną,
Żelazną bramę przebyłem i płynę
W buków olbrzymich posępną gęstwinę.

Tu buki starce brodate porostem
Stały, poważnie kołysząc ramiony;

Inne bezlistne leżały pomostem
Na traw i wrzosów pościeli zielonéj.

Inne oddawna umarły — lecz stoją
Łachmanem szaty okryte podartéj
Z piersi rozpękłej, szeroko otwartéj
Dźwięcząc i brzęcząc pszczół stada się roją.

Albo owadów malowane sznurki
Snują się z piersi i giną gdzieś w trawie;
Z suchych konarów wiewiórka ciekawie
Lub szmaragdowe patrzą się jaszczurki.

U stóp olbrzymów pod szatą ich cienia,
Tłumem się wznoszą młode pokolenia,
I czołem z niskich pnąc się winogradów,
Patrzą na ojców i zmarłych pradziadów.

W paprociach, które przerosły mnie głową,
Szedłem dum pełen — a za każdym krokiem,
Dziwną powagą, potężnym urokiem
Żywe przyrody gadało mi słowo.

I z ksiąg tajemnych spadały pieczęcie,
Karta Genesis stanęła otworem;
Życie na śmierci wsparte fundamencie
Snuło się wielkiém pasmem różnowzorem.

I rozstrzelone w postaci tysiące
Płynęło rzeką — i znowu w początku
Gubiąc się swoim, niby konające,
Wstawało jasne w nieśmiertelnym wątku!

Szedłem milczący, i nieraz stanąłem
Z ręką na piersiach, z pochylonėm czołem,

Kiedy mi nagle drzew olbrzymi zawał
Górną mą drogę zapierać się zdawał.

Okiem mierzyłem dębów, buków cielska,
Pooplatane w bluszcz, w kolące zielska;
Z zielska konary sterczały do góry,
Nagie, grożące po śmierci upiory.

Chwilę spocząwszy zuchwale się darłem
Po puszczy królów tułowiu umarłym;
Co raz, to w sieci powojów wpadałem,
Drogę w nich sobie torując kindżałem.

Nie raz podemną stopy się zachwiały,
Gdy z pod nich sycząc wąż olbrzymi sunął,
Lub z jękiem na dół kloc ogromny runął;
Puszczyk mu z piersi wyleciał spruchniałéj.

Drugi, dziesiąty tak zawał przebyty
Za mną się został. Nie złamany znojem,
Przez cierni gęstwę darłem się przebojem —
Aż między gróżne zaszedłem granity.

Tu bok ujrzałem góry poszarpanéj
W czarne przepaście. Strome głazów ściany
W górę się prosto dźwigają piętrami,
Nagie — gdzie niegdzie wieńczone sosnami.

Na szczycie, siwe rozrzucone głazy,
Zamkowych ruin i grodów obrazy
Kłamią tak wiernie, — że patrząc do góry
Różnéj budowy zgadujesz struktury.

Tu ci wyraźnie gotyckie wieżyce
Stoją i patrzą czarnemi strzelnice;

Tu ścian ostatek, arcydzieło sztuki,
Wielkie dwa śmiałe przechowuje łuki.

Tam daléj greckiéj zwalisko świątyni,
I widne jeszcze kolumn kapitele
Ubrane w bluszcze, w powojowe ziele;
Tu jeszcze wznosi się posąg bogini,

Zniszczon, — lecz owal głowy jéj misterny
Jeszcze podziwiasz; w dali sfinx niezmierny
Leży na kraju samego urwiska,
Z paszczy mu jasny zdrój wody wytryska.

A tu kopuła niby watykańska,
A przy niéj, patrzaj, minaretu strzała;
A tam, czy straszna potęga szatańska
Z ruin Balbeku głazy pozwalała?

O Arcymistrzu! wołałem w zapale,
Jakiéj kazałeś tytanów prawicy
Skały olbrzymie upiętrzyć na skale?
Jacyż pojętni byli budownicy,

Co oko w twoim utopiwszy wzorze
Z twego narysu ten cud postawili?
Z pokorą czoło nań patrząc się chyli,
I dusza woła: Tyś wielki o Boże!

Podszedłem bliżéj — stoję zadumany:
Przedemną muszel mozajki na ścianach
Prawią o morzach; — pod nogą mą szklany
Głaz o zagasłych powiada wulkanach.

I pokazuje oku najwymowniéj,
Z jakiéj, ty świecie, wyszedłeś pracowni,

Jakie ty bole przebyłeś i męki
Nim arcydziełem z Mistrza wstałeś ręki!

O piersi moja! czy ty jesteś zdolna
To wypowiedzieć, co czułaś w zachwycie,
Kiedyś tak błogo odetchnęła wolna,
Dumna na góry niebotycznéj szczycie.

Mowo! zkąd tęczy brać tobie kolorów,
By odmalować sukienkę tych borów,
Które cudownie słońcem cieniowane
Pod stopy memi legły rozesłane.

Zkąd ci olbrzymich wziąć ram do obrazu,
By w nich ogarnąć, pomieścić od razu,
Te tysiącami rozsiane pagórki,
Te kołyszące nad niemi się chmurki;

Siatkę ze wstążek błękitnych strumieni,
Złote i srebrne na niwach zbóż paski,
Żywość słonecznych drgających promieni,
Jeziór zwierciadła i płowe te piaski!

I któż wypowie tę czarowną błogość,
Kiedy bogato malowana karta,
W jedność wcielając cudnych rysów mnogość,
Stanie szeroko oku rozpostarta!

Z jakim zachwytem w niéj gubi się oko!
Jakaż nauka w niéj mistrzom się mieści,
Jeźli odgadną i pojmą głęboko
Tę piękność *w zgodzie postaci i treści!*

O! taki obraz w pamięci się kładnie,
I w niéj na wieczne wybija się czasy;

A gdy z niéj sztuka rys jaki wykradnie,
Jakiéjż dziewiczéj, cudownéj jest krasy!

W dół się spuszczałem po stromych urwiskach,
Czarne przepaście dyszały pode mną;
Lecz darmo grożą otchłanią mi ciemną,
W méj duszy obraz w słonecznych połyskach!

Nagle pierzchnęła zaduma ta błoga:
Z pod stopy mojéj głaz jeden ucieka!
Dębem mi włosy postawiła trwoga,
I pot śmiertelny na czoło mi ścieka.

Za gałęź sosny pochwyciłem kruchéj,
I życiem całém przypiąłem się do niéj!
W przepaść mnie, zda się, ciągną czarne duchy
Sciskiem lodowéj opasawszy dłoni.

A tam, podemną, parowy się garło
Bezdenne, z hukiem i gromem rozwarło;
Głaz potrącony tysiąc porwał głazów,
Bił po granitach i grzmiały od razów.

Zda się w kamienie wstąpiły szatany,
I pędzą młyńcem w poskokach szalonych;
Z trzaskiem się zwalił dąb pogruchotany,
Z krzykiem się stado rwie orłów spłoszonych.

Z jakiém uczuciem jam bluszczów się chwytał!
I gdy znów pewny stanąłem na ziemi,
Z jakiem jam sercem blask słońca powitał,
I kwiatek drobny z oczami modremi!

I wszystko stało przedemną piękniejsze!
Zda się, że piłem i powietrze lżejsze;

Nigdy skowronek tak dźwięcznéj piosenki
Nie grał — las cudnéj tak nie miał sukienki!

Nie mów, śmierć piekna! bo to świętokradztwo!
Wtedy ma tylko anioła oblicze,
Kiedy nią bronisz, zdobywasz bogactwo
Droższe, niżeli żywota słodycze!

Długo w dół szedłem, powojów uplotu,
Nikłych się krzewin chwytając warkoczy;
Słuchając kaskad dalekich łoskotu,
Szumu, gdy w gęstwy spłoszony zwierz skoczy.

Nie raz stanąłem i serce mi drżało,
Wzrok nieruchomy na gęstwie zawisnął;
Czy *duch król puszczy* swą brodą wspaniałą
Z pod buków płaszcza ciemnego zabłysnął?

I szybko strzelbę przyrzucam do twarzy:
Nie! to pień olbrzym z wielkiemi ramiony
Z suchych traw nosi na głowie korony;
O trzystu wiosnach umarłych swych marzy!

I na dno czarnéj zstąpiłem parowy:
Tu promień słońca nigdy nie zawita,
Ni wiatr nie wieje; — tu wszystko grobowy
Kir wdziało. Trawa, żółta, chorowita.

Dźwiga się w górę i pada zemdlona.
U głazów Wiecznéj krople rosy wiszą;

Wody zatęchłe, na nich pleśń zielona,
Zgniłe wyziewy z pod pleśni téj dyszą.

Głazy ponure, mchami porośnięte;
Odrażające grzyby wokół stoją;
I salamandry leżą wyciągnięte,
Nad niemi ćmy się kołyszą i roją.

W bokach parowy — pieczary, ciemnice,
Pozawalane drzewami ich wnijścia,
Lub grubym wałem wilgotnego liścia,
A pełne jakiejś groźnéj tajemnice.

Za progiem słychać, jako wody krople
Spadają, pluszcząc w mierzonych przestankach;
Czasami widać kryształowe sople
Błyszczące w głębi w pajęczyny wiankach.

W jedną zaszedłem — i w czeluści głębie
Zapuszczam oko: tu w mgły szaréj kłębie
Potwornych kształtów w pół widne kamienie
Siedzą i leżą jak zaklęte cienie.

Nagle szum jakiś posłyszę nademną,
Spojrzę: ogniste dwie wielkie żrenice,
Krwawe, płonące topią się w me lice.....
Stopa się schwiała i w oku mém ciemno.

To złuda!... lecz kiedy wytęże mé oko:
Czerwone, krwawe, otwarte szeroko
Te same ślepie patrzą się iskrzące,
I słyszę piersi gniewami dyszące.

I zda się, widzę nad dwoma ślepiami
Czoło Meduzy ze żmii splotami;

Drżący, zdumiały wpatruję się w paszczę,
Słyszę jak zieje, i dyszy, i klaszcze.

Chcę naprzód: ale dreszcz jakiejś mi trwogi
Do ziemi martwe poprzykuwał nogi,
Wstecz chciałem: duma obrażona męska
Haniebny odwrót zaparła zwycięzka.

Zmierzyłem w paszczę rusznicą — i grzmotem
W nią wypaliłem. Ze strasznym łoskotem
Pieczara grom ten oddała mi echem
A szatan piskiem zawtórzył i śmiechem.

I wybuchnęły z pieczary straszydła
Bijąc i klaszcząc w potworne swe skrzydła,
I przeleciały mi szumiąc nad głową
Jak chmura z chłostą pędząca gradową.

Po strzale cała pieczara się dymi —
I cisza; — w głębi gdzieś skrzydło owada
Dzwoni, lub z pluskiem kropla wody spada;
U stóp mych puhacz skrwawiony olbrzymi.

Co raz parowy zwężała się szyja,
W różne się kształty łamie i rozwija,
A coraz dziksza, czarniejsza jéj postać;
Chciałbyś na jasność się bożą wydostać!

Nagle parowę znalazłem zapartą;
Na poprzecz legła kamienna mi ściana,
Przy niéj odziana sukienką podartą
Odwieczna lipa stała zadumana.

Jeden jéj konar był jeszcze zielony,
Niby za ścianę z rozpaczą się wdzierał,
I zdał się żalić, że w nocy umierał,
Gdy tam za ścianą—świat słońcem złocony!

Po szczeblach sęków i lipy ramionach
Pnąc się,—na ściany odetchnąłem zrębie.
Widny las dębów: w zielonych koronach
Słychać, miłośnie gruchają gołębie;

Kuka zezula, stukają dzięcioły
I złota wilga na fletni wygrywa,
Gwarzą koniki, pobrzękują pszczoły,
Z lekkim wietrzykiem wiosenna woń pływa.

Szedłem tym lasem, przez trawy płynąłem,
Idąc za skrętem przezroczystéj strugi;
Nad nią dumały ze śniegowém czołem
Lilje i modre niezabudek smugi.

Gęstwa się lasu rozwidnia przed okiem;
Żywym się jasność słoneczna potokiem
Rozlała nagle—i ogród wspaniały
Z rajską pięknością otworzył się cały.

Jaka murawa i jakie tu drzewa!
Jaka tu spadła kolorów ulewa
Na dywan darni, i jakie tu drgają
Promienie światła, jakie pieśni grają!

Zdumioném okiem gdy cuda te mierzę,
Gdy woń czarowną chciwie w piersi chwytam,
Że to na jawie, sam sobie nie wierzę;
Jeśli to nie sen, cóż w raju przeczytam!

Jak oko sięgnie, murawy dywany,
Żywa zieloność młodzieńczo połyska;
Tu błyszczą czołem złote tulipany,
Gwoździk z zieleni rubinem wytryska;

Dzwonki, konwalje — a tu niebo szczodre
Pomalowało darń w fijołki modre,
Tam dzięcieliny, tu piwonij głowy
W wielki się zastęp złączyły pąsowy.

Na tym szerokim, tęczowym dywanie,
Drzewa i krzewy rzucone nieładem.
Tu gaj jaśminów przy pysznym kasztanie,
Tu dąb samotny, tam buk z winogradem.

A jaka odzież drzew pyszna, bogata!
W śniegi kalina ubrana dziewica,
A bzów odziewek jako niebios lica,
W rumieńce róży malowana szata!

Na środku sadu jasnéj wody tonie;
Jeden brzeg trzciną w półkole okryty,
Szumiąc rogoże czarne chwieją kity
I wodna lilja złotym blaskiem płonie.

Drugi brzeg lekko się schyla ku wodzie,
W niezapominek turkusy strojony;
Na srebrnych żwirów spienionym obwodzie,
Żwawo rój pliszek biega rozproszony.

Hetmańska czapla schyliła czub śnieżny,
W wodzie przegląda postawę swą własną;
Szybkie jaskółki, całunek lubieżny
Dadzą jezioru, lub skrzydłem je drasną.

Po przezroczystym jeziora szafirze
Wodne pająki ślizgają się chyże!
I okrążają w wyścigów zapędzie
Dwa żeglujące poważne łabędzie.

W koło jeziora z granitu wazony!
W nie laur lub wonny jaśmin posadzony;
Z jednego, buku wystrzeliło czoło
Dumne, szumiące pogląda wesoło.

Tam próżny wazon, — tylko bluszcz warkocze
Z niego rozlewa i w koło się wije,
Na wierzchu bocian w tył wygiąwszy szyję
Skrzydła roztoczył i głośno klekocze.

Między wazony z głazów obeliski;
Dziwaczne na nich mech wypisał znaki,
Niby egipskie, hieroglify, ptaki,
I wierne muszel, koralów odciski.

A jacy w sadzie muzycy artyści
Grają w powietrzu i pieją wśród liści!
Z dźwiękiem i brzękiem janczarskiéj muzyki
Wtórzą w koncercie zielone koniki.

Jakie duety i reczitatiwa,
Jaka rozmowa wesoła i żywa!
Dusza słuchając chce skrzydła rozwinąć
Z pieśnią tą zlana do nieba zapłynąć.

Pieśnią kołysan i wonią owiany
U skał przy grzmiącéj kaskadzie usiadłem;
Spadając nakształt brylantowéj ściany,
Ruchomém woda migała zwierciadłem.

Z słońcem igrając, niby zalotnica,
Żałobą smutku posępi swe lica,
Chwilę żałośna — nagle się zaśmieje,
Błyśnie perłami i tęczę przywdzieje.

Cudów przyrody olbrzymia wspaniałość,
Wonie i blaski, czarodziejska śpiewność
W duszę rozkoszną przelewały rzewność,
Aż drżące serce owładnęła żałość.

Ach! bo też przy mnie nie było nikogo,
By doń zawołać: jak tutaj jest błogo!
O! bo poczułem, że trzeba podzielić
Wesele, żeby można się weselić!

Nagle, w oddali nad szumiącą wodą
Starca z wspaniałą śnieżną widzę brodą:
Ojcze, kto jesteś? krzyknąłem zdumiony;
A postać znikła jak ognik zgaszony.

I na murawę ja twarzą upadłem,
Ziemio! wołałem, ty jesteś zwierciadłem
Co nieba sady w odbiciu tu zdradza; —
W nich się ten Starzec Ogrodnik przechadza!

Karol Brzozowski.

POWIEŚĆ KRAKOWSKA.

IX.

Smutne to było życie, jakie wiodła Aniela w domu brata swego. Kraków ze swoim brukiem, ze swemi ścieśnionemi domami, ze swoim policyjnym porządkiem i czadem węglanym, dwojako był dla niéj nieznośnym: raz jako miasto, powtóre, że nie przedstawiał żadnego dla niéj celu, żadnego widoku na przyszłość, a zmuszał żyć na łasce brata. Lubo nie żal jéj było Chwałkiewicza, wszelako ze wspomnieniem jego wiązało się to wszystko co tylko w oczach jéj miało jakową wartość. Rozbrat z nim był dla niéj zarazem rozbratem ze wsią, był prawdziwem jéj osieroceniem, rzucając ją w całkiem obce sobie stósunki, których nawet przywiązanie do Onufrego oswoić nie zdołało. Stósunki te tem były dotkliwszemi, iż czuła się być ciężarem bratu, a przytem sobie saméj przypisywała główny powód choroby Onufrego. Wywdzięczać się mu nie była w stanie,

Patrz zeszyty marcowy, kwietniowy, majowy i czerwcowy.

bo i czemże? czy pomocą w drobnem gospodarstwie, czy obsługą przy chorym? Jedno i drugie było w jéj oczach obowiązkiem tylko siostry, bolało ją zaś, że każda łyżka strawy u stołu Konieckich przez nią pożyta, była o tyle uszczerbkiem ich dzieci, o tyle ubytkiem szczupłych zasobów domowych.

Koniecka nie użalała się nigdy; nie uszło jednak baczności Anieli, że wszystkie porządeczki domowe na które długie lata i oszczędność składały się, znikały raz po raz z domu. Bank Miłosierdzia w bezpieczne przyjmował je schronienie, i leżały tam one czekając „lepszych czasów“ kiedy je wykupić będzie można. Ale nie zawsze Bank Miłosierdzia przynieść mógł pomoc w potrzebie: niekiedy pojawiała się ona nagle w dzień kiedy zastawów nie przyjmowano; a potem, że nie było już i co zastawiać.

Dostrzegła Aniela ten powolny ubytek w domu i opanowała ją rozpacz — bo nie wiedziała skąd pomódz, wiedziała tylko, iż opuszczając dom brata ulży wydatkom domowym.

Otóż w tem małem kółku rodziny Konieckich odgrywały się wielkie sceny poświęceń, miłości i zaparcia się, z których się składał dramat cichego życia domowego, dramat któremu nie poklaskiwały chciwe silnych wrażeń tłumy, w którym z resztą żaden ekscentryczny charakter niewystępował, żadna namiętność nie stała się matką gwałtownego czynu, żaden rozgłośny wypadek nie oświecił sceny bengalskim ogniem efektu. Początkowo tail Onufry jak mógł swoje cierpienia moralne i fizyczne; lecz na tych ostatnich poznał się rychło lekarz i baczne oko żony, pierwsze zaś sam po części chory w swych gorączkowych napadach wyjawiał, a resztę uzupełniła sobie i żona i Aniela. Koniecka przez ciąg choroby męża, prawie rzecby można, nie jadała i nie sypiała wcale, a mocą tylko ducha podtrzymywała wątłe

ciało; Aniela wypłakiwała oczy pokryjomu, ale zaradzić potrzebie nie mogła i posłużyć nawet choremu nie umiała.

Więcéj niż choroba Onufrego wymagał starania i wydatków powolny jego powrót do zdrowia. Wtedy to Aniela znikła z domu brata. W liście który doszedł Onufrych tego wieczora przez jakiegoś żyda, pisała, że zdarzyło się jéj nagle i niespodziewanie jechać do Stanisława, ominąć więc sposobności téj nie mogła. W rzeczy zaś samej, nie wiedząc jeszcze, gdzie ją kroki poniosą postanowiła opuścić dom braterstwa i tak jak stała, bez grosza w kieszeni, wyszła z miasta niepewna wcale czy ma iść do Chwałkiewicza, rzucić się mu do nóg i błagać by ją przyjął choćby za dziewkę do bydła, czy też udać się do Stanisława, którego adres pamiętała, lecz kierunku drogi nie znała, ani też miała jakikolwiek fundusz na tak daleką podróż.

Tymczasem w Brzezince czyniono przygotowania do ślubu. Chwałkiewicz zostawił Zosi zupełną swobodę i moc rządzenia w domu, a lubo się na niejedno krzywił, znosił jednak wszystko cierpliwie, mówiąc do Chłapczyńskiego, że nie trzeba zrażać przedwcześnie dziewczyny. Sprawiał się bardzo spokojnie, tak jak gdyby go w domu nie było, przystawał na wszystkie drobne przywidzenia narzeczonéj swojéj i był tak potulny, że Zosia w téj władzy swojéj znalazła tyle przyjemności, iż starczyła jéj ona w téj chwili za wszystkie inne uczucia. Układała sobie w myśli jakąby z téj władzy ciągnąć korzyść i postanowiła przerobić wiejski dworek dzierżawcy na willę lub pałac, jeśli już zamku mieć z niego niepodobna. Przywołała na pamięć wszystkie opisy wspaniałych mieszkań, jakie wyczytała w kilkunastu powieściach i postanowiła zespolić w mieszkaniu swojem wspaniałość zewnętrzną z wewnętrznym przepychem. Chwałkiewicz nie opierał się tym projektom,

rzekł tylko do niej z uśmiechem, w którym widziała dobroć i powolność, bo wiek jéj nie pozwalał jeszcze poznawać się na śmiechu obłudy:

— Ty wiesz Zosiu, że nic ci nie jestem w stanie odmówić. Przez czas naszego pobytu w Warszawie Chłapczyński zajmie się odnowieniem dworu i urządzeniem go wewnątrz. Żeby zaś wszystko stało się podług twéj woli, dasz mu rysunek dokładny tego co mieć chcesz. Wróci on z Krakowa lada dzień z papierami twemi potrzebnemi do ślubu.

Zosia uczyła się rysować, sądziła więc, że mając plan w głowie, potrafi skreślić go na papierze. Wzięła ołówek w rękę, ale jakoś jéj nieszło. Rysowała ona w szkole ze wzorów i to zwykle jakąś dziką okolicę górzystą, ruinę zamku lub wyrazistą twarz starca, ale o rysunku z natury a tem mniéj z pamięci nie miała najmniejszego wyobrażenia, o porządkach zaś architektonicznych, o symetryi form nigdy nie słyszała, jakkolwiek zdawałoby się, że to potrzebniejsze do wychowania niewieściego, wprawiając pojęcia w pewien ład, który w duszę kobiety zdolny jest przelać pokój i harmonię, i skłaniać ją do loicznego myślenia.

Nie mogąc przyjść do końca z ołówkiem postanowiła ustnie przynajmniej zarządzić potrzebne zmiany, jak każda część domu ma być przeinaczoną. W tym celu obchodziła wszystkie zabudowania dworskie, nakazując sobie otwierać te, które były zamknięte. Zaszła też wreszcie i do izby zajmowanéj zwykle przez Chłapczyńskiego przez ciąg pobytu jego w Brzezince. Była to izba opustoszała: w jednym jéj końcu leżało trochę barłogu; pod oknem stół a na nim nieco zabazgranego papieru i parę stołków prostego wyrobu wiejskiego, składały sprzęty téj izby.

Zaraz po otwarciu drzwi wpadł w oczy Zosi jakiś papier porzucony u progu. Schyliła się przez cieka-

wość podniosła, i z podziwieniem ujrzała, że to był list do niej adresowany, a którego pieczątka złamana. Rozwinęła go niespokojnie, przebiegła oczyma, a przeczytawszy na podpisie: „Maciej,“ zawołała:

— Co to jest? czyje to pismo? to nie ta sama ręka! jeden więc z tych listów był fałszywy, lecz który?

Przeczytała list cały z gwałtownem biciem serca, przeczytała go po raz drugi, a w miarę jak się w niego zagłębiała, wzruszenie jéj rosło, łzy nawet puściły się strumieniem. Przybliżyła się do stołu, żeby się na nim wesprzeć, bo nogi pod nią chwiać się zaczynały, i wtedy wzrok jéj padł na papiery zapisane ręką Chłapczyńskiego.

— Ha! to ta sama ręka — zawołała — o, powinnam się była domyśleć, że to zdrada. To ten stary lis podszedł mię tak nikczemnie i potargał węzły dwoje serc łączące! teraz dopiero czuję, że go kocham; tak kocham go na nowo!

W sercu Zosi odezwało się uczucie, bo w tym wieku nie jest ono jeszcze osłonięte tarczą egoizmu, któréjby nie przebił silny grot miłości. Idzie tylko o to, czy rana zadana sercu szybko się zagoi. U niektórych krwawi się całe życie; zdarza się niekiedy, że energiczna ręka wyszarpnie grot z rany, lecz operacya to śmiertelna. Rzadko, o bardzo rzadko, by rana zasklepiła się do razu. Bywa strzała i jadem zatruta: zabija ona od razu, lub ofiarę swoją na wieczną skazuje schorzałość.

— A jednak on sam przyznaje — rzekła do siebie Zosia po chwili milczenia — że mię zwodził tając swój stan przedemną. Lecz nie mamże ja dosyć dla nas obojga? Samotna chatka w lesie zdala od gwaru świata wystarczyć nam może. Dla czegóż mu to na myśl nie przyszło? dla czego mię żegna? Zrażony drobnemi przeciwnościami rzucił mię, rzucił i zapomniał!

Wsparła głowę na rękach i zatonęła w myślach. Każ-

dy stopień na skali jéj uczuć podniesiony słowami listu spadał znów przed jéj zimną naturą. List który trzymała w rękach, był to prawdziwy list Macieja zgubiony przez Chłapczyńskiego przy odjeździe jego z Brzezinki. I w nim było pożegnanie tak jak w liście fałszywym, lecz w wyrazach innych całkiem niż te, których użył Chłapczyński aby Zosię przeciw Maciejowi oburzyć. Zosia nigdy w marzeniach nawet swoich nie wyobrażała sobie, aby znalazły się tak silne słowa na odmalowanie uczuć, aby z niemych głosek mogło wiać tyle tęsknoty, aby martwe wyrazy tyle boleści mieścić w sobie były zdolne. To wszystko co kiedykolwiek czytała, było jakby mdłem odbiciem uczuć, a jednak list ten był pełen prostoty i niewymuszoności. Taka siła prawdy płynęła z niego, że pierwsza myśl jaka po wyjściu z odrętwienia opanowała Zosię, było niedowierzanie aby autorem jego był krawczyk.

— On mię teraz dopiero zwodzi, chcąc się przekonać, czy ja go istotnie kocham. Lecz ja go kocham, kocham go! — powtórzyła przyciskając do ust pismo Macieja i skrapiając je łzami.

Niemogła przypuścić, aby rzemieślnik zdolny był tak samo czuć jak człowiek wykształcony. Kto inny byłby wprawdzie poznał się na tem, że Maciejowi zbywało na tych ujmujących wyrażeniach, na tym umiejętnym układzie okresów, na doborze słów właściwych do oddania każdéj myśli; lecz Zosia czuła w liście Macieja żar uczucia, moc prawdy, która silniej przemawia do serca niż najwyszukańsza dyalektyka. Chwila ta mogła być stanowczą. Na przemian miotana uczuciami, za najlżejszym powiewem wiatru łódź jéj życia mogłaby się była w tę lub ową skierować stronę.

— Nie, to nie krawczyk! — zawołała raz jeszcze wstając ze stołka.

— Ale kiedy ja ci mówię, że krawczyk — odrzekł

obojętnie stojący za nią Chwałkiewicz, który przed chwilą wszedł był przez otwarte drzwi i stanął za plecami Zosi patrząc na list, w który ona oczy wlepiła i przysłuchując się ostatnim słowom monologu wymówionym głośno.

Zosia krzyknęła.

— Uspokój się moje dziecko — rzekł dzierżawca — Bardzo szlachetnie z twojej strony, iż niedowierzasz, aby człowiek młody mógł się dopuścić takiego szalbierstwa. Lecz jeżeli cię przekonam, że to krawczyk?

— Dla czegóż Chłapczyński list jego sfałszował? Chciał mię przywieść do tego, abym straciwszy nadzieję wszelką, oddała panu rękę.

— Alboż ja wiem o czém? to ten łotr Chłapczyński spłatał jak widzę jakiegoś figla! On się na wszystko odważy. Jeżeli każesz, to tu noga jego niepostoi. Już ja mu tego nigdy nie daruję, że sobie taki żart zrobił. Ależ moja Zosiu — dodał po chwili Chwałkiewicz — tu nie o to mi idzie kto list pisał, lecz że ty żoną Macieja być nie możesz. Ja jestem z resztą bardzo wyrozumiały na takie uczucia niewinne, one cię jeszcze w oczach moich podnoszą, lecz przedewszystkiem pragnę twojego szczęścia. Uspokój się, wszakże ja niemam prawa cię zmuszać, masz więc czas zastanowić się

Słowa te ukoiły nieco Zosię. Wprawdzie czytywała jeszcze często list Macieja, lecz rzecz szczególna, coraz więcéj dostrzegała w nim wad. To co brała początkowo za uczucie, zdawało się jéj potem mdłem i ckliwem; rezygnacya jego dowodziła w jéj oczach braku prawdziwéj miłości, a kiedy list ten porównała ze sfałszowanym, dostrzegła dziwne jakieś między niemi podobieństwo, z małą tylko różnicą wyrazów.

Chłapczyński jakoś nieprzyjeżdżał z Krakowa, co ją samą już nudzić zaczynało i przyszło do tego, że zapytała o niego Chwałkiewicza. Chłapczyński gadatliwo-

ścią swoją, swoim bogatym zasobem anegdot i historyj umiał jakoś ożywiać towarzystwo, a kiedy nadciągnęła jesień, Zosia tak się nudziła, że naglila na Chwałkiewicza, by ją wysłał do Krakowa. Kto wié, gdyby nie wypadki w jesieni owego roku, czy byłaby w Brzezince dłużéj pozostała. Lecz Chwałkiewicz przedstawiał jéj niebezpieczeństwo podróży w takich czasach groźnych, a tym czasem w połowie jakoś grudnia pojawił się wreszcie i oczekiwany od dawna Chłapczyński, przywiózłszy z sobą wszystkie potrzebne do ślubu papiery. Zosia ujrzawszy go zapomniała o wiecznie zaprzysiężonéj mu nienawiści, jednakże okazywała mu wielką niechęć.

Kiedy Chłapczyński zszedł się z Chwałkiewiczem sam na sam, rzekł do niego:

— Dobrześmy zrobili żeśmy ją tak wytrzymali. Będzie powolniejszą.

— A po cóż było narzucać jéj tego krawczyka?

— Po co? to mi się podoba! Jak widzę waszeć panie Chwałkiewicz nieznasz jeszcze serca niewieściego. Taki romans to jak szczepienie ospy. Naturalna się potem już nie chwyci. Skończyło się na lekkiéj gorączce.

— Ale cóż za nieostrożność, żeby list na ziemię upuścić! Donosiłem ci przecie jaki miałem z tem kłopot?

— Nie ma tego złego coby na dobrze nie wyszło. Tem większa teraz pewność, skoro i prawdziwy list nie wygnał jéj z Brzezinki za tym hołyszem. Pozwolenia matki i opiekuna byłbym i tak nie dostał. Z Pawłową ani dojść do rzeczy. Lękałem się tylko, żeby córki nie sprowadziła gwałtem. Szczęściem, że zajęta choremi, zapomina o zdrowych.

— Nie było się czego obawiać; przejmowałem wszystkie listy — rzekł Chwałkiewicz.

— No, ale dopiero teraz jesteśmy bezpieczni. W ca-

łym kraju zamieszanie, kto tam będzie dochodził czyj podpis...

— Jakto? więc...

— Sza! jest pozwolenie, to dosyć. Co Waszeci w to wchodzić? to rzecz moja. Po ślubie wszystko przepadnie, tylko majątek Zosi nie przepadnie.

— Ksiądz zna rękę Onufrego.

— Tem lepiej, nie będzie miał podejrzenia. Nie sądź pan przecie, że ja się niezgrabnie sprawiłem. Ale każ mi co dać, bom strasznie głodny... porachujemy się potem... ja już nie wrócę do Krakowa, lecz zaraz po ślubie do Warszawy.

— A tam po co?

— W Krakowie pustki, w Warszawie ruch i życie. Już ja sobie dam tam radę.

— No to jedź ze mną. Mam zamiar zajrzeć do pana Stanisława, będziesz mi może potrzebny.

— A do niego po co?

— Jak to, po co? jako mąż Zosi mogę dużo na nim wymódz. Bezdzietny, majątek żonin, a ona ciągle chora i chora... Może ty ją namówisz do testamentu.

— Dla czegóż nie?

— Panno Zofio! — rzekł Chwałkiewicz do wchodzącéj — Chłapczyński jedzie z nami do Warszawy.

Nadzieja podróży do Warszawy przebłagała Zosię do reszty za list.

Już téż wszystko przygotowane było do ślubu, czekano tylko końca adwentu, kiedy w tém nagle niespodziewani goście zjawili się w Brzezince. Chwałkiewicz siedział właśnie przy biórku obliczając się z funduszami swemi, odkładał co mu wypadnie zapłacić na ratę noworoczną i z wielkim bólem obliczał ile straci na listach zastawnych które tak niespodzianie spadły. O téj godzinie nikt nie miał wstępu do jego pokoju, bo raz na zawsze było zapowiedziane, że pan śpi. W téj chwili

jednak Chłapczyński nie zważając na zakaz, wpadł nagle, a nim Chwałkiewicz zdążył obejrzeć się, co za natręt śmiał mu spoczynek jego mięszać, Chłapczyński zawołał:

— Zginęliśmy! Onufry i Gruczyńska są tutaj!

Dzierżawca struchlały zgarnąwszy pieniądze do szuflady i zatrzasnąwszy kantorek wybiegł na spotkanie przybyłych, Chłapczyński zaś całe popołudnie nie pokazał się we dworze, z czego się mocno Chwałkiewicz cieszył. Późno jednak wieczorem udając się dzierżawca na spoczynek do swojego pokoju zasunął drzwi i przystąpił do kantorka, chcąc ułożyć rozrzucone po południu pieniądze i papiery. Zbliża się ze świecą do swojego skarbcu lecz nagle zadrżał, włosy mu jeżem na głowie stanęły i świeca z rąk wypadła. Kantorek był wyłamany. Okropna rozpacz opanowała go. Ani na chwilę nie wątpił, że to Chłapczyński sprawcą zbrodni. Nie wiedział czy ma go kazać gonić lub nie, bo lubo z jednéj strony strata pieniędzy przemawiała za ściganiem zbrodniarza, z drugiéj wszakże strony umysł jego takich doznał gwałtownych wstrząśnień od chwili pojawienia się gości w Brzezince, że prawie bezprzytomnie przebył noc całą, a kiedy świtać poczęło, kazał zaprządz i wsiadłszy na bryczkę zawołał:

— Ruszaj!

— A dokąd panie?

— Nie pytaj, tylko gnaj co sił starczy.

Chłopak który dostrzegł wczoraj po południu wielkie we dworze zamieszanie, spojrzał chyłkiem na pana, i przerażony wyrazem dzikim jego twarzy, przeżegnał się jak gdyby się lękał czy go co nie opętało. Czekał więc dalszego rozkazu.

— No i czegóż się tak patrzysz? — jedź kiedy ci każę.

— Chłopak wzruszywszy ramionami, zaciął konie i zaczął odmawiać Zdrowaś.

Tego też chciał Chwałkiewicz. Nie wiedząc w którą stronę ma ścigać zbiega, postanowił zaufać ślepemu trafowi, bo nikomu zwierzyć się nie chciał, co go wczoraj spotkało, nieufając komubądź, aby ze schwytanym nie podzielił się łupem. Konie nie ustawały w biegu, lecz kiedy przyszło do przebycia niebezpiecznego w téj porze gościńca wiodącego wtedy przez Kalinę, woźnica chciał koniom zwolnić. Deszcz jesienny spłukał był górę aż do nagiéj skały, a przymrozki uczyniły przeprawę bardzo śliską. Chłopak dokładał wszelkich ostrożności, żeby tę drogę skalistą i dość stromą a jak stół gładką przebyć bez szwanku, lecz Chwałkiewicz miotany ciągłym niepokojem i sądząc się być coraz bliżéj celu swéj podróży, wyrwał chłopcu z rąk lejce i na wpół stojąc w bryczce zaciął konie które poleciały jak strzała, lecz w téj zaraz chwili utknęła bryczka o kamień. Woźnica podskoczył tylko na koźle, lecz Chwałkiewicz który powozil stojąc, stracił równowagę i wypadł tak fatalnie, iż nogę złamał.

Z wielką biedą dopomógł mu chłopiec wygramolić się na bryczkę i powiózł go do najbliższéj wioski, gdzie zawezwany z miasteczka żyd felczer opatrzył go i w łupki ścisnął zgruchotane kości.

Takie było następstwo odwiedzin w Brzezince sprowadzonych przez cale inne przyczyny. Nieobecność bowiem Anieli nie mogła długo pozostać tajemnicą dla Onufrego. Żona jego różnych używała wybiegów na usprawiedliwienie takowéj, lecz w końcu przyznać musiała, że jéj saméj niewiadomo, dokąd się Aniela udała, bo pewnie nie do Stanisława.

— Chyba do Chwałkiewicza wróciła — rzekła w końcu pani Koniecka.

— Zapewne — powtórzył Onufry machinalnie, ukry-

wając urazę do żony za tę jéj obojętność — Proszę cię Marysiu napisz list do księdza i dowiedz się o nią. Ja jeszcze pisać nie mogę, bo mi się litery dwoją w oczach, napisz i do Stanisława.

Marysia nie zebrała się od razu na napisanie listów, lękając się rychłéj od obu odpowiedzi. Przewidywała bowiem że Aniela nie mogła wrócić dobrowolnie do tego, który ją odepchnął; ani żeby się udała w daleką do Stanisława podróż; lecz pragnąc uspokoić męża, oznajmiła mu, że list do księdza Kozińskiego i do brata już oddany na pocztę.

Onufry nie mogąc się doczekać odpisów, wziął się sam do listów; a tego też chciała żona jego, aby rzecz przewlec póki nie przyjdzie do zupełnego zdrowia.

Onufry przewidywał że Stanisław nie odpowie wcale, a ksiądz Jan odpisał, że o Anieli ani słychu w Brzezince, lecz za to czynią tam przygotowania do ślubu Chwałkiewicza ze Zosią. Onufry przeczytawszy list ten nie mógł oczom swoim uwierzyć. Z jednéj strony zatrwożył się o Anielę, z drugiéj strony małżeństwo to o którém mówił list księdza, przeraziło go niewymownie. Niedosiedziawszy w biórze spokojnie, poszedł do Gruczyńskiéj, którą spotkał na kurytarzu szpitala ś. Łazarza zajętą krzątaniem się około chorych. Nie widział jéj był jeszcze w sukni zakonnéj. W tym czarnym habicie i białym sztywnym czepcu na głowie, zmieniła się Pawłowa nie do poznania. Cera twarzy nieco przybladła, rysy jakoś złagodniały; nie była chudą, lecz straciła na tym zbytku tuszy, który najwięcéj bywa oznaką przewagi życia fizycznego. Cała jéj postać przybrała wyraz niesłychanie ujmujący, i zdawało się, ze nawet odmłodniała, a to ztąd zapewnie, iż myśl wyższa, myśl poświęcenia i miłości owładnęła ją całą i uduchowniła to co w niéj było za nadto wybitnie ziemskiego.

Onufry pokazał jéj list księdza.

Zakonnica odczytawszy go zalała się łzami. Odżyła w kobiecie matka.

— Cóż pani myślisz czynić? zapytał ją Koniecki.

— Odpowiem panu za chwilę — rzekła smutnie — pozwól niech zasięgnę rady.

To rzekłszy odeszła i o kilkanaście kroków stamtąd przyklękła przed krzyżem, gdzie w modlitwie czas jakiś zatonęła. Onufry popatrzył na nią chwilę, a potem nie mogąc się oprzeć temu uczuciu które bez namysłu powiodło kroki zakonnicy do ołtarza, ukląkł zdala od niéj.

Kiedy Gruczyńska powstała, odezwał się dzwonek. Pobiegła za odgłosem jego, a powróciwszy rzekła do oczekującego na nią Onufrego:

— Kazano mi jechać do Warszawy, bo wielkie tam zakładają lazarety dla rannych.

— A Zosia?

— Jedź pan po nią i przywież ją z sobą do Krakowa.

— A jeśli mię nie usłucha?

— Przemówisz pan do niéj w mojém imieniu, w imieniu matki. Z resztą, blisko to drogi, to wstąpię, może się nawet zjedziemy tam razem. Ot widzisz pan, przyszła i rada, któréj żądałam, bo oto pojadę.

W saméj rzeczy zjechali się oboje w Kielcach jednego dnia. Trzy inne siostry, które jechały razem z Gruczyńską w odwiecznéj klasztornéj na esowych resorach dryndulce zezwoliły aby wypocząć w Kielcach już od południa, a Onufry z Gruczyńską, w tym samym powozie klasztornym stanęli niebawem w probostwie w Brzezince. Po przywitaniu się wzajemném naradzono się krótko względem Zosi. Ksiądz niewymownie się zdziwił dowiedziawszy się, że akt uszanowania który mu przedstawiono nie jest podpisany przez matkę, ani też zezwolenie opiekuna przez Onufrego.

— No to sprawa łatwiejsza — rzekł Onufry — w godzinę wszystko da się zrobić, bo jest czem pogrozić.

Ksiądz wysłał chłopca do dworu oznajmiając gości, i od niego to Chłapczyński uwiadomiony wpadł do izby dzierżawcy, a potem pewny będąc, że niema dla niego bezpieczeństwa w Brzezince i że dzierżawca zabawić musi parę godzin z przybyłemi, zawinął się koło kantorka Chwałkiewicza i takowy wypróżnił.

Onufry oznajmił Chwałkiewiczowi bez ogródki, po co oboje przybyli z Gruczyńską.

— A mój mości dobrodzieju — odrzekł dzierżawca — ja panny Zofii nie przymuszam. Wszakże mi ją sama matka oddała w opiekę, i jeszcze mi zwaliła na kark starą Szczepanową, którą żywić musiałem. Rachunek będzie gotów; a mam téż i dawne za doznany zawód pretensye.

— Pani Gruczyńska — rzekł Onufry — nie mogła bez mojego zezwolenia rozrządzać Zosią, a co się tyczy papierów przedłożonych księdzu jako urzędnikowi stanu cywilnego, wiadomo pewnie panu kto je podrobił. Pogadajmy wprzód o tém.

— Alboż ja wiem czy one podrobione? To nie moja rzecz dochodzić tego.

— Ale może sąd zechce wywiedzieć się od pana kto je podrobił. Pierwsze podejrzenie pada na tego, na czyj użytek sfałszowanie wykonane. Zapewne pan wyjaśnisz rzecz w śledztwie.

— Mogę i tu zaraz to uczynić; ja nie robię żadnéj z tego tajemnicy. Chłapczyński przywiózł papiery z Krakowa tak jak są. Zresztą proszę o nie!

— Z największą chęcią, skoro tylko będzie gotów ów rachunek.

— O niema nic pilnego.

— Ale ja proszę, natychmiast. Niemamy czasu bawić tu długo.

Wśród tego Zosia półgłosem prowadziła rozmowę z matką. Na łagodne téj ostatniéj przedstawienia odpowiadała zuchwale.

— Córko moja, upamiętaj się. Pycha i ambicya owładnęły tobą, a jeszcze jesteś dzieckiem; jak wzrośniesz w tych grzechach, to szatan weźmie taką moc nad tobą, iż mu się oprzeć nie zdołasz.

— Dziękuję za przestrogę — odrzekła Zosia — nie trzeba mię było stawiać na rozdrożu pomiędzy stanem w jakim się urodziłam a tym na który patrząc wychowałam się. Czyż sądzisz matko, że ja mam przywiązanie do tego oto starego sknery? On tylko był ostatnią ucieczką moją. Rzucona w świat bez imienia, bez rodziny, wypchnięta z domu bez żalu, pogardzana od tych którym dorównać starałam się we wszystkiem, tak aby nawet ich śmieszności i wady przejąć, cóż mi więc pozostaje? Znajdźcie dla mnie świat który mi wystarczy, a pójdę do niego choćby przez ciernie, choćby z pokaleczonemi nogami.

— O dojdziesz tam, dojdziesz, byleś miała odwagę.

— Odwagę mam, lecz którędy droga?

— Przez miłość i cierpienie.

Zosia zwiesiła głowę. Nastała chwila milczenia.

— Co ty sobie Kasiu myślisz? zawołała Szczepanowa, która dotąd w milczeniu obu rozmów słuchała — czy ty ją chcesz wsadzić do klasztoru? Byłaby dziewczyna poszła za szlachcica....

— Zostaw mi matko czas do namysłu — odezwała się Zosia, któréj słowa babki przerwały bieg myśli.

— Nie mogę, jutro rano muszę w dalszą podróż; ty wrócisz z panem Konieckim do Krakowa.

— Wszędzie, byle nie do niego. W domu jego to jak w niewoli, smutno jak w klasztorze, poważnie jak w szkole, głucho jak w pustce. On mię weźmie na egzamin, a żona na przymówki.

— Przygotuj się panno Zofio w drogę — zawołał Koniecki — tu w tym domu zostać nie możesz, ja cię nie chcę mieć również u siebie, bo ja mam dzieci i lękam się przykładu nieposłuszeństwa. Panie Chwałkiewicz, proszę napisać zrzeczenie się wszelkich pretensyj tak do pani Gruczyńskiéj jako i do córki jéj panny Zofii; a następnie proszę o rewers na summę posagową Anieli daną ci do wolnéj dyspozycyi.

— Przyłóż nóż do gardła panie Koniecki! — zawołał Chwałkiewicz.

— Nic nie pomoże. Ja nie odstąpię od swego. Pod temi warunkami zniszczone będą papiery, mogące cię skompromitować.

Chwałkiewicz na wpół żywy pisał co mu w pióro Onufry dyktował, a kiedy skończył schwycił się za głowę i zawołał:

— Papiery! gdzie papiery?

— Oto są.

Chwałkiewicz potargał je na sztuki, a potem obracając się do obecnych, zawołał:

— A teraz wynoście się ztąd wszyscy, i niech was djabli porwą!

X.

Opisywać podróż Anieli po opuszczeniu przez nią domu brata, byłoby to opisywać wędrówkę żebraczą, gdyby do téj podróży istotnie było przyszło tak jak ją sobie ułożyła. Ubrana w sukienki na pół wiejskie a na pół miastowe jakie nosiła dawniéj u Chwałkiewicza, a które z nakazu Onufrego zrzucić musiała w Krakowie, wyszła ku południowi na Kleparz upatrując, czy ją nie zechce wziąść z sobą darmo jaki chłop wracający z targu z pró-

żnym wozem do Królestwa. Lecz chłop nic darmo nie uczyni. Możeby za półkwaterek wódki mogła była jechać i do wieczora, lecz Aniela prócz kromki chleba któréj przy stole nie tknęła żeby ją sobie zachować na posiłek wieczorny, nie miała nic przy sobie. Poszła więc piechotą przez rogatkę warszawską. W połowie drogi do Wilczkowic siadła pod drzewem wypocząć nieco, a w tém nadjechał wózek żydowski a na nim Szmulowa. Aniela znała żydówkę z widzenia a więcéj jeszcze z opowiadania pani Konieckiéj o stosunkach jakie ją zetknęły z domami Konieckich i Gruczyńskich. W innym czasie nie byłaby jéj nigdy nagabała, lecz w tém opuszczeniu towarzystwo nawet wekslarki staréj i podróż z nią byłyby jéj milszemi niż ta samotna wędrówka. Wózek wlókł się powoli, tak iż Aniela mogła zaczepić żydówkę.

Szmulowa zdziwiła się ujrzawszy siostrę Onufrego na tém miejscu pieszo i zapytała jéj gdzie idzie.

Aniela opowiedziała jéj w krótkich słowach że wraca do Brzezinki.

— Ny, to niech panna siada, pojedziemy razem. Ja także tam jadę, bo mam z panem dzierżawcą interesa.

— A jakie?

— Dla czego nie mam powiedzieć? Chciałabym nabyć od niego pretensye jakie ma do Pawłowéj na piśmie.

— A kiedy on się z jéj córką żeni.

— To téż dla tego nie będzie jéj procesował, i mnie da cessyę. On Chłapczyńskiemu nie wierzy, dla tego chciał żebym ja przyjechała. On wié że ja byłam Grucowéj przyjaciołką, to sobie myśli, że mnie łatwiéj pójdzie z nią zgodnie. Ale to dobrze, że ja pannę Anielę spotkałam, ja mam prośbę do panny Anieli.

— A jaką?

— Mnie prosiła moja znajoma z tamtéj strony ko-

mory, żeby ja jéj przywiozła korali. Panna Aniela weźmie te korale i przeniesie je przez komorę; nas żydów to bardziéj strażniki pilnują.

Aniela nie pojmowała bynajmniéj, aby przemytnictwo było już dla tego samego przestępstwem, że jest przekroczeniem prawa, i ludzie nawet światlejsi od niéj nie widzą w niém nic innego, jak prosty sposób zaoszczędzenia opłaty celnéj. Przystała więc chętnie na propozycyę i opakowana koralami zsiadła wcześnie z wózka żeby pieszo przebyć komorę, na któréj w owe czasy nie pytano o paszporta tylko tych, którzy podróżowali w całym przyborze podróżnych. Żydówka dawszy jéj kilka przestróg a mianowicie poleciwszy iść drogą uboczną i wskazawszy karczmę gdzie na nią ma czekać, przejechała komorę.

Obok innych zyskownych zatrudnień prowadziła ona i handel przemytniczy, a lubo używała zawsze do tego trzecich osób, nie mogła jednak przenieść na sobie, aby jadąc sama nie wziąść ze sobą takiego przynajmniéj towaru, który nie wiele zajmuje miejsca, a znacznéj podlega opłacie. Jednakże kiedy niekiedy śród drogi napadała ją obawa, żeby jéj nie przytrzymano na granicy, rada więc była kiedy się jéj nasunęła Aniela, która w tém dopomódz mogła.

Aniela przebyła już granicę, gdy w tém ujrzała na wielkie zadziwienie swoje Chłapczyńskiego, który wysiadając z bryczki zawołał do woźnicy:

— Wracaj do domu, ja tu już dam sobie radę i dostanę się do Krakowa.

Chłapczyński właśnie wtedy udawał się do Krakowa po papiery Zosi.

— A panna Aniela co tu robi? — zapytał niemniéj zdziwiony prawnik.

— Ja wracam do Brzezinki — rzekła dziewczyna nieśmiało.

O źle! — pomyślał sobie Chłapczyński, który obecność Anieli w Brzezince uważał za bardzo niebezpieczną, bo dzierżawca miał rzeczywiście pewne przywiązanie do swojéj wychowanicy, tylko że chciwość jego przytłumiała w nim często to uczucie. Chłapczyński nie mając jeszcze gotowego planu jakimby sposobem zapobiedz powrotowi Anieli do opiekuna, uznał, że przedewszystkiém należy mu nie puścić jéj z rąk, dopóki coś nie wymyśli stósownego na zniweczenie jéj zamiaru. Wdał się z nią przeto w rozmowę długą i szeroką, a kiedy Aniela usiłowała odejść, aby czémprędzéj odnieść korale Szmulowéj, Chłapczyński zawsze czémś nowém ją zagabnął. Dziewczyna zniecierpliwiona przyznała mu się nareszcie dla czego jéj tak pilno.

— Korale? i dużo to tych korali?

— Nie wiem wiele sznurów, grube jak orzechy laskowe, a nawet są i większe.

— A gdzież one że ich nie widać?

— Opasana niemi jestem.

— A to niebezpiecznie! Pas graniczny się nie skończył, mogą tu jeszcze przytrzymać.

— To ja się téż śpieszę.

Mimo tego śpieszenia się Chłapczyński wciąż przytrzymywał Anielę, aż téż nadszedł jakiś strażnik. Chłapczyński ujrzawszy go, zawołał głośno:

— Panno Anielo, uciekaj co masz sił!

Aniela która w téj chwili dopiero poznała na jakie się naraża niebezpieczeństwo, zadrżała z przestrachu, lecz nie było czasu do namysłu, poczęła więc uciekać przed strażnikiem.

Chłapczyński wskazał palcem na uciekającą szepnąwszy w ucho strażnikowi:

— Korale!

W parę minut strażnik prowadził zapłakaną Anielę do urzędu.

W skutku tego podróż jéj wielkiéj doznała zmiany. Zamiast do Brzezinki, wożono ją po sądach fiskalnych a wreszcie osadzono w więzieniu w Warszawie. Szmulowa dowiedziawszy się o przytrzymaniu Anieli, wyrzekała tak jak wtedy kiedy przed wielu laty przytrzymali Chaję z okseftem okowity na rogatce w Krakowie. Od tego jednak czasu w różnych okolicznościach życia tyle razy ją zawody spotykały, że obecny zniosła daleko mężniéj niż tamten, nie targała na sobie czepca jak wtedy, lecz zarazem straciła zupełnie chęć jechania do Brzezinki i nawróciła do Krakowa zaprzysięgając zemstę Chłapczyńskiemu, który miał tyle bezczelności, iż się upominał na komorze o część należnego mu wynagrodzenia za wskazanie przemytnictwa. Oczywiście że w Krakowie nie wspomniał nic o tém całém zdarzeniu, Szmulowa także milczała lękając się gniewu Onufrego, jak również narażenia się na stratę dobrego imienia przez tę chybioną spekulacyę.

Taki był powód dla którego Aniela nie stanęła ani w Brzezince dokąd zmierzała, ani w domu Stanisława, jak to była napisała opuszczając Kraków.

Wypadki zaszłe w Warszawie przywróciły jéj wolność. Znękana, shańbiona w własnych oczach, nie śmiała się zgłaszać ani do Onufrego ani do Chwałkiewicza, sądząc że im wiadomo jaki ją los spotkał. Pozostawał jéj przeto jedyną ucieczką Stanisław, który nie utrzymując stosunków z resztą rodziny, mógł nie wiedzieć co ją spotkało. Teraz więc postanowiła dopiero wypełnić to co zapowiedziała w liście zostawionym przez siebie w Krakowie, a w sposób, jakim podróż odbywać zamierzyła wychodząc z domu Onufrego. Z kawałkiem chleba komiśnego, który rozdawano wtedy po ulicach, opuściła Warszawę i wiedząc nazwisko wsi i najbliższe jéj miasteczko, wlokła się przez parę tygodni, zatrzymując się po parę dni tu i owdzie, gdzie mogła znaleść jaki taki zarobek

wiejski, byle o czém iść daléj. Stanęła wreszcie u celu swojéj podróży, znękana, znużona moralnie i fizycznie, i długo przemyśliwała, jak się przedstawić bratu w odzieży niemal w łachmany poszarpanéj, z twarzą wybladłą i wyniszczoną, podobna raczéj do żebraczki która sobie dobrowolnie ten sposób życia obrała, niż do siostry dziedzica znacznych włości. Weszła do dworu nieśmiało, lecz ją służący ofuknął, a kiedy się o pana zapytała, zawołał:

— Idż precz babo! pana w domu niema, pan dawno na wojnie.

I zatrzasnął drzwi zostawiwszy ją na kamiennych schodach prowadzących do wspaniałego przedsionku.

Wieczór się zbliżał na krótkim dniu, mocny przymrozek doskwierał, a Aniela głodna i odziana lekko usiadła na stopniach płacząc rzewnie. Noc była mroźna, lecz Aniela drżąc z zimna nie miała odwagi szukać gdzieindziéj schronienia i posiłku; a kiedy się wreszcie podnieść chciała, sił jéj już niestarczyło, i nogi unieść jéj nie mogły. Sen zaczął obciążać jéj powieki, słyszała jeszcze przez chwilę gwar służby przechodzącéj po sieni, a potém straciła zupełną wiedzę.

W tym stanie byłaby zapewne na wieki została, gdyby nie to, że w téj saméj chwili pani domu również jak i ona walczyła między życiem i śmiercią.

Pani Józefa Koniecka mocniéj jeszcze po wyjeździe męża zapadła na zdrowiu. Przywiązana całą duszą do Stanisława, którego powierzchowne oznaki miłości przyjmowała z całą szczerością prostego i wiernego serca, nie mogła znieść rozstania się z nim obojętnie, a umysł jéj długiemi cierpieniami ciała doprowadzony do pewnego stopnia czułości, który zwą przeczuciem, trapił się ciągle myślą, że już męża nigdy nie zobaczy. Téj właśnie nocy stan jéj zdrowia znacznie się pogorszył; lekarz który od niejakiego czasu domu jéj nie opuszczał, prze-

raził się niektóremi złowróżbnemi symptomatami i nagle po księdza proboszcza wysłał jednego ze służby dworskiéj. Sługa otwierając główne drzwi utknął o Anielę i potrąciwszy ją nogą zaklął i pobiegł pędem na probostwo. Ksiądz spiesznie się zebrał i poprzedzony dzwonkiem i latarnią, szedł do dworu przygotować dziedziczkę do ostatniéj na téj ziemi wędrówki w wieczność. Zbliżywszy się do schodków, ujrzał skuloną bezwładnie kobietę, i zdziwiony tém, kazał ją podnieść; lecz Aniela była już sztywna. Ksiądz wszedłszy do choréj pani, opowiedział lekarzowi, który wraz z innymi domownikami sypialnię dziedziczki opuszczali, że na schodach zmarzła jakaś kobieta, i prosił go by ją próbował ratować, sam zaś przystąpił do aktu świętego.

Lekarz zajął się przywróceniem do życia zdrętwiałéj Anieli. Właśnie to niebezpieczeństwo jakie zagrażało jéj bratowéj, stało się dla niéj ratunkiem. Służba lubo z niechęcią musiała spełniać wszystkie zlecenia lekarza, który bawiąc w domu pani Konieckiéj czas jakiś, wzwyczaił był krnąbrnych lokajów do ślepego wykonywania rozkazów swoich.

Aniela odzyskała przytomność, a orzeźwiona snem i ciepłym napojem, przyszła zupełnie do siebie. Choroba pani Konieckiéj weszła znów jak się to często zdarza po gwałtownych objawach niebezpiecznych, na dawny swój wlokący się tryb, który sztuce lekarskiéj najwięcéj zadawał trudności, nie przedstawiając wyraźniejszych cech charakteru swego.

Nazajutrz lekarz opowiedział pani Konieckiéj przypadek jaki się zdarzył z ubogą kobietą zmarzłą na schodach, a pani Koniecka wielce się ucieszyła tém zdarzeniem.

— Los téj kobiety którą uratować Pan Bóg dozwolił zsyłając na mnie pogróżkę śmierci, nie może być dla mnie obojętny. Skoro przyjdzie nieco do siebie, niech

ją tu do mnie wprowadzą, a tym czasem oporządzić ją i mieć o niéj staranie.

Stara klucznica niechętnie przyjęła ten rozkaz i oddalając się mruczała ciągle pod nosem, bo słudzy najbardziéj nie lubią kiedy państwo ich pełnią uczynki miłosierne, uważając, że każdy taki uczynek jest z ich samych szkodą.

Zanim dziedziczka jednak mogła widzieć Anielę, lekarz który bardzo pilnie badał całą naturę choroby pani domu, uznał za rzecz potrzebną samemu poprzednio wybadać tę kobietę; zdarzało się bowiem, że żebracy przypuszczeni do pani drażnili ją jeszcze opowiadaniem swéj niedoli prawdziwéj czy zmyślonéj.

Aniela jednak nie chciała wyznać przed lekarzem kim jest, prosiła tylko, że kiedy nie ma pana w domu, aby dano jéj jaki zakątek, gdzieby na niego czekać mogła i łyżkę strawy, choćby ze stołu czeladnego.

Lekarz zdziwił się tém żądaniem i zaczął kręcić głową, a potém rzekł do niéj:

— W takim razie nie radzę ci moja kobieto stawać przed panią i żądanie twoje w ten sposób jéj przedstawiać. Ona bardzo kocha swojego męża, lecz przytém bardzo nieufna, a miała do tego słuszne powody.

Aniela niezrozumiała lekarza.

— Powiedz ktòż jesteś, i dla czego koniecznie chcesz czekać przybycia pana Konieckiego.

Aniela milczała.

— W takim razie nie możesz tu pozostać.

— Ah panie! ja nie mam przytułku, zlituj się nademną.

W téj chwili dzwonek głośny dał się słyszeć z pokoju choréj. Równocześnie wbiegła stara klucznica wzywając lekarza.

Stan pani Konieckiéj widocznie się pogorszył. Lekarz szepnął na ucho księdzu proboszczowi, że nie ręczy za godzinę życia.

— Mieliście mi przyprowadzić tę kobietę — rzekła chora w chwili odzyskania napowrót przytomności.

— Nieco później, teraz nie ma na to czasu — odpowiedział lekarz.

— Ale panie doktorze ja chcę ją koniecznie widzieć.

Lekarz dał znak ręką, klucznica wyszła, lecz się zatrzymała za drzwiami, jakby pragnąc umyślnie przewlec wypełnienie żądania choréj, które poczytywano za dziwactwo. Jednakże chorzy miewają takie dziwactwa i przy nich się upierają.

— *Idea fixa* — mruknął lekarz przechodząc przez sień bo wreszcie chora jego samego wysłała po Anielę.

Aniela weszła do pokoju.

— Zbliż się tu ku mnie — przemówiła słabym głosem pani Koniecka — któż jesteś?

— Ja... ja...

— Nietutejsza — przerwał lekarz — niech pani się niedrażni niepotrzebnie. Jutro się pani z nią rozmówisz.

— Jutro?... a któż panu zapewni że jutro żyć będę? cała twoja sztuka nie zdoła przytrzymać życia uciekającego.

Zjawiska ostatnie zaczęły się coraz mocniéj przedstawiać. Domownicy otaczali chorą.

— Stanisław! — zawołała raz jeszcze cichym głosem, a potem rzekła:

— Przyprowadźcie mi tę żebraczkę, tylko pamiętaj doktorze żeby jéj na niczem niezbywało aż do powrotu Stanisława.

Chora się odwróciła, wszyscy prócz lekarza i księdza wyszli z pokoju.

— Śpi — rzekł proboszcz — ten sen może ją wzmocni.

Po chwili lekarz nachylił się nad chorą, a potem dotknąwszy jéj ręki rzekł.

— Śpi, ale już się nie obudzi.

Ksiądz ukląkł i zaczął odmawiać modlitwy, a kiedy powstał, rzekł do lekarza:

— Trzeba dopełnić ostatniéj woli umierającéj. Niechaj téj młodéj żebraczce na niczem nie brakuje aż do powrotu pana.

W chwili kiedy pani Józefa Koniecka dogorywała, huk dział rozlegał się niedaleko Warszawy. Przez most z Pragi przewożono i przeprowadzano rannych, a między nimi był i Stanisław w mundurze oficerskim, którego w dorożce podtrzymywał żołnierz. Tym żołnierzem był Maciéj krawczyk.

Zaniesiono rannego do lazaretu, gdzie siostry miłosierdzia zajęte były posługą około chorych. Przez parę tygodni walczył on między życiem i śmiercią. Maciéj który lekko był raniony, już wyzdrowiał i tylko codziennie przychodził wysiadywać przy łóżku swojego oficera. Około chorego z osobliwą troskliwością chodziła jedna zakonnica, w milczeniu ze spuszczonemi oczyma pełniąc obowiązki powołania swego. Ale stan chorego codziennie się pogorszał; gorączka wzmagała się.

Pewnéj nocy zakonnica podawając mu łyżkę z lekarstwem, przytłumić łkania nie była w stanie.

— Siostro, czemu ty płaczesz? zapytał chory i wlepił w nią oczy pełne wdzięczności, a gorączką zaiskrzone.

— Zażyj pan, to pana uleczy — rzekła zakonnica i wielka łza upadła na łyżkę lekarstwa.

— Mówisz siostro, że to mię uleczy? wierzę ci, że gdyby życie moje dało się utrzymać, tobie byłbym je winien. Ty płaczesz siostro? twoje łzy same powinny mię uleczyć. Ale ktoś ty jest anielska istoto?

— Jak pan widzisz, jestem siostrą miłosierdzia.

— Ja cię kiedyś w życiu widziałem — zawołał chory coraz większą gorączką rozogniony — nie wiem cz we śnie, czy na jawie... jak tobie na imię siostro?

— Siostra Sulpicya.

— Lecz twoje imię, zanim wdziałaś sukienkę zakonną.

Zakonnica milczała, łzy ocierając.

Gorączka wzmagała się coraz bardziej. Przez całą noc sama jedna siostra Sulpicya czuwała nad łóżkiem Stanisława. Zakonnice zmieniały się w sali, lecz kiedy na nią przyszła koléj, rzekła do luzującéj ją siostry:

— Zostań siostro w sali, ja łóżka tego nieodstąpię. Uklękła i poczęła się modlić. Chory wyciągnąwszy ręce chciał ją pochwycić i zawołał w gorączce:

— Kasiu!

— Co? — rzekła zakonnica przytłumionym głosem, niemogąc się mimowolnie oprzeć temu wezwaniu.

— Gdzież ja jestem? — krzyknął chory zrywając się z łóżka, lecz natychmiast siły go opuściły i opadł na posłanie.

— Jesteś pan między swemi — odpowiedziała zakonnica — którzy cię kochają i pragną twego wyzdrowienia.

— Między swojemi? zapytał chory — gdzież moja żona?... ona mię tak kocha, a ja... Ale też śliczny po niéj odziedziczyłem majątek... e, ci krewni to jak kruki nad jéj ciałem krążą, ale ja go niepuszczę. Bo ciało jéj to ziemia, to ta piękna ziemia gdzie tak bujno rośnie zboże... A któż po mnie ją weźmie? Onufry, to głupiec, coby on robił z takim majątkiem? ha, zapiszę go Zosi!... zawołaj notaryusza! Zosia będzie umiała używać majątku. Dla Anieli zostawię parę krów i cieląt, ona niczego więcéj nie pragnie.... Kasię na karczmie osadzę, będzie mi ranę opatrywać...

I schwycił ręką za ranę a potem zawołał:

— Kasiu! boli!

Zakonnica poprawiła kompres.

— Tyś mię niegdyś wygoiła pocałunkami a nie maścią; czemu teraz nie próbujesz tego samego lekarstwa?

Siostra Sulpicya zasłoniła twarz rękami. Kiedy je odjęła miała oczy łez jeszcze pełne, lecz na twarzy jéj malowała się spokojność i rezygnacya. Schyliła się wreszcie, aby się zbliska przypatrzyć choremu, i ogromna łza spadła z jéj oka na twarz Stanisława. Chory się wzdrygnął.

— Ach jak mi dobrze! — zawołał — siostro Sulpicyo, tak mi błogo, podaj rękę.

Pochwycił ją, przycisnął do ust, lecz nagle ręce mu opadły. Już nieżył.

Śmierć Stanisława nastąpiła w kilka dni po śmierci jego żony. Testamentu po nim nie znaleziono, gdy tymczasem pani Józefa Koniecka miała w biórku swojem testament napisany od lat kilku sporządzony należycie. Majątek cały zapisała na przypadek śmierci mężowi swemu, teraz więc spadł takowy na rodzeństwo Stanisława. Onufry i Aniela ujrzeli się naraz w posiadaniu znacznych dóbr. Onufry listownie zawiadomiony przez Macieja o śmierci brata, zjechał do Warszawy, a potem udał się do wsi jego, gdzie Aniela mieszkała na łasce prawie proboszcza, bo ją oficyaliści wygnali ze dworu. Onufremu towarzyszył w podróży na wieś Maciéj, i z nim razem i z Anielą mieszkał czas jakiś w Warszawie, póki się nieskończyło postępowanie spadkowe. Chciał on był zaraz opuścić Onufrego, mówiąc że musi się za robotą oglądać, lecz ten ani sobie tego mówić więcéj razy niedał.

— Mamy na tyle — rzekł mu — że nam wszystkim wystarczy. Zawsześ mi powiadał, że cię dziecinna żyłka ciągnie na wieś, więc zostań na wsi. Co do mnie, ja wolę w mieście. Jużem tak nawykł do mojego bióra, że mi się przykrzy teraz. Póki była czynność w sądach, to mi się wydawało, jakgdybym pracował w cudzéj sprawie i przesiadywałem po kancelaryach cały dzień, ale teraz to mi się strasznie czas długim być zdaje.

— Ja bo na wsi wolę mieszkać, a najmiléj byłoby mi w Brzezince. Tam takie śliczne pastwiska — rzekła Aniela.

— No, to chyba że chcesz z Maciejem gospodarować, bo i on lubi bydło — rzekł Onufry.

— Pasałem je był dawniéj — odpowiedział Maciéj.

— Kto pan? — zapytała Aniela.

— Byłem za pastucha na Zwierzyńcu.

— Więc przystaję na propozycyę twoją bracie. Pan Maciéj nie będzie mi wymawiał że ja do niczego tylko do bydła, jak mi to czasem Chwałkiewicz gadał.

— A ty Macieju czy przystajesz? — zapytał Onufry.

— Przystaję ale pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Żeby ksiądz Koziński opowiedział poprzednio pannie Anieli, dla czego Brzezinka tak dla mnie miła. Jeżeli po tem opowiedzeniu panna Aniela nie zmieni swojego słowa, wtedy mogę być pewnym, że przyjmie moją rękę nie dla samych mych zasług pastuszych, bo ja służyłem także za hrabiego, lubo krócéj niż za pastucha. Ksiądz Jan opowie tę historyę.

Tak więc Brzezinka dostała się Maciejowi i Anieli, a dobra w Mazowieckiem poszły na sprzedaż i część z sumy kupna posłużyła na urządzenie Brzezinki zrujnowanéj ciągłemi dzierżawami, a szczególniéj ostatnią. Chwałkiewicz bowiem wyleczywszy się z wypadku, po którym na wieczną pamiątkę została mu jedna noga krótsza i przydomek kuternogi, zaczął niszczyć wieś, aby skorzystać ze śmierci właścicielki i jéj spadkobiercy. Musiano go wreszcie wyrzucić z dzierżawy, darując mu wszystkie pretensye byle tylko raz z nim skończyć.

Starzy Kozińscy pozostali przy szynku „pod beczką“, tylko że odrazu spłacili Gruczyńską, która zawezwała Zosię do Warszawy nie chcąc wracać więcéj do Krakowa. Tam oddała ją na mieszkanie do jakiéjś wdowy,

niemogąc jéj trzymać przy sobie. Stary ojciec Kozińskiéj nie chciał porzucić dziadowskiéj odzieży, a lubo córka jego dawała na Towarzystwo Dobroczynności corocznie po kilkanaście złotych i ojcu obiad posyłała, to przecież towarzysze starca zawsze mu wymawiali że innym miejsce zabiera i przeciw córce jego powstawali, że ojca do domu wziąść nie chce, a stary śmiał się z tego.

Szmulowa panowała jeszcze przez lat parę na stołku w sieni domu gdzie był szynk „pod beczką“, a potem osiadła na łupach swoich, wychowując wnuki i prawnuki na przyszłych bankierów i przedsiębiorców. Ile razy wszakże ze starą Kozińską o dawnych czasach i ludziach zgadała się, unikała zawsze wzmianki o Chłapczyńskim. Wszelako pewnego razu kiedy Kozińska targowała dla siebie korale i rady jéj zasięgała, rzekła Szmulowa z westchnieniem:

— Nie takie to już korale, jak te, które ten szpieg Chłapczyński denuncyował.

— A cóż się z nim stało?

— Ny, albo ja wiem, on potem w czasie wojny szpiegował może.

O tem samem zdarzeniu rozmawiała także pewnego razu Aniela ze swoim mężem.

— A wiesz ty, moja Anielciu, jaki los spotkał Chłapczyńskiego?

— Nigdy o nim od tego czasu niesłyszałam.

— Ale ja słyszałem, a raczéj widziałem go po śmierci. Nadjechaliśmy właśnie pod Miłosnę, kiedy tuż przy drodze wisiał jakiś człowiek. Był to Chłapczyński. Powiadali ludzie we wiosce, że jakaś stara żydówka w złotym czepcu i z płachtą na głowie naprowadziła kozaków do chałupy gdzie on nocował ukryty w sianie, a kozaki myśląc że to szpieg, powiesili go. Bo to w tenczas z jednéj i drugiéj strony zarówno można się było

dostać na gałęź, zwłaszcza jeżli kogo przypadek naprowadził na linię bojową.

Historya dalsza Zosi inny zupełnie przedstawia szereg zdarzeń, które mogłyby same przez się stanowić osnowę odrębnéj powieści. W zakresie czasu kończącym pobieżne opowiadanie losu kilku powyżéj przytoczonych osób, Zosia mieszkała w Warszawie, a wiadomość o niéj doszła wtedy dopiero do Krakowa, kiedy się dowiedziano o śmierci jéj matki. Zosia jednak była już wówczas żoną jakiegoś pułkownika od Kabardyńców.

K o n i e c.

Aleksander Szukiewicz.

PRZEGLĄD PISMIENNICTWA.

„Świat coraz prozaiczniejszy — świat wierzy tylko w rzeczywistość — marzeniem jego są liczby; a zatem poezyi w życiu niema, a jeżeli się gdzie zjawi, rzadki to ptak!“

Narzekania tego rodzaju powtarzały się i dawniéj, powtarzają się i dziś — ale nieidzie zatém żeby lokomotywy, telegrafy, giełdy, niezostawiły bodaj małego kącika dla poezyi; — przeciwnie, pod naciskiem pary, kursów, elektrycznéj iskry i całéj téj materyalnéj cywilizacyi, wyrabia się świat wewnętrzny, tulący się do domowego ogniska, do zamierzchłéj przeszłości, do mglistych rojeń o tem co będzie, czego pragniemy, a najlepiéj czerpiący siłę swą w wierze, nadzieję w Bogu, prawdę życia w nieśmiertelnych pięknościach i cudach stworzenia.

Nie z powikłanych zatém interesów i dążeń materyalnych wpływa jakieś zwątpienie w poezyją, ale prędzéj przypisałbym to mnożącym się poezyjom i poetom. Względne wydoskonalenie formy zewnętrznéj znamionu-

jące niemal wszystkie świeższe utwory, sztuka rymotwórcza posunięta do wysokiego stopnia, sprawiają że ta rymowana mowa, jak szmer ciągle spadającéj kaskady zaczyna nieco się przykrzyć, i niecierpliwić, bo ta złudna szata sztuki, która się olśniewa, nęci, pieści ucho muzykalnemi dźwięki, tak doskonale umié maskować niedostatki prawdziwego natchnienia, tak zręcznie udawać krzyk uczucia wyrywający się z serca, że przeczytawszy niejeden taki utwór, nieumiesz sobie zdać z niego sprawy. Przecież to tak pięknie powiedziane, tak płynne, a jakie rymy, a jakie brylanty wyrażeń! powinno by mię wzruszyć, unieść w świat ideałów, podnieść o kilka nieb na skali ducha. Czemuż mi tylko podziw zostaje?!

Oto dla tego że prawdziwi poeci są zawsze rzadcy; natchnionych wieszczów nieprzybywa co rok wraz z jaskółkami, stólecia ich rodzą; co nieprzeszkadza iżby od czasu do czasu niemieli zjawiać się artyści poezyi, którzy prowadzą daléj gmach nakreślony przez geniusz, dopełniając go, rozwijając, komentując, i jeżeli on z nieba brał, oni zeń biorą.

W twórczéj epoce wieszczów natchnionych nic by ci niewadziło, żeby świat cały rymem się odzywał; lecz w takiéj, kiedy artystostwo za natchnienie uchodzi, ustawna produkcya utworów z przymiotami względnéj doskonałości, nadzwyczaj nurzy, bo osłabia wiarę w prawdziwą poezyję; a co gorsza, tak przygłusza śpiew prawdziwego natchnienia i uczucia, śpiew najczęściéj niewymuskany, niedbający o złocistą szatę, o wyszukaną harmonią rymów, a prosty i nieobrachowany na efekt jak krzyk boleści, jak łza sieroty, jak tęsknota tułacza, lub jak uśmiech niewinności i szczęścia, że czytelnik mniéj wprawny w tę sztukę ułudną, mięsza się, i często piękne pozory bierze za istotę.

Jest też to zadaniem krytyki niedać się łudzić pozorom i odróżnić te piękności, które tryskają z rzetelnych

poetycznych usposobień, od przybranych sposobów; pokazywać gdzie bije źródło prawdziwego natchnienia, a gdzie są tylko cudzych natchnień odblaski. Rzecz niepoślednéj trudności, bo w tym chórze poetycznych koncertów, niejeden śpiew ginie, coby mógł panować nad duszami gdyby mu towarzyszyła cisza i wtórowało echo. Jeżlibym tu mógł użyć, niższego od przedmiotu porównania, powiedziałbym, że niejeden indywidualny tenor zerwałby sobie piersi, chcąc panować nad zgiełkiem i utrzymać się przy głosie. Zresztą ci, którzy berło dzierżą w poezyi od wielkiego naszego literackiego ruchu, nieoddali go dotąd nikomu; miłość dla nich niezwietrzała jeszcze, słowa ich niestraciły czarodziejskiéj potęgi, a choć niektóre zmilkły, jeszcze je słuchamy. Niewiele jest co powiedzieć, czegoby oni już niepowiedzieli; a chciawszy coś nowego powiedzieć, ażaliż świat zewnętrzny odmienił się tak bardzo? przyczyny naszych smutków i naszych radości odmieniłyż się także?

Ta trudność dla talentu w osiągnieniu wszechwładztwa geniuszu zdradza się z każdéj strony przez niezmordowane usiłowania, gorączkowe zabiegi co do formy, idei, estetyki. Znajdziesz niewiele takich poetów w tym steku brzęczących i dźwięcznych strof, coby niewywieszało chorągwi, nieobierało celu, nieszukało drogi. Ubite ścieżki doprowadzając do rospaczy, każą wdrapywać się na niedostępne szczyty, wynajdywać bodaj nowe księżyce, aby mieć sławę opiewania ich tajemnic. Jedni też uciekają na pola i łąki przegrywać na pastuszéj flecie, i extaziować się nad naiwnością chłopków opowiadających kądzielne bajki; drudzy gardzą człowiekiem a nadskakują naturze bijąc czołem przed duchem strumyka i kamyka, gwiazdeczki i pajęczyny — pobożni panteiści ścigający rozlanego Boga w stworzeniu! Inni cofają się w mroki zamierzchłéj słowiańszczyzny wlewając w odgadywane kształty dzisiejsze uczucia

i rojenia — owi pytają świat o zagadki pary i przemysłu, szukają poezyi na dnie retorty chemicznéj, w pryzmatach kruszców, w skamieniałościach geologa, w zielniku botanika, w logarytmach gwiazd, w teleskopach, zgoła w całym obszarze wiedzy, jakby wiedza niemogła się obejść bez tego gościa, który niepotrafiłby może rozwiązać prostego twierdzenia o przystawaniu trójkątów. O wszystkich tych można powiedzieć, że mają i dobre i złe za sobą. Dobre, bo szukają celu, bo chcą przez poezyję uświęcić ideę; a takie szczere zajęcie się, taki entuzyazm świadczy o pragnieniu powszechnego dobra, o rozmiłowaniu się w tem co piękne. Szlachetne wzruszenie drga w tych rymach; samo potrącanie o wielkie rzeczy obchodzące świat cały, użycza już pewnéj powagi i godności, jakiéj nieznajdziesz w owych zalotnych, pustych wierszykach mających niegdyś taką wziętość, kiedy im wtórowała gitara. Dziś instrument ten bez strun, bo i poezyja przestała być dzieckiem niewinnéj rozrywki dla zabicia czasu, zrobiono ją nauką.

Obok téj strony zaletnéj jest i druga ujemna. Nauka i sztuka nierobi jeszcze poety. Poezya niczego niepotrzebuje tylko żeby była poezyą. Kto otrzymał od Boga w darze ową tajemną iskierkę zapału, śpiewa, i na tem koniec; albowiem dla téj saméj przyczyny że ma dar natchnienia, że namaszczon na wieszcza, śpiew jego staje się tłumaczem wszystkich boleści, nadziei, dążeń i rojeń spółczesnego mu świata. Niemożna sobie z góry założyć: otóż będę tłumaczem mego pokolenia, otóż jego tajemnice wyśpiewam! System najlepiéj wyrozumowany niezastąpi wrodzonego daru nieba. Dwa wiersze poetycznego geniuszu więcéj zawsze powiedzą, niż tomy rymów o ludzkości. Niezawsze kto chce spółeczność na swój krój przerabiać, posiada tajemnicę wieku.

Zresztą próżna to mozoła, gonić za nowemi krainami poezyi, kiedy wiemy, że gniazdowa jéj siedziba je-

dna jest, o tyle nieskończona, rozmaita i niewyczerpana dla potężnéj wyobraźni, i twórczego ducha, o ile ciasna i zużyta dla uboższego talentu; gniazdem tém — serce. Odkąd świat światem nikt nieśpiewał i śpiewać niebędzie tylko Boga, naturę i miłość. Niech się świat przerobi jak chce, niech pracę zastąpi mechanizm, para pod obłoki unosi, nierówność rodu i majątku wyrównają się pod linię i wagomiar, formy rządów tak wydoskonalą że każdy sam będzie się rządził, dla tego wszystko to może tylko dawać pewien ton poezyi, pewną szatę, ale przeto niebędzie ani jéj pierwiastkiem ani celem. Prawdziwy poeta zawsze i po wszystkie czasy idzie opatrznym prądem swojéj epoki; nieszuka go, ani ogłasza że go znalazł, ale dla tego po prawdzie jego pieśni, po wzruszeniu jakie na tobie sprawia, czujesz go i widzisz jak idzie po pańskiéj drodze, i służbę pełni.

Stósownie do zwyż rzuconych myśli, uważam téż dwa rodzaje literatury głęboko od siebie różne, i to mające do siebie, że w miarę, jak książki się mnożą, przedział rozgraniczający je coraz się bardziéj rozszérza. Jeden rodzaj pochodzi z serca, z pojęcia, z osobistego życia, i on to najtrwalsze dzieła tworzy. Ażeby w nim sympatyczny głos zabrać, potrzeba myśleć przez się, widzieć własnémi oczyma, a raczéj samemu przechodzić katusze namiętności, doznawać zawodów nadziei, a płakać gorzkiemi i słodkiemi łzami, z których się składa życie serca. Rodzaj ten, aczkolwiek niejeden przyswaja go sobie, liczy nader szczupłą liczbę wybranych. Drugi znowu winien rodowód swój książkom, i li tylko książkom; najczęściéj niema nic wspólnego z wątpieniami myśli, z walkami i cierpieniami wewnętrznemi. Jestto proste pamięciowe ćwiczenie posiłkowane sztuką zręcznego przerzucania słowami wyszukanemi, brzmiącemi, jak te gwałtowne światła, które malarz kładzie tu i owdzie, aby efekt wywołać w płaskiéj i niemej kompozycyi. — Rodzaj ten

to prawdziwy lep na umysły łatwowierne, chwalce niedoświadczone — lecz niedługo trwa to złudzenie, bo nagły pociąg prędko ostyga.

Do pierwszego rodzaju należą, z taką wdzięcznością przyjmowane utwory poetyczne śpiewaka *Mohorta*, mianowicie najświeżéj wydane przezeń *Drobne Poezyje*. Od początku swego poetycznego zawodu jest on wiernym i prawdziwym tłumaczem doznanych wrażeń, natchnionym piewcą tradycyonalnéj wiary przodków, malarzem cichych scen przy domowém ognisku, patryarchalnego żywota szermierzem, a zawsze kochankiem prostoty, spokoju i téj wielkiéj ciszy która jedna usposabia na człowieka wielkiego nawet, choćby w najlichszym stanie:

Bo nieto wielkie, co bywa szumne
Ani to wielkie, co siłą dumne,
Ani to wielkie, czego nie zmierzyć;
Jedno to wielkie — w co człeku wierzyć
Jedno to wdzięczne, co człeku grzeczne,
A jako sprawy Boże jest wieczne....

Jest to podzięka za niejedną chwilę natchnioną: Można téż śmiało powiedzieć że cisza, jest najmilszą Muzą W. Pola; ona go prowadzi w cienie odwiecznych borów aby mu gadały swoje odwieczne dzieje, ona do klasztoru wabi, gdzie

Najdzielniejszy duch w skupieniu —

gdzie święta legenda rozpowiada o cudach wiary, gojąc rany zadane od ludzi — ona w dworce i chatki wiejskie

Na kwietne łąki i cieniste lasy;
Na ciche ranki i na wiejskie wczasy
Gdzie z bydła sytość, a z ziemi pociecha!

Dumającemu w ciszy poecie najlepiéj przypada ton elegiczny w jakim opiewa wrażenia zebrane na łanach zbożnych, łąkach, górach, nad wielkiemi naszemi rzekami, w głuszy niepołomskiéj puszczy, wśród zabaw i zatrudnień wieśniaczych. —

Nie są to puste jeremiady pisane aby pisać, lecz wyraz głębokiego wrażenia, rzeczywisty, niezmyślony; — dla tego téż działa w tym samym stopniu na czytelnika tak urokiem prawdy, jak urokiem poetycznego czaru, któremu się wzbronić niepodobna:

Bo któż pyta
Gdy za serce urok chwyta?

Jeżeli kto, to śpiewak *Drobnych Poezyj* umie niezliczonemi czarami ozdabiać ziemię naszą; duch poety udziela się wszystkiemu: od świętojańskiego robaczka do kilkowiekowego dębu, od remizowego gniazdka do zielonego Beskidu; myśl téż jego raz uczepiona do skrzydeł ptaszka, raz zamięszana z szumem boru, zlana z echem ligawki, z wonią zkoszonego siana, zatkniona jak sztandar na szczycie gór, pozostanie nierozdzielną od miejsc i przedmiotów, którym drugi raz życie dała. Prawdziwy cud poezyi! bo dokonany tak małemi na pozór środkami. Nigdzie poeta nie chce zadziwiać bogactwem kolorytu, rzeźby, harmonii muzycznéj słów; poprostu opowiada co czuł: w miarę też siły lub poetyczności uczucia, i najprostszy wiersz bywa u niego grzmiącéj mocy, a najniewyszukańszy obrazek tak artystycznie oddany, że im się dłużéj weń wpatrujesz, tém tajemnica tworzenia w natchnieniu staje się coraz większą zagadką dla tych, coby przez analizę chcieli dociec wszystkich tajemnic tworzenia. Takie niespodzianki często przychodzą w poezyach Pola; w niektórych nawet kawałkach mniéj szczęśliwych, powtarzających o-

braz lub myśl, którą już gdzie indziéj wyraził, zawsze zaplącze się jeśli nie śliczny jaki wiersz, to wyrażenie nowe, pochwycone na uczynku w téj poetycznéj grze natury, zrozumianéj tylko oku artysty. Przymiot ten sprawia właśnie tę świeżość i uroczość wiejącą z utworów Mohortowego śpiewaka, on to im zapewnia nieprzemienną wziętość, nawet wtedy, gdyby kunsztowni rymotworcy chcieli go przyćmić całym blaskiem wyszukanych i trudnych rymów, mozolną rzeźbą i najsztuczniejszemi formami — on do serca umie pukać i uczucie zawsze się na jego zaklęcie odezwie. — Niech mu zarzucają zaniedbanie formy zewnętrznéj, zbytnią prostotę posunioną nieraz do dziecięcej naiwności — to jeszcze będą to drobne usterki ginące w potoku innych, rzetelnych i szczytnych piękności. Przyznam się że choćby nawet tego lub owego nadużył usiłując po prostu i bez wykwintu uczucia swoje wyrazić, to jeszcze niewziąłbym mu za złe; bo czyż nie dosyć znudziło nas tyle obrazów świetnych a bez myśli, tyle niepotrzebnych draperyj niezdradzających nawet kształtów jakie się mają ukrywać pod niemi? Dziś, w świecie tak zwanym artystycznym dank odnosi muzyka przemawiająca tylko do ucha, i jedynie zaprzątniona uchem, malarstwo i rzeźba usiłujące zainteresować oko, i jedynie oko — tedy i utwory literackie po większéj części obierając zmysłowe drogi, usiłują więcéj działać materyalnie na czytelnika przez podrażnienie jego ciekawości, przez podżeganie namiętnych żądz i przez opisy żywcem kopijujące naturę i człowieka w chwilach kiedy natura i człowiek nie stoi na téj wysokości moralnéj żeby się do ideału zbliżał. Jest to jedno, co mijać się z celem prawdziwéj sztuki, która nie na to nam dana, abyśmy mieli to *in effigie*, co nas codzień otacza i na co gołem okiem patrzymy. — W poezyach Pola nigdzie się nie napotyka téj choroby wieku; jeśli nie miał co powie-

dzieć, milczał — a gdy przyszła nań szczęśliwa godzina natchnienia, śpiewał. W skutek téj poetycznéj szczeroty wiersz jego, obraz jego, tak niepostrzeżenie, tak snadnie wypisuje się w pamięci i w sercu. Ażeby go zrozumieć i pokochać niepotrzeba ślęczyć nad pomnikami gieniuszu starożytnego lub nowożytnego. Zdawałoby się, że on niewie o żadnych tajemnicach sztuki, że wszystkiem obdarza go natura, uczucie religijne, i uczucie moralne, te trzy nieprzebrane źródła nie mające się niczego obawiać od kaprysów mody.

Ponieważ cały ten zbiór *Drobnych Poezyj* jest dzisiaj w ręku publiczności, nie potrzebuję wymieniać co się w nim mieści, ani téż analizować poszczególnie każdego kawałka; bo smutna to rzecz brać uczuć odcienia, lub na obłokach kreślone kształty, lub te polotne myśli unoszące się w powietrzu z dźwiękiem dzwonka, z szmerem trawy, te fantazye grające w kroplach rosy — brać je i pod rozbiór zimnéj rozwagi poddawać, kiedy każdy wiersz, każda myśl wpiła się w duszę, nastroiła ją swoim strojem, że razem z poetą musi: wierzyć, kochać, przebaczyć....

Komu takie głosy wieszcze
Pan do duszy zesłać raczył
To nietylko że przebaczył,
Ale mógłby kochać jeszcze...

Poeta sam to powiedział w prośbie do Boga o tę wielką łaskę, aby mógł kochać, a nawet przebaczać; ja zaś robiąc małą zmianę w wyrazach, powiadam: że przez pieśni jego ta sama łaska spływa na ludzi dobréj woli. Kto je z miłością czyta, doznaje jakby wewnętrznego ukojenia, czuje się lepszym, wyższym duchowie, niewinniejszym w pragnieniach; otaczający go świat pochmurny, swarliwy, ozłaca się promieńmi wiary, szla-

chętniéje w téj ciszy borów i pól, chatki i klasztoru— bo Bóg najsnadniéj przemawia w ciszy, jak przemawiać lubił do świętych mężów Tebaidy...

Kto wiele doznał goryczy życia, kto nieprzewróconą źrenicą umiał patrzyć na bieżący potok zdarzeń, kto się nie usuwał od wspólnictwa w ogólnéj pracy, ten może często sarknąć, głośnym zaboleć wyrzutem. — Są to rzeczy ludzkie — więc i poecie, co stopą zawsze dotykał ziemi, wolno tém bardziéj, jeżeli natomiast rozlał takie wonne balsamy miłości, a tyle nagarnął ciepłych promieni prawdy i wiary, że ta ziemia którą opiewał, przyoblokła się jakby w świąteczną szatę ku uczczeniu pańskiéj chwały na niebie.

Z resztą chcąc pragnąć czego innego w tym zbiorze poezyi, trzebaby pamiętać że to nie temata wypracowane na pewne zadanie, ale odbicie wrażeń osobistych — że w co poeta się wżył, co go w uczuciu tknęło, to się i wylało pieśnią; — czysta spowiedź ducha, z chwil, w których olimpskie hymny i dytyramby były niepodobne, z chwil, gdzie nie było ani ciemno, ani jasno, ani sen, ani jawa — ale to, co on tak nieporównanie skreślił w jednéj zwrotce cudnego wiersza: *Leśne Jezioro*:

Ledwo że zgasły te zorze nieszporne
A już poranne palą się od wschodu,
I z jednéj przędzy marzenia wieczorne,
I pierwsze kwiaty z jutrzenki ogrodu.
Rosę poranną nocna woń przenika,
Po rąbku ziemi zorza się przesuwa,
I sennych marzeń ocknięcie dotyka,
Ni sen — ni jawa — a duch czujny — czuwa...

O czuwaj duchu poety! żebyś zamdlonym źrenicom co nieumieją wznieść się do góry wskazywał zawsze

zkąd się mają spodziewać słońca prawdy; czuwaj i budź pieśnią dopóki sny gorączkowe uchodzą za życie, przeczenie za mądrość, nienawiść za dogmat, upór za przekonanie. —

Kończąc tych kilka wrażeń doznanych z odczytania poezyi Pola, winienem, aczkolwiek mówiłem w tym sęsie wyżéj, dodać jeszcze słówko o jego formie, ażeby ją dokładniej scharakteryzować. Jest to po prostu strój kobiety która zbudzona wybiega z myślą szczęścia lub smutku witać lub opłakiwać.... piękność i wyraz jéj cały leży w oku i w ustach grających uczuciem matki, żony, narzeczonéj. — Niebyłby artystą ktoby przypatrywał się wtedy jéj draperyi.... To lekceważenie zewnętrznéj szaty, nie dowodzi iżby poeta nie znał resursów sztuki, lub nieumiał efektami nadrabiać; ale raczéj skutek to prawdziwego improwizatorskiego talentu, który zajęty pracą tworzenia zostawia na boku wszystkie sposoby i zręcznostki. Ztąd naśladować utwory Pola bardzo trudno, chociaż się o to nieraz kuszono — rysy i linie jego są mgliste jak w niektórych Murillowych obrazach— kalkować je niepodobna; treść ducha tkwi gdzieindziéj, potrzebaby mieć jego natchnienie i czucie żeby z powodzeniem biedz w jego tropy.

Od wrażeń doznanych przy wielokrotném odczytaniu *Drobnych Poezyj*, przejście do wspomnień Walerego Wielogłowskiego złożonych w książce: *Dom mojéj Babki*, nie jest tak nagłe aby te dwa wrażenia nie mogły w jednym artykule spłynąć ze sobą. Jak w pierwszym tak i w drugim utworze, cichy żywot ziemiański służy za główne tło; tylko w pamiętnikowém opowiadaniu występuje wybitniéj, szczegółowiéj, ze wszystkiemi patryarchalnemi rozkoszami, miłości rodzicielskiéj, miłości dziecięcéj, przywiązania sług i poddanych do pana, wizyt, konkurów, zaślubin, pogrzebów, wesołych sąsiedzkich zabaw, katastrof nieurodzaju, ognia i wody,

z portretami rzadkich dziś starców i matron budzących miłość i szacunek, humorystycznych oryginałów pobudzających do serdecznego śmiechu — zgoła jest tu wszystko jak przed laty bywało w wiejskim dworze kiedy w nim siedział poczciwy stary obyczaj, wiara nie rozumująca wiele ale żywa i do ofiar gotowa, a błogosławieństwo boskie objawiało się widomie i na łanie, i w oborze, i na pracowitéj czeladce, i w najbliższych istotach tulących się do serca rodziny....

Zacność ziemiańskiego żywota, a tem samem powołanie szlachcica obywatela w wielkiéj oddawna bywało u nas powadze. Rej z Nagłowic pierwszy to poczuł i pojął na czém stoi gruntowna siła narodu kiedy żywot ten skreślił we wszystkich możebnych odmianach. Biskup warmiński w Panu Podstolim podjął tę myśl i zaczął ją przeprowadzać stósownie do wymagań swojego wieku, mniéj zbierając żywe wzory, a więcéj dosadzając argumentami. Książkę: *Dom mojéj Babki* uważam za jedną gałąź tego drzewa, które Rej zasadził, z różnicą że autor wziął formę powieściową a raczéj pamiętnikową, dzisiejszéj epoce odpowiedniejszą; duch ten sam pozostał, moralność ta sama; bo są prawdy nieulegające przemianom wieków; lubo znowu obok tego wystąpiły słabości naszego czasu nieznane Rejowi, które autor wybornie ściera trafnemi uwagami strzegąc się jednak popaść w zimną ironię i niechrześciańską satyrę. Tym duchem umiarkowania wiedziony robi swój obraz ponętnym; do wybranych postaci przywiązuje czytelnika, budząc w nim pragnienie stać się podobnym do cnotliwych obywatelskich wzorów. Taki dom polskiéj matrony, to raj zbudowany na fundamencie świętéj wiary, związany obyczajem staroświeckim, tradycyonalnym, a podniosły szczytem, na którym świeci godło: pokój i miłość! A jednak niema tu nic idealnego, nic zmyślonego na krój praktycznego morału; prosta tylko opo-

wieść z lepszego czasu, który już tyle prawdziwych postaci naszéj literaturze dostarczył, że dziś za ideały uchodzą. Zapewne urok wspomnień z lat młodocianych mógł niejedną figurę lub zdarzenie przyoblec w tęczowe rąbki, bo tęsknota za tem co przeszło bezpowrotnie jest także poezyą; odtwarza lecz i upięknia — z temwszystkiem piętno prawdy niepodejrzanéj patrzy z oblicza każdéj z wprowadzonych postaci, a w opowiedzianych zdarzeniach niema tam żadnych nadzwyczajności; owszem wszystko się dzieje zwykłym trybem wiejskiego życia, tylko ten tryb nietaki jak za naszych dni. Gościnność z sercem otwartém jak brama wjazdowa; sąsiedzkość skora do posługi, prostota w potrzebach życia, stosunek familijny między panem a podwładnymi, związki krwi szanowane jak świętość nawet w odległéj parentelli, a zawsze dużo wyrozumienia na słabości ludzkie, bo dużo w sercach miłości; nakoniec to przywiązanie do cichéj strzechy domowéj, pod którą wychowywało się niejedno pokolenie i swoje i sierot przybranych. Rzadkie dzisiaj przykłady kiedy ziemianin miejsca nie zagrzeje goniąc wiatry po świecie.

Przebiegać ten pamiętnik we wszystkich jego rozdziałach byłoby za długo, gdym mniéj więcéj o duchu i treści jego napomknął; — wszakże wypadałoby mi coś powiedzieć o sposobie pisania autora. Ci którzy czytali niektóre prace W. Wielogłowskiego poznali się już z tym stylem żywym, płynnym, cokolwiek bujnym a zawsze słodkim.

W niniejszem dziełku wymagającém prostoty opowieści, umiał się piszący utrzymać na wodzy; dla tego też choć często w toku przychodzą miejsca mniéj zajmujące czytelnika z powodu drobnostkowych zdarzeń powszedniego życia, które bezpiecznie można było pominąć, mimo tego zawsze wątek snuje się równo, okraszony wdziękami stylu. Można by także przyganić, je-

źli już coś ganić koniecznie potrzeba, niektórym exageracyom w charakteryzowaniu posuniętym za granice dobrego smaku, jak to znalazłem między innemi w ustępie o Łzie, który pięknie zaczęty kończy się takim obrazem: „Łza jéj żółci się w oku na tle nabrzękłego bielma, krwią powieki naszłe odkryły wierzchnią tęczę, w chwili kiedy pod ciężarem mętnych łez powodzi spodnia powieka opada, kilka zmarszczków głębokich brwi przy nosie łączą, przy nosie, który się nadyma przedłuża i puchnie, a usta rozszerzone spadają w kącikach, jak dwie suche gałęzie u płaczącéj wierzby. Głos jéj piersi chrapliwy jak w czasie konania, ruchy jéj ciała jak zwijanie się zdrażnionego węża, a ręce konwulsyjnie ściśnione w dwóch dłoniach, trupia siność pokrywa: z warg zaś odwróconych, grubych i wilgotnych spieniona toczy się ślina i spływa obficie po skurczonéj brodzie.“— Szczegółowy ten opis ma dowodzić, że takiemi łzami płacze złośnica. Karykatura ta niepotrzebna, dość było jednego a prawdziwego rysu, a mielibyśmy pojęcie fizyonomii płaczącéj złośnicy. Wytknąłem to miejsce bo mię zdziwiło w tak poprawnym pisarzu; podobne dosadności zostawmy tym, co pismami swemi usiłują działać na zmysły i nic więcéj. Natomiast wiele potrzebaby kart, żeby wytknąć wszystkie przedziwne ustępy znajdujące się w książce Wielogłowskiego, czy to gdy nam kreśli zaginiony typ takiéj rezydentki w amorach, lub w grymasach i furyi; czy szkicuje Węgrów z towarami, tych Węgrów co tak już zaginęli jak owe Szoty, o jakich wspominają akta dawnych magistratów,.. czy takiego Kankę, którego typ nie prędko zapewne zaginie — czy maluje nam imieniny, czy wesele, czy przejmujący obraz powodzi — zawsze ożywiony, pełen trafnych postrzeżeń i wybornéj charakterystyki humorystycznéj. W uwagach zaś jakie mu z toku zdarzeń nasuwają się tu i owdzie, uważam głęboką znajomość serca ludzkie-

go, argumentowanie ścisłe i do przekonania trafiające, częstokroć nawet posiłkowane niewyszukanym dowcipem, a zawsze ubarwione prawdą otaczającéj nas rzeczywistości. Nie jest to bynajmniéj teoretyk i suchy moralista. Posłuchajmy co mówi porównywając dawną dobroczynność z dzisiejszą:

„Gdyby (jak bywało dawniéj) domy zamożne i klasztory dawały przytułek ubóstwu i podzieliły się ciężarem nędz ludzkich, to mniejby potrzeba zakładów dobroczynnych, na które łożą koszta ci sami, którzy ten ciężar z barków zrzucili. Dawniéj sierota niemowa, kaléka, żywili się okruszynami spadającemi ze stołu zamożniejszych panów, przywiązywali się do domu i jaką taką wywdzięczali się pracą albo modlitwą. W nich każdy płacił Bogu należną dziesięcinę od darów Opatrzności, a oprócz tego miał opiekę nad prowadzeniem się moralném sieroty, strzegł jéj obyczajów, wychowywał ją i wcielał w swoje domownictwo i niemal rodzinę. Dzisiaj nikt w domu nie jest rad sierocie i kaléce: ona zawadza, psuje estetyczny dobór służby domowéj. Woli więc każdy spędzać ubóstwo w dom jeden, daleki od niego, daleki od jego oka i serca, i tam żywić, okrywać, ale ani kochać, ani znać, ani przy domowém ognisku utulić! — Woli każdy na chléb dla sierot tańcować, losować, robić widowiska, jak mieć je w domu i z niemi chwalić Pana Boga. I rzecz dziwna, że ubóstwo idzie w stosunku prostym do mnożących się zakładów dobroczynnych. Rosną wprawdzie fundusze na utrzymanie ubogich, płyną składki szlachetne, wykupuje się hojnie społeczeństwo od konieczności patrzenia na nędzę — a tu coraz więcéj ubogich przybywa, i w Anglii już podatek kilkakrotnie zwiększony, wystarczyć na wyżywienie ubóstwa nie może. Dla czego?.. oto bo miłość będąc obowiązkiem duchowym każdego pojedynczo i jego zasługą, płynie z wiecznych a nie z docze-

snych urządzeń, i oziębia się gdy ją kto w przymusowe i społeczne prawo zamienia. Bo miłosierdzie jest aktem wolnéj woli i o tyle tylko przymnaża zasługi, o ile jest dziełem wolném od przymusu moralnego albo fizycznego.“ — Całe zadanie miłosierdzia składkowego, jest tu wybornie wyświecone — jabym je nazwał: miłosierdziem tegoczesnego egoizmu. — Tom ten obejmujący wspomnienia najpierwszéj młodości autora, miałżeby pierwszym być i ostatnim? Nie widząc zapowiedzianego dalszego ciągu, obawiałbym się czy to już nie koniec; bo zaprawdę szkodaby przestać, kiedy tyle i zajmujących i budujących rzeczy możnaby snuć z tego wątka byle sprzyjało natchnienie i pamięć świeże nasuwała obrazy.

Lucyan Siemieński.

WSPÓLNOŚĆ ZASAD

i

SOLIDARNOŚĆ INTERESÓW.

Cztery miesiące upływa od ukończenia wojny Wschodniéj traktatami zawartymi w Paryżu 15 i 30 marca. Polityka europejska odpoczywa: powtarzają bezprzestannie organa publiczne.

Rzeczywiście nic naturalniejszego jak po wysileniu odpoczynek. Używa go téż społeczność europejska w sferach gdzie było wysilenie lub przynajmniéj męczące usiłowanie, używa go tam gdzie był trud fizyczny lub moralny. Odpoczywają wojska i floty wracające z Krymu, gdy tymczasem w biórach ministerstw wojny obliczają poniesione w ludziach straty, ogłaszając zamierzone możliwe redukcye w armiach, na urlopach dotąd ograniczone; w biórach ministerstw skarbu obliczają ogromne koszta wojenne, rozmyślając z jakich źródeł pokryć je wypadnie, jakie przedsiębiorstwa podnieść, rozszerzyć lub nowe stworzyć koniecznem będzie zada-

niem. Wypoczywa opinia publiczna strudzona stanem anormalnym pokoju i wojny w jakim spółeczność europejska przez trzy lata zostawała, znużona ciągłem wahaniem się, wątpliwością, nieświadomością, przerzucaniem z jednéj ostateczności w drugą, przewidywaniem najprawdopodobniejszych i najmniéj do prawdy podobnych zdarzeń i wypadków; wypoczywa pod cieniem pokoju, z którego następstw może nie zdaje sobie sprawy dokładnie, ale czuje, że rękojmie pod któremi zawarty został, mieszczą w sobie zasady odpowiednie téj kolei, na jakiéj się dziś spółeczność znajduje; że chcą zapewnić postęp owych materyalnych interesów o jakie jéj dziś podobno przedewszystkiem chodzi; że nietylko nie kładą zapory, ale owszem chcą pomódz usiłowaniom w tym najdroższym dla niéj kierunku. Chłodną nareszcie jeżeli nie wypoczywają umysły bądź rozognione nadziejami, które się nie zjściły, bądź oburzone rozczarowaniami których nieprzewidziały lub przewidzieć nie chciały, chłodną pod zimnem tego przekonania, jakie wdraża pomimowolnie dzieło dokonane w Paryżu: że widoków politycznych do jednéj pojedynczéj kwestyi przywiązywać dzisiaj nie można, że każda z nich i to najmniejsza jest tylko ogniwem w polityce ogólnéj państw, a tak z całością silnie spojona, że staje się do razu europejską kwestyą, skoro tylko podniesioną zostanie. Na tem właśnie polega pokój czyli ów odpoczynek.

Wnosić ztąd atoli, żeby cała polityka miała spoczywać, mylną byłoby rzeczą. Czyliż kwestye zostawione bez załatwienia na Wschodzie nie wymagają po niéj ciągłéj czynności? Możeż ona spuścić z baczenia obrót jaki weźmie w Turcyi trudne zadanie przeprowadzenia *hattihumajonu*? Poruszane co chwila sprawy włoskie, na bardzo drażliwym zawsze gruncie, czy mogą przestać być przedmiotem ciągłéj czujności gabinetów? Wreszcie, pomijając już wiele innych mniéj wybitnie przed-

stawiających się kwestyj; spór amerykańsko-angielski w tak nowéj dla prawa publicznego rozpoczęty formie, lubo przerwany tak drobiazgowym epizodem kamizelki p. Mahana, zawsze jednak kryjący bardzo ważne dla przyszłości wypadki w dalszych swoich kolejach, czyż nie przedstawia ważnego dla polityki zajęcia?...

Dowodem ruchu politycznego nie są same tylko wypadki; czynności polityki ograniczać nie można do samych faktów, jakiemi są: wojna, konferencye, kongresy, traktaty; są to bowiem raczéj skutki zmian biegiem czasu w społeczności wywołanych, a zarazem przyczyny zmian dalszych. W dziejach ludzkości wszystko się wiąże nieprzerwaném pasmem, polityka która szkicuje jego barwy i zwoje w kartach historyi, odpoczywać nie może. Trudno orzekać kiedy jéj czynność jest wiekszą, a zwłaszcza kiedy jest ważniejszą. Ruch polityczny wywołany reformacyą więcéj podobno miał wagi aniżeli sam traktat westfalski który zmianę w polityce europejskiéj zapisał. Następstwa trzydziestoletniego pokoju jakiego Europa od traktatów 1815 r. używała, nierównie były podobno ważniejsze, aniżeli wojny napoleońskie, które kongres wiedeński zakończył.

Następstwa przeto wielkiego politycznego wypadku, są częstokroć większem dla polityki zadaniem i większéj wymagają czynności, aniżeli sam wypadek naprzykład wojna i jéj ukończenie czyli zawarcie traktatu. Wojna i pokój jako rozporządzenie najwyższéj na świecie władzy, to jest Opatrzności, mogą być dla polityki niespodzianką, i są nieraz takową. Ale polityka w aktach wypadek zamykających, kładzie pewne zasady których przeprowadzenie na jéj działalności się opiera, zastrzega interesa będące odtąd pod jéj pieczą, przewiduje pewne mające nastąpić zmiany, za które bierze niejako przed społecznością odpowiedzialność. W obec tych obowiązków, z których zwalniać się nie może, bo

od ich dopełnienia zawisła sama jéj istota, trudno przypuścić, aby odpoczywać miała. Koleje więc jakiemi postępuje, mogą być mniéj ciekawe a nawet w pewnych chwilach obojętne, mogą być noty dyplomatyczne rzadsze i w mniéj zajmujących kolorach, może pewna liczba ludzi stanu pokrzepiać się podróżą do wód lub kąpiel morskich, ale pomimo nawet zupełnego braku oznak politycznego ruchu, ruch ten się odbywa i na téj drodze, jaką wskazują następstwa z traktatu 30go marca.

Każdy spostrzeże ten ruch i wytknie sobie tę drogę, do poznania niezbędną aby ocenić należycie następne wypadki, ktokolwiek bezstronném okiem przypatruje się biegowi rzeczy; ktokolwiek nie przywięzując się wyłącznie do jednéj kwestyi, ani do jednéj doktryny, chociażby mu się takowa jak najloiczniejszą wydawała, zbierać zechce wszystkie symptomata polityczne gdziekolwiek się one ukazują, grupując je około dzieła dokonanego niedawno w Paryżu, stosując je do zasad tamże wyrzeczonych i interesów zastrzeżonych, nieopuszczając żadnéj skazówki, choćby najmniejszéj, rzucającéj światełko na dążności tego lub owego państwa. *Nihil parvum:* wyrzekła od dawna mądrość starożytna. W rzeczy saméj, kogóż nie uderzy owe silne i surowe przestrzeganie etykiety na dworze królowéj angielskiéj w téj chwili, gdy samowolne odesłanie posła tejże saméj monarchini z Washingtonu nie wywołuje nawet najsłuszniejszego i prawem narodów usprawiedliwionego odwetu? Ten maluczki i błachy na pozór epizod w rocznikach dworskich królowéj Wiktoryi, czyż nie dowodzi, jak głęboko zakorzeniona jest narodowa tradycya etykiety, a oraz jak daleko odstępuje od narodowéj tradycyi polityka dzisiejsza państwa W. Brytanii opuszczając pole godności i dumy w sporze ze Stanami Zjednoczonemi?... I znów, owo szumne przyjęcie w Szto-

kolmie studentów duńskich i norwegskich udających się na uroczystość uniwersytecką do Upsali, owe przemówienia króla Oskara zapalające umysły w imie jakiejś nierzeczywistéj narodowości, ale historycznéj rasy Skandynawskiéj, które tyle krwi napsuły niektórym dziennikom, niesąż wysłannikami idei w kolebce leżącéj, może jeszcze nie urodzonéj, jakiegoś państwa, niesąż poczuciem przyszłości dziś jeszcze mgłą powleczonéj w obec tronów Danii, Szwecyi i Norwegii? Lecz zarazem czyż nieprzemawiają wymownie i dobitnie za potrzebą pewnego związku i skojarzenia, słowem, pewnéj zmiany w dzisiejszéj polityce tych krajów, i to w pewnym kierunku: wspólności zasad i solidarności interesów?.... *Nil parvum*, powtórzyć również wypada, w obec tego Ormiańskiego biskupa, schizmatyka, który tam gdzieś w małem miasteczku w Azyi Mniejszéj, wbrew rozkazu paszy i siły jego *kavassów* wyrzuca stanowczo ze swego cmentarza zwłoki ormianina co był przeszedł na wyznanie protestanckie, a czynu tego dopełnia w téj saméj chwili, kiedy dzienniki Europy środkowéj z taką namiętnością kwestyę pogrzebów rozbierają, i w usunięciu cmentarzy katolickich od wspólnictwa pogrzebów innych wyznań, wyłącznie rzymską nietolerancyą upatrywać się zdają. Zdarzenie to jakkolwiek małe w polityce zajmujące miejsce, jakkolwiek mniéj ważne zapewne w szeregu wypadków nieraz krwawych, których Turcya jest ciągle teatrem, nie odkryważ nowéj strony *hattihumajonu*, owego sfinksa politycznego, który męczy tyle ludzi stanu odgadnięciem ostatniego słowa zagadki przezeń rzuconéj? Postępowanie to biskupa, jednego z tylolicznych sekt religijnych, wyznawanych przez poddanych Sułtana, i postępowanie to tak energiczne i uporczywe w skutek samego dopiero ogłoszenia firmanu o równoprawnieniu, i nazajutrz prawie po zawarciu traktatu pokoju, nie wydajeż się jakoby początek wątku

do nowych a może całkięm nieprzewidzianych zawikłań? Krom tego dostarcza ono wyraźnego dowodu, że państwo uznane w polityce jako takie, na zasadzie bezprzykładnéj dotąd w świecie chrześciańskim równości wyznań, nie przybiera téj cechy z łatwością, że w łonie jego mieszczą się wszystkie trudności innym państwom właściwe, których ogłoszenie bezwzględnéj zasady nie usuwa; a przypomina oraz, że społeczność ma pewne zasady których broni, i interesa których nie poświęca, w jakąkolwiek ona ujęta formę, i jakikolwiek kierunek wytknie jéj systemat polityczny przewagę mający....

Nienależy przeto w badaniach nad ruchem polityki pomijać mało na pozór znaczących szczegółów, nie spuszczając nigdy z uwagi, że gdy w dzisiejszym systemacie politycznym państw, społeczność jeżeli tak wyrazić się wolno, ryczałtowo tylko jako czynnik występuje, gdy w skutek idei państwa społeczność nie bierze już w wypadkach udziału jako naród, lub pewna klasa narodu, jak to dawniéj bywało, ale raczéj jako cząstka społeczności oznaczona granicami państwa, przeto też i następstwa z wypadków odbijają się często w społeczności, i to nieraz w sferach i w żywiołach, które nie zdają się aby w jakimkolwiek z polityką zostawały związku. Poszukiwania tylko z uwzględnieniem tych warunków istotnych obecnego systematu polityki czynione, mogą doprowadzić do jakowego rezultatu, nie tylko w ocenieniu chwilowego biegu wypadków, ale zwłaszcza jeżeli się ma zamiar wiązać je z przeszłością, z systematem dawniejszym, który już niejako do historyi należy.

Rozróżnienie to dwóch systematów politycznych, które czytelnik nieraz już na tem miejscu napotykał, nie jest ani tak bezwzględne aby zmiana polityki dawnéj w politykę państw dokładnie co do chwili oznaczyć się dała, lubo w traktatach to jest w prawie publicznem zdaje się

ona dopiero datować od traktatu westfalskiego, nie jest tak bezwzględne aby przez długi czas obie te polityki w ścisłym nie zostawały związku; ale z drugiéj strony nie jest też wcale czystą teoryą, nie dającą się zastosować w praktyce; przeciwnie, służyć może i powinna za skazówkę w przeglądzie bieżących wypadków bo niemało takowe wyjaśnia. Różnica dwóch tych systematów politycznych wykazaną była dość obszernie w miesiącu marcu, z powodu toczących się konferencyj paryzkich, nie będzie atoli może zbytecznem dorzucić i tutaj kilka w tym względzie uwag.

Idea państwa sięga bez wątpienia bardzo wysoko, ale nie chodzi tu wcale o historyą idei lecz o jéj zastosowanie w ogólnéj polityce europejskiéj. Dla tego na nic się nie przyda szukać jéj w republice Platona, lub w annalach państwa Rzymskiego. Przechodząc do chrześciańskich czasów, opuścić także wypada wieki przechodów barbarzyńskich, i epokę Karola W. którego państwo rozpłynęło się w polityce feudalnéj i narodowéj; niemniéj owe wieki średnie gdzie królowie i książęta, zgoła przewodnicy narodów po inwestyturę do Rzymu się udają. Aż do końca wieku XVgo samo cesarstwo Rzymsko-niemieckie jest państwem, ale w całkiem innem znaczeniu od dzisiejszéj idei państwa, bo w znaczeniu feudalnem, jako forma polityczna społeczności chrześciańskiéj w ścisłym związku z Rzymem zostającéj. W pierwszéj połowie dopiero wieku XVI występuje idea państwa w pewnem zastósowaniu pod piórem Machiavela, ale przybiera zbyt rażące formy despotyczne; wkrótce atoli potem, prawie równocześnie przychodzi jéj w pomoc reformacya, wypowiada posłuszeństwo Rzymowi, Cesarzowi Niemieckiemu i polityce ówczesnéj; upada feudalność, wszczyna się wojna trzydziestoletnia i kończy traktatem Westfalskim gdzie systemat polityczny oparty na idei państwa wyraźną otrzymał prze-

wagę. Prawo narodów zaczęło się odtąd nazywać prawem publicznem.

Nikomu zapewne na myśl nie przyjdzie chcieć utrzymywać aby zwycięztwo odniesione miało być od razu stanowczem, aby przejście z jednego politycznego systematu do drugiego, dokonało się gwałtownie. Nie wszystkie wypadki polityczne przed traktatem westfalskim, nie wszystkie wojny i zmiany dadzą się nacechować narodowemi dążnościami. Było bezwątpienia wiele idei państwa w polityce Karola V, jak również i zapasy jakie prowadził Franciszek I nie odpowiadały zawsze woli narodu francuzkiego. Ale zawsze były to wojny zdobyczy, wojny ambicyi monarszéj, lub tradycyi narodowéj, a nie wojny mające jedyną pobudkę w „konieczności państwa“. Owa konieczność, tak zwana *raison d'Etat*, na co wyrażenia nie ma w polskim języku, należy już do nowego systematu inaugurowanego traktatem westfalskim. W dawnéj polityce, jakakolwiek ona zresztą była, król opierał się zawsze na narodzie, to jest na żywiołach jakie go reprezentowały, czy na panach feudalnych czy na szlachcie czy na municypiach, ale zawsze na narodzie: dowodzą tego najlepiéj nieregularne wojska i skład armii w owych czasach. Późniéj siłą monarchy był rząd, a z coraz szybszym upadkiem przewag naturalnych w narodach, ukazała się zarazem potrzeba wojsk regularnych, płatnych i od woli monarszéj jedynie zawisłych.

Lecz jak wyżéj powiedzianém było, przejście nie mogło być tak gwałtowne, aby już po traktacie westfalskim wypadki polityczne nie miały nosić wcale cechy dawniejszego systematu. W społeczności niema skoków, tak jak ich niema w naturze. W naszym wieku jeszcze wojna hiszpańska miała cechę wojny czysto narodowéj. Ale to pewna, że od owéj epoki narody jako narody przestały wchodzić w rachubę polityki ogólnéj. Narodowość przestała być zasadą polityczną — przeszła do sfer

prawa natury. W polityce zastąpiła ją zasada państwa. W prawie publicznem uznawano tylko społeczności politycznie ukonstytuowane i mające siłę utrzymania swéj niepodległości w składzie nowego systematu. Narody które się do wymagań téj polityki zastósować nie mogły lub nie chciały, dążyły spiesznie do upadku. Społeczności które nie były nigdy narodami, ale które miały siłę ułożyć się w formie nowego systematu, stawały jako państwa. Słowem idea państwa panowała coraz silniéj w polityce, w rządach, ale nie zawładnęła jeszcze społecznością. Stawiały jéj opór pozostałe tradycye, różnice między klasami, korporacye wiekowe, głównie zaś odpychał od niéj pewien odcień despotyczny, który jéj towarzyszył. Definicya państwa przez Ludwika XIV z szpicrutem w ręku orzeczona, była nadto absolutną aby miała zaspokoić społeczność. Przyszła atoli w pomoc idei państwa rewolucya francuzka, podobnie jak jéj przyszła w pomoc reformacya za czasów Machiavela, a występując w imieniu wolności i równości, burząc wszystkie dawne tradycye, znosząc wszystkie różnice stanów, wywołując tém samém konieczność centralizacyjnéj władzy, usunęła niemal wszystkie społeczne przeszkody systematowi politycznemu państw na drodze stojące. Postawiła ona wprawdzie w miejsce tych przeszkód swego ducha, usiłowała wywołać zasadę narodowości, ale w praktyce okazały się te chęci tak niedołężne, bo całkiem z jéj istotą jako negacyą niezgodne, że pomimo tego oporu, systemat państw rozwijał się ciągle w Europie tak w politycznym jako też społecznym kierunku, tak że dziś wszystkie zasady i interesa odnoszą się do idei państwa.

Dowodem zaś że zmiana ta wskazana w polityce europejskiéj nie jest czystą teoryą, że uwagi powyższe mają swoje zastósowanie nawet w obecnéj chwili, dość będzie rzucić okiem na główne trudności z jakiemi dzi-

siaj państwa mają do walczenia. Gdzież ich źródło jeżeli nie w tradycyjnéj polityce, któréj państwa porzucić nie mogą lub nie chcą? Czemże są te przeszkody jeżeli nie pozostałościami z dawnéj polityki, których utrzymanie z trudnością tylko da się pogodzić z obecnym systematem politycznym? Jeżeli niektóre państwa takowe opuściły, przyszły zapewnie do przekonania, że obok historycznéj siły mieści się w nich także polityczna słabość. I tak największą przeszkodą w widokach politycznych Austryi nie jestże zawsze jéj tradycyjna w Niemczech polityka? Nie spotykaż zawsze Prus jako antagonistę?.... Czyż Rosya nie osłabiła się usiłowaniem przeprowadzenia swéj narodowéj wschodniéj polityki? Czyż odłączenie się od ruchu wewnętrznego państw europejskich nie dało się jéj uczuć boleśnie w ostatniéj wojnie?... Polityka antiangielska nie byłaż główną trudnością dla Francyi? „Przepaść rozdziela mnie od Anglii“ — miał powiedzieć w r. 1853 cesarz Napoleon do posła rossyjskiego — „ale niezapominaj pan że nie„ma przepaści któréjby polityka wypełnić nie mogła.“ Czyż nie odniosła Francya korzyści z tego odstąpienia od tradycyjnéj polityki? Gdzież większa trudność, jak w zachowaniu jéj w sprawach Włoskich?... Jakież są trudności Anglii w téj chwili: konieczność utrzymania przymierza francuzkiego, spór z Ameryką na stopie państwa prowadzony, wewnętrzne reformy, wszędzie walka z dawną tradycyą polityczną... W kwestyi Sundu broni się Dania na zasadach dawnego prawa narodów i dla tego téż w nowém prawie publiczném utrzymać się nie będzie zdolna.... Turcya nawet na dawnych podstawach pozostać nie mogła, przemieniono ją w państwo, i zastósować się winna do zasad i interesów nowego systematu.

Owóż w tem właśnie rozwinięciu systematu państw zdaje się traktat 30 marca ważne bardzo zajmować miej-

sce. W następstwach jego przebija bardzo wyraźny kierunek wspólności zasad i solidarności interesów, i z tego czysto politycznego i systematycznego zapatrując się stanowiska, stanąć może on śmiało obok swego poprzednika traktatu wiedeńskiego, a może nawet w zamierzonych widokach go przewyższa. Nie stanowi on bezwątpienia epoki działania państw w tych kierunkach, bo leżały one od dawna w istocie idei państwa, i rozwijały się pomału; ale wypadki i okoliczności które traktat sprowadziły, zasady na jakich tenże został dokonany, i interesa któremi się zajmował, pozwoliły państwom znacznie na téj drodze postąpić, dobitniejsze i obszerniejsze zakreślić sobie na tém polu zadanie.

Do kongresu wiedeńskiego państwa były niejako zmuszone przystąpić bez poprzedniéj jedności i zgody. Rzecz się toczyła między zwycięzcami i zwyciężonemi. Szło o przywrócenie równowagi, ale przez siłę; bo szło o ukrócenie potęgi państwa które się nie przyznawało do tych samych zasad co inne. Zasady niemniéj ważne rozdzielały inne także państwa zasiadające na kongresie. Różnie bardzo pojmowały państwa zasady co do formy rządu, wolności wyznań, równości poddanych; niektóre stawiały zasadę narodowości; niektóre nie uznawały wszystkich czynów dokonanych w Europie. Musiano więc zmienić *status quo* dotychczasowy i nowy zaprowadzać. Pod takiemi warunkami trudno było pomyśleć o działaniu opartém na wspólności zasad. Mogły być i były usiłowania; ale ograniczyć się musiano na przymusowéj zgodzie wypadkami wywołanéj, i na zawarowaniu nowego porządku rzeczy. Rękojmia leżała w osłabieniu jednéj strony przez przewagę drugiéj.

W inszych i korzystniejszych nierównie warunkach dla rozwijania się dalszego polityki państw zasiadał kongres paryzki. Nietylko że dopiero za poprzednią jednością i zgodą przyszło do konferencyj, ale nawet zdaje

się sądząc po ludzku, że bez niéj nie przyszłoby do wojny. Sprawa przed wojną ogłoszoną była za europejską, i zasady w niéj główne wspólnie przez mocarstwa uznane. Małe różnice o które poszła wojna nie nadwerężają zasad. To téż po wojnie nie było ani zwycięzców ani zwyciężonych, bo co do zasad była zgoda. Szło wprawdzie o przywrócenie równowagi, ale na całkiem inny sposób; nie tyle bowiem chodziło o ukrócenie przewagi jednego państwa, ile o wzmocnienie drugiego, które téj równowadze służyć miało za podstawę. Oba te państwa przyznawały się zresztą do wspólności zasad z innemi. Jedno tylko, i to najmniejsze, stanowiło może w téj mierze wyjątek, ale i to uznało za rzecz konieczną uczynić stósowne ofiary, aby wspólnictwem zasad wkupić się w skład wielkich mocarstw. Dla innego znów państwa, w całém znaczeniu tego wyrazu, ale w téj chwili z powodu politycznych nie zasadowych względów nieco się może od ogółu kongresu wyróżniającego, uczyniono pewne ustąpienia, aby je wciągnąć i wspólnie w jednym działać kierunku. Nie było więc żadnych różnic stojących na przeszkodzie rozwijaniu się systematu państw. Forma rządu w obec wspólności zasad głównych, była dla wszystkich obojętną. Co do równouprawnienia wyznań przyznano się w polityce państw do tak obszernéj zasady jak nigdy jeszcze; skoro społeczność niechrześciańską uznano za państwo i do składu państw chrześciańskich jednogłośnie przyjęto. Zasada równości politycznéj, a nawet aż do pewnego stopnia równości społecznéj poddanych w państwie, licująca tak wybornie i prawie konieczna w dzisiejszym systemacie, nie spotkała żadnéj przeszkody, nie nadwerężono jéj żadnym wyjątkiem lub przywilejem. Wszystkie zmiany, reformy jakie jedne państwa od drugich żądały, lub jakie jedne drugim proponowały, w tym wspólnym dążyły kierunku. Wszystkie życzenia

wychodziły z téj zasady, nawet ogólna amnestya, o któréj jak dziś twierdzą była mowa, nie miała być udzieloną na mocy jakowegoś wyjątku, lub różnicy pochodzenia poddanych, albo dawnego prawa, bo poddani wszyscy są równi w obliczu państwa; ale jak tego dowodzą rozprawy angielskie, nastąpić miała przez wzgląd na korzyść którąby ztąd dla wszystkich państw wyniknąć mogła. Na każdą kwestyę, na każdą reformę, na każdy interes zapatrywano się z europejskiego i cywilizacyjnego stanowiska, oceniano je według możliwego wpływu na rozwinięcie siły państwa. O zasadzie narodowości nie było wcale mowy na kongresie paryzkim. Kwestya Księstw Naddunajskich była wprawdzie jakby odbiciem dawnego systematu, ale przepuszczoném zawsze przez pryzmat polityki państw. Jeżeli kwestya ta stawiła trudności dotąd niezałatwione, to nie dla tego tylko aby w niéj tkwić miała zasada narodowości, ale że kombinacya w ten sposób ułożona, sprzeciwia się wymaganiom nowo utworzonego państwa. Czyż zresztą wywołały tę zasadę inne kwestye tak blisko niéj stojące, a poruszane w rozprawach protokółu z 8go marca? Bynajmniéj. Dowiodły one tylko, o czém nikt zresztą nie wątpił, że wszystkie państwa składające konferencye w Paryżu uznają wszystkie fakta dokonane, a w obec téj wspólności zasad zmieniać *statuquo* wcale nie było potrzeby. Zapisał téż tylko tę zgodę kongres paryzki w traktacie, odkładając małe różnice na późniéj, a polityka państw zaufana w nowéj sile śmiało poszła naprzód wytkniętym kierunkiem. Postawiła nowe prawo publiczne morskie, zapraszając inne państwa aby do niego przystąpiły. Jakoż o ile dotąd wiemy, Szwecya, Hollandya, Grecya i Związek niemiecki odpowiedziały już na to wezwanie wspólności zasad.

Lecz każdy systemat polityczny w podwójnym działać winien kierunku, w teoretycznym i praktycznym. Idea

państwa od dawna przestała być teoryą; ma ona może w praktyce zbyt nawet ścisłe i loiczne następstwa. W rozwinięciu swojém nie mogła poprzestać na jednym kierunku. Zasadom politycznym w praktyce odpowiadają interesa: wspólność zasad wymagała solidarności interesów.

I na praktyczném polu zadanie kongresu paryzkiego było łatwiejsze niż wiedeńskiego i nierównie większe dla systematu mogły zeń wypłynąć wypadki.

W kongresie wiedeńskim już dla tego samego że skład terytoryalny Europy przemienić trzeba było, więcéj musiało być mowy o zasadach aniżeli o interesach. Szło o zgodę, a łatwiéj o takową w zasadach. Zresztą z każdą zmianą *statu quo* występowały nowe interesa, których ani jasno przewidzieć, ani dokładnie ocenić nie było podobna. Cóż dopiero myśleć o ich podporządkowaniu zasadom, nieraz ustąpionym jeżeli nie nałożonym, o przyswojeniu interesów każdego państwa wszystkim, słowem o solidarności?...

W kongresie paryzkim wszystkie prawie interesa o jakie chodziło były naprzód znane, określone, a co większa z góry za europejskie uznane. Do przyjęcia solidarności interesów jako kierunku politycznego, skłaniało państwa nietylko samo przyznanie się do wspólności zasad, ale wymagał tego prawie po nich cały ruch społeczny we wszystkich gałęziach przemysłu i handlu, duch spekulacyi wiążący nietylko państwa, ale całe społeczeństwo w ogromne przedsiębiorstwa, duch stowarzyszenia odpowiedni idei państwa, który się wzniósł na zniesionych korporacyach, cechach, uprzywilejowanych instytucyach, który nie zna ani narodowości, ani nawet granic, który jest kosmopolitycznym jak same interesa materyalne. Nie znali mężowie stanu zasiadający w Wiedniu tych olbrzymich skutków sprowadzenia społeczności do pojedynczych członków bez żadnéj różnicy, tak

jak nie znali kolei żelaznych ani telegrafów. Nie słyszeli tych głosów jedno tylko tętno w Europie mających, które przebiegają tak szybko jak po drucie telegrafu, a tak silnie jak na kołach lokomotywy; które wołają wolności handlu, wolności żeglugi, wolności cieśnin i morza, a szczególniéj żądają od wszystkich państw bezpieczeństwa i spokojności. Te żądania zaspokoić się starał traktat paryzki przekonaniem, że wszystkie te zasady objęte są wspólnością i zgodą, że każda kwestya wpływ na wielkie interesa mająca za europejską uznaną zostanie, że bezpieczeństwo leży właśnie w wytkniętym dla polityki kierunku: w solidarności interesów. I jako dowód tego praktycznego zastósowania wspólności zasad, stanął osobny traktat 15go marca.

Bo jakikolwiek może być systemat polityczny, jakakolwiek w nim jedność, zgoda i solidarność państw, zawsze w społeczności istnieć będą spory i te prowadzić mogą do wojny, jeżli ich ostateczny nie ułoży trybunał, jeżli się nie cofną przed jego wyrokiem, nie uznają powagi lub nie ulękną się siły. Była i dawniéj kiedyś w Europie wspólność zasad i solidarność interesów: ale wówczas i społeczność i polityka były wyłącznie chrześciańskie, sprawy przeto na chrześciańskim odbywały się gruncie: trybunał był w Rzymie, Papież był sędzią najwyższym, lub Cesarz Rzymsko-Niemiecki z jego ramienia. I w dzisiejszéj polityce jak się zdaje trybunał jest potrzebny: nic dziwnego, bo jeżeli zmieniają się ludzie w czasie i okolicznościach, nie zmienia się ich natura. Traktat wiedeński i traktat paryzki zostawiły po sobie przymierza, odpowiednie następstwom jakie wskazać chciały. Święte przymierze złożone ze zwycięzców, oparte na sile, stanęło na straży nowego *statuquo*, opierając się na uznaniu faktów dokonanych, więcéj aniżeli na zgodzie w zasadach. Przymierze 2go grudnia czyli 15go marca, ma zapewne siłę, bo trybu-

nału w polityce nie ma bez siły; ale kojarzy je głównie wspólność zasad i dążność utrzymania równowagi, postępując w tym kierunku. Trybunał ten nie ma owéj powagi jaką miał Leon W. aby społeczność przed wojną uchować, tak jak tamten miasto od Attyli zasłonił. Wszakże na politycznéj skali przeważne jest zawsze owo wyrażenie następstw traktatu paryzkiego, zamknięte w rzeczoném przymierzu, jak niemniéj nader trudne jego zadanie.

Choćby więc tylko mniemać przyszło, że polityka europejska z jednéj strony usiłuje przymierze to wzmocnić i utrwalić, a z drugiéj osłabić, bo nie było jeszcze przymierza któreby wszystkim dogadzało widokom, czyż można przypuścić, że polityka odpoczywa dla tego, że jéj ruchy mniéj nam wpadają pod oczy?...

W chwili właśnie kiedy te wyrazy idą pod prasę drukarską, depesze telegraficzne zapowiadają ważne w Hiszpanii wypadki. Nie mają one wszakże bezpośredniego wpływu na ogólny polityki kierunek. Półwysep Iberyjski odrębną dotąd stanowi kartę. Hiszpania zużyć musi istniejące i silne jeszcze w niéj żywioły dawnego systematu. Dokaże tego spiesznie idąc drogą rewolucyjną na jakiéj postępuje. Wyzuje się z właściwéj swéj cechy, opuści dawne zwyczaje, zagubi tradycye, zniszczy narodową indywidualność, utworzy w sobie społeczne i kosmopolityczne dążności, słowem zamieni się w państwo i pójdzie wtedy dopiero wytkniętym kierunkiem wspólności zasad i solidarności interesów.

Maurycy Mann.

KRONIKA.

Kraków w lipcu.

Pusto i głucho w Krakowie w tym miesiącu wiejskich wytchnień i kąpielowych wycieczek. A jednakże gdyby sporządzić spisy ludności mieszkańców miasta, w porze tak zwanego wyludnienia w lecie i osobno w zimie w porze największego ruchu, wykazałaby się zapewne różnica między jedną a drugą porą kilkuset zaledwie osób. Czyżby te kilkaset osób uniosło z sobą to wszystko, co właściwy ruch miasta stanowi, że po ich wyjeździe taka pustka? Czyż w nich to właściwie skupiało się życie miastowe, czyż one tylko były ogniskami ruchu, osiami około których obracał się świat po ekliptyce chodników rynkowych? Alboż ja wiem? Wprawdzie miały one swoje kółka dla których były słońcami, miały swoich satellitów którzy blaskiem od nich pożyczanym świecili, ależ na horyzoncie nie bywa przez to ciemniéj, że część gwiazd wędrownych w pewnéj porze roku na naszéj półkuli nie widna. Otóż w tém najwymowniejszy leży dowód, że miasto nasze właściwego żywiołu miejskiego niema. Widoczny bywa i po innych miastach ów ubytek w lecie, ale to co tam przykute do bióra, do warsztatu lub kasy, ma znów dla siebie właściwy sobie zakres, obraca się w właści-

wem sobie kółku, nie pytając co tam w innych dzieje się sferach. W mieście naszém, nie wyrobiły się takie czysto mieszczańskie żywioły. Każdy jest dla tego tylko i o tyle tylko mieszczaninem, o ile nie może być wsiowym, nie mówię szlacheckim, albowiem szlachectwo nie tyle do rodu i herbu, ile do stanu przywiązane. Nie mamy w języku naszym francuzkich *de* i niemieckich *von*, coby jak herold niosło przed nami tarczę herbową. Szlachcicem ten u nas kto ma wieś, mieszczaninem kto w mieście. Wyjąwszy małą liczbę imion historycznych, nikt nie pyta o rodowody i dokumenta, a przecież jesteśmy najbardziéj szlacheckim na świecie narodem. Co pokolenie prawie zmienia u nas ziemia właścicieli, rzadko gdzie wnuk na téj saméj gospodaruje co dziad jego roli, a przecież mimo tego przerzucania się, nie możemy oswoić się z bytem mieszczańskim i wracamy na wieś ile razy zdarzy się sposobność, ile razy stać nas na zakupienie kawałka ziemi. Przebiegłszy kraj cały w szerz i w dłuż, nie znajdzie nigdzie miast, tylko miasteczka, powstałe nie z potrzeby naturalnéj, nie wzrastające w miarę swojego wieku, w ludność, rozległość, handel i dostatki, ale raczéj jako siedliska władz publicznych gromadzące w sobie tyle tylko mieszkańców, ile ich niezbędna wymaga konieczność. Dla tego w miarę przemian administracyjnych znikają i powstają miasteczka, które my szumnie miastami nazywamy, dla odróżnienia ich od tych gromadek domków, które dla tego tylko nie noszą nazwy wsi, że mają swój rynek i ratusz, chociaż głównem utrzymaniem ich mieszkańców bywa rola.

Kraków który miał odwieczne przywileje stawiające mieszkańców jego na równi ze szlachtą, winien również ocalenie swoje od zupełnéj ruiny urządzeniom administracyjnym w końcu zeszłego wieku. Upadek miast we Włoszech osobliwie zaś południowych datuje się od chwili, kiedy je przestano uważać jako oddzielne autonomie i wcielono w ogólny system administracyjny; przeciwnie u nas, o tyle tylko miasta istnieją, o ile są siedzibami władz mniéj więcéj centralnych, o tyle upadają, o ile zostawione same sobie.

Dziwne to zjawisko dowodzi jak mało jesteśmy mieszczańskim narodem. Z tego więc względu żywioł urzę-

dniczy jest jedynym miejskim u nas żywiołem: bez niego nie byłoby miasta. A niejest to dzisiejszéj tylko epoki właściwością, było tak od wieków. Co zostało z Gniezna, Wiślicy, Piotrkowa po wyjściu z nich władz, sejmów, sądów? co niebyłoby się do dziś dnia z Krakowem stało, skoro niespełna wiek temu zeszło do kilkutysięcznéj ludności?

My nie lubimy miast. Ludność miejska bywa zawsze u nas napływowa. Gdzie tu szukać w Krakowie odwiecznych rodzin miejskich kupiectwem lub rzemiosłem zbogaconych i poprzestających na tytule *civis cracoviensis*? Zaledwie parę domów takich znajdzie jeszcze co sięgają trzeciego pokolenia i w téj saméj dziadowskiéj siedzą kamienicy. Gdzie szukać firm handlowych poważnych samym wiekiem? Rzadko syn po ojcu a wnuk prawie nigdy nie dziedziczy stanu. Patrycyat miejski przeradza się zaraz w szlacheckość. Zamożny mieszczanin nie o tém myśli, aby część dnia wolną od pracy przepędził w pobliskim domku wiejskim, lecz o tém, aby gospodarstwo miejskie zamienił co rychło na gospodarstwo wiejskie. Syn jego już będzie całą gębą szlachcicem, to jest właścicielem ziemskim.

To też za rogatkami miasta nie ujrzy u nas ani jednego domku wiejskiego. Kończy się miasto i zaraz wieś się zaczyna. A przecież jakby to miło i zdrowo było oddychać parę godzin dziennie powietrzem nie nasyconém kurzawą miejską i dymem węglanym. Téj przyjemności zamożniejsi nawet odmawiają sobie w Krakowie, a że czują potrzebę zmiany, więc uciekają do kąpiel. Bo nie zawsze do wyjazdu tego skłania potrzeba ratowania zdrowia. Wyjazd do kąpiel bywa także niekiedy modą, niekiedy ponętą zmiany miejsca i trybu życia, czasami silnie- uczuwaną potrzebą zbliżenia się do natury. Ten ostatni cel rzadko się przytacza za powód do wyjazdu, bo albo się go nie dość jasno pojmuje i tylko raczéj instynktowo przeczuwa, albo téż przyznać się do niego nie każdemu wypada w tym wieku realnym. Jednakże najczęściéj jedzie się dla tego do kąpiel, że jadą inni, że się cały wielki świat z całego świata tam spotyka, że nigdzie chyba tam można się pokazać w tak strojnym negliżu, iżby takowy przewyższał ubiór okazały.

Kronikarz krakowski powinienby właściwie szukać po kąpielach tego towarzystwa, co ztąd uszło; wszelako i na tych samotnych ścianach opuszczonych mieszkań odmalowane jest życie tych co je zajmowali. A swobodniéj je téż obejrzeć pod nieobecność właścicieli, i ze stanu mieszkań wnosić o charakterze, usposobieniu, toku życia i upodobaniach ich, a może dokładniéj, niżeli ne wielkim przeglądzie w salonie, gdzie każdy jak żołnierz na paradzie wydmuchany, wyświeżony i wyprostowany wierniéj niż na patrolu wizytowym, gdzie powiedziawszy hasło i usłyszawszy odzew, wszystko w należytym znalazłszy porządku, bierze się za kapelusz i wychodzi za drzwi, aby potem z kolei inne zwiedzić stacye.

Możnaby także w lipcu poprzestać na tych mieszkańcach, co z miejsca ruszyć nie mogą, pracując jak cyklopy dzień i noc w kuźni życia, obojętni, czy kują jowiszowe gromy, czy niewidzialną siatkę w którą Mars zdradliwie ma być pochwycon. Nie dla nich to zmiany pór roku i oddzielne każdéj z nich przyjemności. Czy słońce wstaje o trzeciéj czy o ósméj, czy się kładzie o czwartéj lub przed dziewiątą, to bynajmniéj w trybie ich życia nie czyni różnicy. Jak widno, to pracują przy świetle słoneczném; kiedy ciemno, przy świetle lampy lub świécy. A liczba tych wiecznie przykutych do swoich biór, warsztatów, kass, stanowi ogromną większość w mieście. Wszyscy inni to jak ptaki wędrowne, lecz nie te co odlatują na zimę w strefy gorące, lecz jak wrony i kawki, które na zimę tylko garną się do miasta, a w lecie z niego uciekają. Stali mieszkańcy miasta są prawdziwymi *glebae adscripti.* Pracują całe życie żeby mieć się za co usamowolnić, i jeśli im szczęście posłuży, to się na parę lat ostatnich życia wykupią; lecz cóż, kiedy niéma już wtedy sił aby używać uciech o jakich marzyli za młodu, kiedy stępiały uczucia aby przyjemności życia doznawać. Więc cała ich myśl zwrócona bywa ku temu jedynie, żeby wypocząć, a całe staranie, aby umniejszyć cierpień fizycznych i dolegliwości wieku, aby o rok, o miesiąc, o dzień przedłużyć to życie — a właśnie ta około swojego zdrowia piecza i troskliwość odbiera im pokój i swobodę, na które tak długo czekali. I oni czasem mają na tyle zaoszczędzo-

nego grosza, że jadą w lipcu do kąpiel, by utargować u wieczności kilka chwil życia; lecz cóż to warto takie życie wyżebrane, ta zdrutowana skorupa, która za trąceniem nie wyda już dźwięku, a rozsypaniem grozi?

Pisać o nich nie łatwo, bo jednostajność ich żywota mało przedstawia punktów tak wybitnych, by w oczy do razu uderzyły, a życie ich posuwa się jednostajnym ruchem skazówki zegarowéj, tak iż choć w nią wzrok wlepić, to najmniejszéj nie dostrzeże się zmiany. Dopiero przy schyłku życia — a komuż się tak długo chce obserwować? — poznaje się, że godzina upłynęła. Wszelako żywot téj klassy mieszkańców, a raczéj tych klass przedstawiałby nie mało zajęcia, chcąc go odmalować we wszystkich jego drobiazgowych krzątaniach, maluczkich ambicyach i mrówczych sileniach się, gdyby te klassy stanowiły w Krakowie pewnego rodzaju mrowiska, gdyby pojedyncze ich członki łączył z sobą jakikolwiek węzeł wspólności potrzeb, życzeń, żądz. Ale z tego nagromadzenia się w jedno miejsce ludności nie wyrobiła się jeszcze społeczność miejska. Każdy idzie samopas, nie związany żadnym węzłem z resztą towarzystwa w pośród którego żyje; łatwo też przechodzi do zawodu wiejskiego, i właśnie to przejście do stanu rolniczego jest dla mieszczanina krakowskiego najwyższym ideałem. Ten co nie śmié o nim marzyć, nie doznaje prawdziwego w życiu swojém szczęścia; życie zaś jego chcieć skreślać, wszystko jedno czy w lipcu czy w lutym. Cała różnica, że się raz ciepléj drugi raz chłodniéj ubierze, że raz przy piecu drugi raz przy otwartém siedzi oknie. Ruchu tam niema, i dla tego też kilkadziesiąt tysięcy ludzi nagromadzonych w jedno miejsce nazwane miastem, nie daje temu miastu tyle żwawości, co ta garstka wędrownych gości, która teraz uleciała do kąpiel bawić się, lub na wieś oddychać sielankowém życiem, to jest pilnować najemnika przy żniwie.

Wyjazd tylko do kąpiel stanowi tam jedyną zmianę, jedyną przerwę jednostajności. Pierwszy to raz w życiu wypadło się rozdzielić mężowi z żoną, matce z dziećmi na tygodni kilka. Ważono się długo co zrobić żeby się nie rozłączać i postanowiono nie jechać, lecz za to pijać wody sprowadzone w kamionkach i kąpać się w domu w jakiéj zastępczéj zaprawie kąpielnéj. Ale na dru-

gie lato lekarz się uparł i do kąpiel wyprawił. Co tu przygotowań i zachodów, co pożegnań i odprowadzań! Zapomina się wtedy wszystkich tych drobnych nieporozumień i zwad domowych, które jak peryodyczne na oceanie wiatry zakłócały spokojność, ile razy okręt małżeńskiego pożycia przebywał zwrotniki kieszeni. I otóż gwizd lokomotywy zawtórował elegii pożegnania. Odjeżdżającemu mężowi dołożyła jeszcze żona nowe zawiniątko i kilka przestróg na drogę, a dzieci przypomniały, że im ojciec upominek ma przywieźć z zagranicy. I dom osierociał po odjeździe. Żona zaprowadza oszczędności, aby zrównoważyć wydatki kąpielne, zmniejszyła podwieczorki, dokłada więcéj cykoryi do kawy a ujmuje masła ziemniakom. Pora ta służy także do zaprowadzenia radykalnéj zmiany w ustawieniu sprzętów, które potém jako *fait accompli* zwykło być szanowane.

Za każdém drzwi otwarciem wyglądają czy nie list idzie, żona tęskni i smuci się, jak gdyby w ciągu pożycia małżeńskiego kiedykolwiek rozmawiała z mężem więcéj nad to, co wypadło niezbędnie mówić, mieszkając pod jednym dachem i u jednego siadając stołu. Kiedy się zbliża dzień przybycia, wszyscy stoją u dworca kolei wyglądając powrotu męża i ojca, i każdego dnia odbywają tę przechadzkę, aż wreszcie zajdzie jaka nieprzewidziana przeszkoda, i właśnie wtedy zjawi się długo oczekiwany. Co tam radości i uciechy! Pani ogląda filiżankę złoconą z napisem mającym jéj póty przypominać pamięć męża o niéj, póki się pozłota nie wytrze, dzieci oglądają cacka rozpakowane, a przez cały miesiąc pobyt w kąpielach i przygody podróżne stanowią niewyczerpany przedmiot opowiadań, pytań i odpowiedzi. To czasowe rozłączenie się małżonków urozmaica życie tam nawet, gdzie jednostajność swoje mdłe rozlała farby. Wzmacnia ono węzły osłabłe samém nawyknieniem i wzajemném nieprzerwaném ciśnieniem, ożywia gasnące uczucie i nastręcza kilka chwil radości powitania jak nastręczyło kilka chwil smutku przy pożegnaniu. Miesiąc kąpiel ważne przynosi usługi tam, gdzie podróże nie odbywają się dla rozpędzenia nudów lub w obawie, aby się na jedném miejscu nie spospolitować; miesiąc kąpiel rozlewa zbawienny wpływ tam nawet, gdzie na

pokrycie jego wydatków, wypadnie umniejszyć podwieczorki i zwiększyć dozę cykoryi.

Inaczéj rzecz się ma w klassie mieszkańców, co chwilowo obrali sobie miasto za siedlisko. Wyjeżdża tam latem cała rodzina bądź razem, bądź każde z osobna, i rozłączenie nie bywa tam tyle bolesne, bo nawyknięto już podróżować, a wreszcie związki małżeńskie nie są tu jarzmem, którém para osób nierozłącznie sprzągnięta ciągnie wspólnie wóz ładowny troskami.

Opuszczone mieszkania ich nastręczają badaczowi tyle przedmiotu do obeznania się z najskrytszemi tajnikami ich domowego życia, jak odsłonięte domy Pompei i Herkulanum dozwalają rozpoznać życie domowe Rzymian. Wszystko tam jak w dniu odjazdu, tylko pył osiadł na pokrowcach i stolikach, a z warstw jego możnaby obliczyć czas oddalenia się, jak z warstw skał napływowych naturaliści wiek ziemi zbadać usiłują. Widać tam jeszcze sukienkę co w ostatniéj służyła wyprawie na wizyty: dziś już niemodna, bo przez kilka godzin opatrzyła się. Gdyby się w niéj jutro pokazać, zdradzonoby się. Krój się nawet zmienił, bo od tego czasu już upłynęły ogromne dwie epoki, dwa numera tygodniowe żurnalu mód! Daléj na toalecie papiloty. Rozwijam je, są to resztki listu, który mię wprowadza bliżéj jeszcze w stosunki domowe osób. Patrzę która flaszeczka pachnideł najbardziéj wypróżniona i wnoszę z tego o upodobaniach właścicielki toalety. Chciałbym o tych upodobaniach wnosić z innych więcéj umysłowych zajęć, lecz książek nigdzie nie widzę prócz w salonie. Domyślam się, że te kilka rozrzuconych na stole pięknie oprawnych dzieł, kilka rycin i kilka albumów i kipseków służy tylko na pokaz. Stanowią one całą bibliotekę i cały skarb wiedzy. W pokojach męzkich nie złożone jeszcze stoliki, na nich ślady ostatnich wygranych i przegranych ręką biegłego rachmistrza skreślone na sukiennéj tablicy stołu, rozrzuconych kilka talii kart i ugryzki cygar wśród kupy popiołów — takie są pamiątki po dawnych mieszkańcach tych opuszczonych murów. Zawołałem do pomocy dagerotyp i zdjąłem widok tych osamotnionych siedzib, a w tece mojéj zachowałem dla późniejszego historyka wierny obraz życia téj klassy spó-

łeczeństwa, która stanowi, że się tu obcém posłużę wyrażeniem — śmietanę jego.

Wiedeń w lipcu.

Czy mamy lato, czy jesień — od dni kilkunastu, na zapytanie to trudno odpowiedzieć. Za pierwszem mówi kalendarz, za drugiem dziwny stan atmosfery. W wielu domach okna pozasuwane na znak że mieszkańcy są na wsi: lecz za to w innych ogień w piecach lub na kominie. Bądź co bądź, deszcz prawie nieustanny i powietrze zimne, tak tym co siedzą w mieście, jak i tym co bawią na wsi, skróciły miesiąc lipiec o dni piętnaście. Ku końcowi wszelako miesiąca rozpoczęła się pogoda i wróciło ciepło; lecz barometr zwiesił smutnie głowę i ciągle patrzy na dół. Czy sierpień będzie taki jak zwykle? Czy sprawdzi znowu żartobliwy, lecz trafny sąd jednego paryzkiego wędrownika, który upierając się zajadle przy swym lekkim surduciku i nankinowych spodniach, dzwonił ciągle w przeszłym roku zębami mówiąc: *mais votre mois d'Aout, n'est pas doux du tout.* Pomimo téj obawy, massa ludzi opuszcza co dzień stolicę, wynosząc się każdy gdzie może: ten do wód, tamten na wieś, a najwięcéj w pobliskie okolice. Wiedeńczyk nieprzebiera, wolą jego kierują w téj mierze żona i kieszeń. Jeżeli obie żyją z sobą w dobréj zgodzie, jedzie daleko, do wód morskich lub mineralnych. Jeżeli nie, siada za rogatkami byle tylko było trochę cienia, i żyje w przekonaniu że ma wieś i wody. Jeżeli żona mruczy, odsyła ją po informacyę do kasy: jeżli sama przenosi Hitizng lub Dornbach nad Ischl lub Karlsbad, przyznaje jéj rozum. Nie pyta o przyczyny, nie wchodzi w tajemne kombinacye; zamyka nawet oczy na fakta, bo Wiedeńczyk chce przedewszystkiem być spokojnym. Każdy tylko myśli o tem, żeby dobrze zjeść, wypić i wypocząć. I to nie rozkłada planów swoich ani na lata, ani na miesiące, ani nawet na tygodnie, ale poprostu żyje z dnia na dzień. Nie jest on ani skąpym, ani rozrzutnym. Jest nawet umiarkowanym w potrzebach, ale każda z takich potrzeb musi być zaspokojoną w swo-

im czasie, czyto z procentu, czy z kapitału, czy z pracy. Przestaje na teraźniejszości, przyszłość zostawiając przyszłym pokoleniom. I dla tego klasa wyrobnicza w Wiedniu, lubo tyle każdy z niéj zarabia co we Francyi lub w Anglii, żyje bez porównania lepiéj. Mieszczanin tutejszy jest w porównaniu z paryzkim lub londyńskim, prawdziwym panem. Sklep otwiera z rana o siódméj, zamyka o ósméj, jé w ciągu dnia trzy lub cztery razy, bawi się w teatrze lub na przechadzkach, wieczorem i w nocy oszczędza oczu i gazu, śpiąc na spożytym spokojnie i wesoło dziennym zarobku. Żony i córki pracują mniéj jeszcze; jaką rolę grają w wydatkach domowych i co do nich przynoszą, to rzecz inna. Lecz są zawsze hoże, wesołe, i widna na nich cecha dobrego bytu materyalnego. Damy wyższego świata nie doszły jeszcze tak jak w Paryżu, do przepychu rujnującego w strojach, lecz już pokazują się na ulicach w sukniach z koronkami i w kapeluszach kosztujących po 60 i 80 złr. Stroje lekkie, muślinowe lub bawełniane są rzadkie nawet na wsi; ledwie je widzieć można z rana. Jedwabie stanowią główną część prawdziwego ubioru. Wedeńka nie może na wsi nawet rozstać się z nałogami i zwyczajami miasta. *Villagiatura* jest dla niéj rzeczą powietrza: lecz i niem oddycha tylko w godzinach, w których przywykła wstawać, ubierać się i wychodzić z domu w mieście. Nie lubią one, zwłaszcza na piechotę, wielkich wycieczek. W powozach drzymią, zamiast patrzeć na powabne, nieraz nawet wspaniałe, lecz te same co rok obrazy. Niewiem co się dzieje po zamkach i pałacach wiejskich, lecz wyznaję, że życie po przyległych stolicy okolicach jest w ogólności martwe i nudne, tam nawet gdzieby przyjemności wsi można było połączyć z zabawami miasta i wód, jak np. w Baden i Vöslau.

A ponieważ wpadły mi pod pióro te dwa tutejszego lepszego towarzystwa obozy, pozwólcie, że na poparcie powyższych uwag, powiem jak wyglądają i jak się w nich żyje. W Baden dosyć jest przepędzić dzień jeden by dojrzeć że to stolica żydów, siarki i nudów. Trzy te żywioły panują nierozdzielnie w mieście, za miastem, w parku, w ogrodach, w kąpielach i w powietrzu. Na takiem tle rozciągają się rzadkie i po największéj części dość dziwaczne rysy innych życia to-

warzyskiego i zwierzęcego pierwiastków: jak np. podstarzałe turystki, poranieni w różnych bitwach i różnego rodzaju wojownicy, zabłąkani na pola politycznych kombinacyj legitymiści, wędrujący narodowi muzykanci i śpiewacy i t. d. Wszystko to stoi, jakby pod nadzorem, nie policyi, lecz kilku osiwiałych, trochę ślepych, trochę kulawych, lecz zawsze zalotnych, miejscowych protektorów, którzy dla wygody ogólnéj i przyjemności własnéj, wiedzą dokładnie gdzie kto mieszka, kiedy przyjechał, jak długo zabawi, co robi, co ma, z kim przestaje, kogo szuka i czego pragnie. Połączone ich czynnością, jakby jednym drutem elektrycznym, całe takie towarzystwo, zbiera się co dzień o 12téj do parku, gdzie grywa muzyka. Czcze gawędy, głupie plotki, brudne nieraz kommeraże zajmują tę zgraję przez godzinę, poczem muzyka któréj nikt nie słuchał, a za nią świat cały, zmyka jak najprędzéj do domów lub do restauracyj. Wieczorem widzieć można tę samą scenę w szczegółach, przed kawiarniami lub na przechadzkach. I ten ruch monotonny, smutny, bez życia, bez koloru, idzie jak w zegarze, dzień za dniem jeżli pogoda, lub ustępuje przy deszczu zupełnéj grobowéj prawie ciszy. Lekarze utrzymują że wody w Baden są dobre. Lecz pytam za co ci co niepotrzebują tych wód, mają oddychać siarką? Dla czego w mieście i na przechadzkach takie nudy? Dla czego nie ma, jak po innych tego rodzaju miejscach, żadnych zabaw, żadnych zgromadzeń, żadnéj nawet sali tak nazwanéj konwersacyjnéj? Dla tego że w Baden niema istotnie towarzystwa. Żydzi którzy w nim panują, trzymają się między sobą, nieprzyjmują nikogo i nie bywają nigdzie, zazdroszczą jednym, ogadują drugich i rzucają na wszystko uśmiech szyderczy swéj pieniężnéj wyższości. Żony ich przesadzają w strojach do dziwactwa: mężowie spekulują telegrafem na giełdzie: interes lub próżność stoją na straży u drzwi ich pięknych domów. Wkradają się do nich z potrzeby lub przez chrześciańską miłość, kiedy niekiedy młodzi światowi awanturnicy lecz kobiety wyższego świata; siedzą po hotelach lub prywatnych mieszkaniach same, strzeżone i często ogadane, choć zaledwo znane z nazwiska. Jednem słowem, kto nie jest żydem a chce lato spędzić w Baden, musi żyć na ustroniu lub w małém

kole, rozmyślając w swych nudach lub przeżuwając jałowe dowcipy Saphira, bożka austryackiéj Jerozolimy. W Vöslau i wody i towarzystwo całkiem inne. Opiszę je wam późniéj.

Wracam do miasta, do stolicy. Widok jéj w téj chwili dość ciekawy. Napływ cudzoziemców nie mały. Ich twarze i ubiory różne, i czasami zajmujące. Jest między niemi wielu podróżnych z Włoch, z Anglii, z Rosyi, z Księstw naddunajskich i z rozmaitych stron Austryi. Zabłąkał się nawet jeden Czerkies w prawdziwym narodowym stroju, i niemałe sprawia na ulicach wrażenie. Lecz nierównie większe zrobił temi dniami wesoły nasz rodak hr. Kra..... pokazując się podczas deszczu w płaszczu kauczukowym z takiemże pokryciem na głowie. Otwierały się okna i tłumy przypatrywały mu się na ulicy. W jednym sklepie wzięto go za Chińczyka, w drugim za Araba. Przyznał się w trzecim że jest Polakiem, i że ten wygodny ubiór kupił w Paryżu. Kupiec niedowierzał, lecz się nareszcie przekonał, i przyrzekł, że podobne płaszcze sprowadzi i tutaj. Czy kto kupować je zechce, niewiadomo, bo Wiedeńczyk trudno od tradycyjnych zwyczajów, nawet w ubiorze odstępuje. Tak się ubiera, jé i pije, jak przed trzydziestu laty, tylko wszystko płaci trzy razy drożéj, a to dla tego że przed rokiem *agio* na monecie było 30%!!

Prócz cudzoziemców drugim rozweselającym miasto żywiołem są różne muzykalne festyny, do których urodziny Arcyksiężniczki Gizeli dały powód. Mieliśmy jedną z takich przed kilku dniami na *Wasser-Glacis*. Grał Gunkel i dwie muzyki wojskowe. Publiczność była liczna. Wejście za płótno odgradzające widzów od słuchaczów, kosztowało kilkanaście krajcarów. Nie zbywało na lampach kolorowych i na ogniach bengalskich. Lecz i tu nie było tego życia, które na podobnych zebraniach widzieć można w innych stolicach. Publiczność wiedeńska korzysta z nich, żeby jęść i pić pod inną formą. Muzyka jest dodatkiem, rozmowa zbytkiem, wesołość urojeniem. Że taki stan duszy pomaga do strawności, temu wierzę: lecz że jest nieznośnym dla tych co czują inaczéj, za to ręczę.

Pan Stuwer uprzywilejowany pyrotechnik wyprawiał tu również na Praterze pod nazwiskiem fajerwerku, no-

wą mistyfikacyę. Puścił kilkadziesiąt rakiet i szmermeli, i zebrał do czterech tysięcy w półgodziny. Niechże mi kto dowiedzie, że przywiléj jest złym wynalazkiem! Publiczność zapłaciła drogo, i zdawała się być zadowolniona, że przynajmniéj wyszła na sucho; zwykle bowiem fajerwerki p. Stuwera kończą się deszczem.

Teatra są dość próżne. Opera niemiecka ma słabe zasoby. Brakuje śpiewaków. P. Ander już ma głosu nie wiele. Drugi tenor obiecuje wiele, ale dotąd daje mało. Spiewaczki te same co przeszłego roku. Nowy balet Redowa piękny co do wystawy, lecz nudny. W tych dniach rozpoczyna się opera węgierska. Ma być dobrą.

Berlin w lipcu.

Wskazawszy w poprzednim liście przyrodzone i teoretyczne żywioły, na których się wspiera pojęcie i zadanie muzyki, uważanéj ze stanowiska sztuk pięknych, przechodzę w niniejszym do bliższego oznaczenia jéj narodowego niemieckiego charakteru. Obok właściwego zadania, obok szczególnych prawideł i granic, które nauka estetyki wykreśla sztukom pięknym, ma bowiem nadto każda z nich, nie doznając z tego żadnego uszczerbku w swém idealném przeznaczeniu, pewien wyłączny typ, pewną osobliwą cechę, którą na niéj wyciska już to historyczny rozwój jéj doskonalenia się, już to indywidualny charakter narodu, który ją pielęgnuje. Gdy mówimy np. o budownictwie, i rozróżniamy w niém styl wschodni, grecki, rzymski, byzantyński, maurytański, gocki; albo w malarstwie szkołę byzantyńską, włoską, niemiecką, flamancką; albo w poezyi rodzaj klasyczny, romantyczny, i t. d.; bynajmniéj nas to nie uderza, owszem znajdujemy w różnicach tych istotne typy osobnych charakterów, które nam właściwego pojęcia sztuki nie tylko nie wywracają, ale takowe uzupełniają i utwierdzają. Gdy zaś mówimy o muzyce wyższéj, zdaje nam się, że nie możemy czynić podobnych różnic, powodowani mniemaniem, że muzyka zdolną będąc wydawać tylko zbyt ogólnie stan, wrażenia i usposobienia duszy, mniéj więcéj wszędzie sobie podobne, nie ma

w sobie odmiennego narodowego charakteru. Jest to błędem. Jeżeli go bowiem ma, jak to widzieliśmy wyżéj, właściwa muzyka ludowa, mimo całego ubóstwa środków, które jéj stoją na rozkazy, dlaczegóżby go nie mogła mieć i nie miała muzyka wyższa, przy całem bogactwie nauki i sztuki, usposabiających ją do wszystkiego? To też w wielkich muzykalnych dziełach włoskich, francuskich, niemieckich, znajdujemy wyraźną cechę ducha tych narodów; znajdujemy ją i w dziełach naszego Chopina. Gdzie cechy téj niemasz, muzyka staje się najczęściéj nienaturalną. Kompozytor zgromadził i powiązał w harmonijne akordy i figury sztucznym sposobem i z mozolną pracą wielkie masy różnorodnych tonów, wzbudził nasze podziwienie, ale nie uniósł duszy, nie rozpalił serca, bo sam był bez natchnienia i obcą mu była owa przyrodzona, ciągła, wiecznie ruchoma i twórcza muzyka ludu, w któréj najmocniéj przebija się prawdziwy jego charakter i najdobitniéj wyraża się usposobienie jego duszy. Nie idzie zatem, aby motywa muzyki téj były brane w prostocie swojéj do wyższych muzykalnych utworów, ale z nich można wyczuć właściwe tętno duszy narodu, można nauczyć się, jak ożywić niem nawet najwyższe muzykalne utwory. Muzycy ukształceni wedle prawideł sztuki nie dosyć się zajmują zbieraniem tych przyrodzonych muzykalnych motywów, nie mając ani dość czystego pojęcia, ani dość wzniosłego uczucia, aby je rozumieć. To może jest przyczyną, że mówiąc bez przesady, większa połowa dzisiejszéj muzyki grzeszy nienaturalnością. Jest w niéj coś nakształt zadania matematycznego, coś nakształt mechanicznego ruchu, wielka rozmaitość i bogactwo sztucznie skombinowanych tonów, ale mało tego co stanowi i wyraża indywidualny lub narodowy charakter.

To spostrzega się szczególnie w nowszéj muzyce niemieckiéj, mianowicie w kompozycyach Wagnera i Liszta, którzy uchodzą za naczelnych jéj w naszym czasie reprezentantów. Wagnera opera *Tannhäuser*, Liszta *Les Préludes* utwór synfoniczny na orkiestrę, *Ave Maria* chór z towarzyszeniem organów, *Torquato Tasso (lamento e trionfo)*, utwór synfoniczny na orkiestrę, „13ty psalm“, solo i chór z orkiestrą, które tego roku wykonane były w Berlinie, odznaczają się główne niezmiernie sztuczną

instrumentacyą i harmonią; ale przy całém natężeniu uwagi, zimnym słuchacza pozostawiają, nie mogącego nawet z tekstem w ręku podnieść się do tego usposobienia duszy, które kompozytorowie obudzić w nim usiłują. A przecież mistrzowie ci zamierzyli sobie, stworzyć, nie koniecznie w wyżéj wymienionych, ale w tych co dopiero przyjść mają dziełach, ni mniéj ni więcéj jak absolutne arcydzieło sztuki, arcydzieło przyszłości, jakoby najwyższy wzorowy utwór, na jaki muzyka w ogóle zdobyć się jest zdolną. Utwór taki, wykonany i przedstawiony na teatralnéj scenie, ma połączyć w sobie wszystkie inne sztuki, przedewszystkiém poezyą w skończonym poetycznym tekscie, malarstwo, rzeźbiarstwo, architekturę w dekoracyach. Wagner napisał o tém przeznaczeniu muzyki całe dzieło, i znalazł w Niemczech wielu zwolenników, ale więcéj jeszcze przeciwników, między którymi liczą się wszyscy zagorzali czciciele muzykalnéj trójcy Haydena, Mozarta i Beethovena, w których dziełach, wedle ich zdania, muzyka osiągnęła już najwyższy szczebel swéj doskonałości. Ci nazwali się klasykami, tamci przybrali nazwisko romantyków, bardzo niewłaściwie, bo kompozycye ich nie tworzą nowego rodzaju we względzie treści i jéj charakteru, ale posuwają tylko jednę stronę dawniejszych klasycznych utworów, stronę harmonii, za pomocą najsztuczniejszéj instrumentacyi, w któréj każdy instrument ma niejako indywidualne znaczenie i przeznaczenie, do najskrajniejszéj ostateczności. Walka ta dotąd nierozstrzygnięta toczy się mianowicie w północnych Niemczech, w Berlinie, w Dreźnie, w Lipsku. W Weimarze romantycy mają swą stolicę, w Berlinie klasycy. Ci ostatni nie mogli nie podnieść rękawicy, którą im tamci rzucili, wystąpiwszy śmiało z kompozycyami swemi przed tutejszą publicznością. Ale czémże przeciwko nim walczyli? Piórami, powołując się na arcydzieła Haydena, Mozarta i Beethovena. Własnych kompozycyj nie mogli im rzucić w oczy albo raczéj w uszy, bo ich nie mają. Meyerbeer nie uchodzi za powagę, sam podobnemi, chociaż mniéj śmiało jak Liszt i Wagner, biegąc torami. Mendelssohn w oratoryach tylko stanął na wysokości. Romantycy zaś na scenie teatralnéj szukają boju i zwycięztwa. Spór to bardzo ciekawy, a w Niemczech tylko możebny, gdzie

teorya największą we wszystkiém gra rolę, i utrzymać się stara z swém zdaniem, choćby ją praktyka do domu waryatów zawiodła.

Żaden z europejskich narodów w wykształceniu swém umysłowém i artystyczném nie oderwał się tyle od pierwotnéj natury swéj co Niemcy. Duch niemiecki skłonny jest do namysłu, do refleksyi, do kontemplacyi, do abstrakcyi. Protestantyzm podniósł skłonność tę na wyższy stopień. Aż do Reformacyi polityczna, społeczna, naukowa, artystyczna kultura Niemiec opierała się mniéj więcéj na tych samych wyobrażeniach, co w reszcie Europy. Wspólna wiara chrześciańska przenikała wszystkie umysłowe zajęcia podobnie jak gdzieindziéj. Żywioły przyrodzone narodu gięły się i stósowały do charakteru ogólnéj cywilizacyi chrześciańskiéj. Reformacya przerwała tę nić naturalnego historycznego rozwoju, i nadała kulturze Niemiec nowy, stanowczy, czysto intellektualny charakter. Rozum wziął górę nad wszystkiemi innemi władzami ducha i stał się osią całego ruchu umysłowego; stał się najwyższym sędzią w wszystkich tajnikach ducha i przyrodzenia. Religia, filozofia, polityka, prawo, dziedzina sztuk pięknych poddały się jego absolutnym wyrokom. Prawdziwą wartość i rzeczywisty byt ma tylko to, co się przed nim ostać może. Wszystko inne jest bez znaczenia i ma tylko pozór egzystencyi, przeznaczonéj zniknąć w prądzie nieustającego rozwoju. Ten kierunek ducha oderwał naród niemiecki od całéj massy przyrodzonych i historycznych stosunków i węzłów, odciął go niejako od ziemi i wskazał mu w pracy ducha najwyższy stopień ziemskiego zadowolenia. Podnieść się do „*Selbstbewusstsein*,“ to jest, do uznania się w własném jestestwie — owo delfickie „poznaj siebie samego“ stało się celem ambicyi każdego myślącego. „*Wir sind ein wissenschaftliches Volk, wir sind ein Volk der Denker*“ było wyrazem najwyższéj dumy narodowéj, gdy chodziło o porównanie z innemi plemionami. Kierunek ten zwichnął się wprawdzie wypadkami lat ostatnich, ale wpadł w drugą ostateczność, to jest w kierunek dochodzenia absolutniéj prawdy na drodze eksperymentalnego badania, mianowicie w dziedzinie nauk przyrodzonych. Charakter narodu przez to się nie zmienił. Refleksya i abstrakcya są dotąd niezatartą jego ce-

chą. Punkt wyjścia tylko się przesunął, cel ten sam pozostał.

Umysł tym kierunkiem porwany musi się także inaczéj zapatrywać na sztuki piękne, mianowicie na ich rozwój i przeznaczenie. Poezya stała się rodzoną siostrą filozofii, i wyraża tylko w innéj formie téż same myśli. Niedawno temu wydał jeden z tutejszych poetów poemat przedstawiający dyalektyczny rozwój kategoryj logiki Hegla. Muzyka pozbyła się pierwotnéj śpiewności, utrzymującéj się tradycyjnie w dawnych pieśniach religijnych i ludowych. Protestancko filozoficzny kierunek kultury zatarł prawie całkiem jéj ślady. Ostatek zachował się w chorale, który zastąpił muzykę kościelną. Jak w architekturze tak i w muzyce protestantyzm niezdołał dotąd stworzyć świetniejącego po nad inne arcydzieła sztuki. Sebastyan Bach jest dotąd największym kompozytorem protestancko-niemieckim. Hayden, Mozart, Beethoven, Gluck byli katolikami, i mieli główną siedzibę swoją w Wiedniu, gdzie w ogóle koncentrowała się w przeszłym i jeszcze w bieżącym wieku niemal wszystka ważniejsza muzyka niemiecka. Weber był także katolikiem, Haendel protestantem. Kompozytorami protestanckimi nowszych czasów są żydzi: Mendelssohn-Bartholdy i Meyerbeer. Nie wspominam o innych, i to tylko jeszcze nadmieniam, że katolicyzm nie pozwolił duchowi niemieckiemu oderwać całkiem i muzyki od natury, i chociaż nie zdołał utrzymać w niéj pierwotnéj cechy narodowéj, to przynajmniéj, mimo protestantyzmu, utrzymał nić historycznego rozwoju. Żywioł protestancki w muzyce odznacza się głębokością myśli, i ma większe upodobanie w harmonii niż melodyi. Żywioł katolicki odznacza się więcéj blaskiem form, chce działać na uczucie, i ma większe upodobanie w melodyi. Wspomnieni wyżéj wielcy kompozytorowie niemieccy łączą mniéj więcéj oba te żywioły z sobą. Z połączenia tego powstaje ów uniwersalny charakter, który cechuje muzykę niemiecką. Rzadko téż który naród tak jest usposobiony jak niemiecki do uznania i przyswojenia sobie prawdziwych muzykalnych arcydzieł obcych narodów. Surowy w sądzeniu kompozycyj lekkich, powierzchownych i czczym tylko brzękiem melodyjnym odznacza-

jących się, z zamiłowaniem chwyta i zgłębia każde poważniejsze dzieło, gdziekolwiek wzięło początek.

Przy protestanckiéj katedrze w Berlinie jest chór śpiewaków, sławny na całe Niemcy, a nawet i zagranicą, bo popisywał się już i w Anglii. Wykonywa on z nadzwyczajną dokładnością, precyzyą, energią i delikatnością nie tylko protestanckie, ale i katolickie, a nawet ruskie śpiewy kościelne, co wyborniejsze. W wielkiém szczególnie ulubieniu są u publiczności tutejszéj śpiewy i chorały katolickie dawnych kompozytorów włoskich, mianowicie Palestriny i jego następców. Chór śpiewaków tych daje podczas każdéj zimy kilkanaście koncertów, których program zawiera tylko tego rodzaju śpiewy. Wszystkie miejsca naprzód są zajęte, a w sali panuje zawsze uroczysta cisza jak w kościele. W koncertach akademii śpiewu przychodzą rok w rok do wykonania „*Requiem*“ Mozarta i „*Requiem*“ Cherubiniego. Publiczność nie wié, któremu z nich oddać pierwszeństwo. Tego roku zdawało się przechylać na stronę Cherubiniego. Istnieje tu od kilku lat „Towarzystwo śpiewu“ pod dyrekcyą Dr. Sterna, mające dziś najwięcéj reputacyi w Berlinie. Jemu powierzył Liszt wykonanie wspomnianych wyżéj kompozycyj swoich, którém osobiście dyrygował. To mniejsza, ale towarzystwo to wykonało téj zimy dwa największe jakie egzystują, dzieła muzykalne, dzieła wielkiéj publiczności mało znane, bo wykonanie ich przechodzi prawie siły ludzkie, i gdziekolwiek dotąd do tego się zabrano, najlepsze chęci rozbiły się o nieprzełamane trudności. Olbrzymie te dzieła nazywają się: „*Missa solemnis* (D-moll)“ i „Dziewiąta synfonia (D-moll) z chórami“ Beethovena. Dyrektor Stern wprawiał do nich przez dwa lata kapelę i śpiewaków swoich, przechodził z nimi szczegółowo część po części, odbył kilkanaście prób generalnych, zanim ośmielił się wystąpić przed publicznością. Dziewiąta synfonia, bez chórów, była tu już częściéj wykonywana, bo istnieje tu Towarzystwo orkiestry królewskiéj, które w stałych koncertach dawanych podczas zimy od dziesięciu przeszło lat nic więcéj nie wykonywa jak synfonie, mianowicie Haydena, Mozarta i Beethovena. Przez to stało się, że każdy muzyk a nawet i miłośnik muzyki w Berlinie zna wszystkie dzieła te na pamięć, i postrzeże

każdą słabość, każdą niedokładność w wykonaniu. Można sobie wystawić niespokojność oczekiwania, gdy dziewiąta synfonia z chórami miała być po raz pierwszy wykonana. Pierwsze dwie części poszły wybornie, w trzeciéj waltornie chybiły w takcie, zmieniającym się co chwila, i porwały za sobą inne instrumenta, powstał nieład, dyrektor nie tracąc przytomności wstrzymał piętrzący się zamęt tonów w saméj porze i dał znak do zaczęcia od początku. Publiczność mniéj uważna zaledwie postrzegła przechodnią burzę, przyzwyczajona do podobnych harmonijnych labiryntów Beethovena fantazyi. Repetycya trzeciéj części i część ostatnia poszły jak z płatka. Tryumf publiczności był nie do opisania.

Większy jeszcze oklask otrzymało cudowne wykonanie tejże zimy Solennej mszy Beethovena. I to olbrzymie dzieło stawało po raz pierwszy przed tutejszą publicznością. Mało jest miejsc, gdzieby je poprzednio było wykonano. Zdaje mi się, że tylko w Wiedniu i w Kolonii przyszło przed wielu laty do tego. Podczas nabożeństwa msza ta nie może być wykonaną, bo jest za obszerną. Mniema nadto sąd kompetentny, że dzieło to, równie jak dziewiąta synfonia z chórami, wybiegają za granicę zwyczajnych pojęć o muzyce, i zaledwie dla największych znawców jéj są przystępne. Będąc utworami absolutnéj sztuki, wymagają najzupełniejszéj znajomości wszelkich technicznych środków, aby zrozumieć samę tylko formę. Cóż mówić o zrozumieniu istotnéj treści, mianowicie w synfonii? Krytycy tutejsi zrozumieli jednak i jedno i drugie, a za nimi zrozumiała i publiczność. Synfonia wyraża wielkie epoki i katastrofy historyi świata, Msza wielkie tajemnice religii chrześciańskiéj. Są to więc niejako muzyczne epopeje ducha i serca ludzkiego. Cóż chcecie więcéj? Czy Liszt i Wagner mogą się zdobyć na coś większego?

Nie będę przechodził z kolei wszystkich muzykalnych towarzystw, zawiązanych już to w celu nauki, już to w celu dania poznać publiczności wszelkiego rodzaju od najwyższéj do najniższéj muzyki. Jedne wykonywują same Oratorya, drugie same Tria, trzecie same Quarteta, inne dzieła mięszane, a po największéj części poważne, bo w takich publiczność najwięcéj gustuje. Cóż powiecie, że egzystują tu nawet stałe kapele, które pod-

czas zimy urządzają koncerta za dwuzłotowym biletem wejścia dla niższéj publiczności, aby i jéj dać poznać synfonie Beethovena. Dzieła tego mistrza wchodzą nawet w program zwyczajnych koncertów ogrodowych, których dyrektorowie mniemają, żeby się upośledzili w opinii publicznéj, gdyby tylko same tańce grywali. Ilekroć muzyka ogrodowa gra taniec jaki, publiczność przechadza się, rozmawia, hałasuje, nie zwracając wcale na nią uwagi. Ilekroć zagra coś poważniejszego, uwerturę, ułamek jaki z opery, z oratoryum, z synfonii, z koncertu, lub wreszcie jakie potpourri, co należy już do pośledniejszego rodzaju, taż sama publiczność natychmiast się zatrzymuje, ucisza, obstępuje orkiestrę, słucha z największém zajęciem i w końcu obsypuje muzyków oklaskami. W ogóle rzadkoby było znaleść publiczność, którąby się podczas przedstawień teatralnych lub koncertowych skromniéj i przyzwoiciéj zachowywała. Niemasz tam żadnego hałasu, żadnéj głośnéj rozmowy, żadnego przeszkadzania. Kto jest zakatarzony lub ma mocny kaszel, musi się wynosić aby drugim nie przeszkadzał. Na synfonicznych koncertach orkiestry królewskiéj, na klasycznych Akademii śpiewu, na podobnych Towarzystwa śpiewu Sterna, zamyka się sala z rozpoczęciem muzyki. Późno przychodzącego wpuszczają dopiero podczas pauzy. Jeść i pić podczas poważniejszego koncertu, uważanoby za świętokradztwo. Takaż powaga przestrzega się nawet na wieczorach, które się nie mogą nigdy obejść bez muzyki. Po dwie, po trzy godziny trzeba jéj częstokroć z największą uwagą słuchać. Uważanoby za obrazę, za brak wychowania, gdyby kto ruszał się, przechadzał, rozmawiał, gdy wirtuoz jaki tuzinkowy albo wirtuozka, albo pani matka, albo jéj godna córka, popisują się grą lub śpiewem. To częstokroć bywa nieznośną męczarnią, ale kto przyjął zaproszenie na wieczór, powinien się do tego zastósować. Niejeden umyślnie hałasował, aby go drugi raz nie proszono.

Zabronienie muzyki byłoby największą karą, któraby Berlin spotkać mogła. Jestem przekonany, że nazajutrz po takim zakazie wybuchłaby rewolucya. Muzyka jest niezbędnym pokarmem duchowego usposobienia publiczności berlińskiéj. Jakże to dziwna, że cała ta muzy-

kalność jest sztuczna, jest zrobiona, przyswojona, nauuczana, w szkole nabyta. W charakterze mieszkańców niemasz przyrodzonéj śpiewności, jaka np. spotyka się u plemion romańskiego i słowiańskiego pochodzenia. U plemion tych mieszkaniec wsi i miasta śpiewa, śwista, nuci, gra przy każdéj niemal sposobności, w każdém duszy usposobieniu, w smutku i w radości, przy pracy i wypoczynku. Niebo stworzyło go śpiewakiem; śpiewa też nakształt ptaków. Pasterz przy trzodzie, oracz przy pługu, robotnik przy żniwie, woźnica przy koniach, miejski rzemieślnik przy warsztacie, każdy albo gra na piszczałce, albo śpiewa na głos, albo nuci pod nosem jakąś piosenkę lub melodyą.

Podróżując w północnych Niemczech rzadko się to spostrzega na wsi, rzadziéj w miastach, w Berlinie prawie wcale nie. Chyba szewczyk, lecąc rano z butami, śwista aż się szyby trzęsą jaką polkę lub inny taniec, krakowiaka lub madrilenę, które właśnie są w modzie, i które mu wbiła w uszy szenekatarynka, lub marsza którego wyuczył się od muzyki wojskowéj grającéj codziennie na paradzie. Wszystka muzyka, którą się słyszy od samego ludu na spacerach, nawet najprostszy jego śpiew, nie mają w sobie nic pierwotnego i naturalnego. Wszystko jest nauczane i ujęte widocznie w pewne prawidła sztuki.

Nic w tém dziwnego, albowiem muzyka, a szczególnie śpiew, wchodzą począwszy od najdrobniejszych szkółek elementarnych aż do gimnazyów i uniwersytetów w liczbę przedmiotów nauki. Każda dziewczynka, każdy chłopczyk, nauczą się wprzód nót, skali, tonów, taktów, dwu,- trzy,- czterogłosowéj harmonii, nim posłyszą i uczują w duszy jaką melodyą. To też słyszeć można na ulicy kilkoletnie dzieci, śpiewające jakiś choral, zgodnie i harmonijnie wedle prawideł szkoły ułożony. To przechodzi i do lat późniejszych, wpaja się w pamięć, udoskonala, ustala, rozszerza pomiędzy wszystkiemi klasami ludności. Niemasz stanu, w którymby harmonijnie śpiewać nie umiano. Najmniejsze towarzystwo mieści w sobie parę, kilka osób, które od razu coś zgodnie zaśpiewać potrafią. Każda pieśń ludowa tak się śpiewa. Sztuka i nauka zastąpiły tu całkiem śpiewność przyrodzoną. Harmonia wzięła górę nad melo-

dyą. Harmonijny śpiew stał się niejako drugą naturą i domową właściwością dzisiejszych Niemców. Któż policzy towarzystwa śpiewu, które się w całym kraju po najdrobniejszych mieścinach i gminach znajdują? Gdyby je można zebrać wszystkie do jednego chóru, i kazać im zaśpiewać pieśń zrozumiałą dla całego narodu, wrażenie takiéj harmonii powinnoby, mniemam, usposobić człowieka do wzniesienia się nad samego siebie i rozbudzić w nim siły, jakich nigdy nie przeczuwał.

Na tém kończę pierwszą część obrazu towarzyskich stosunków Berlina, poczętą od ucha. Gdybym ją jeszcze szczegółowiéj chciał wykończać, czytelnik zatkałby sobie może uszy, obawiając się, abym mu za pomocą i pod pozorem muzykalnéj harmonii nie wprowadził heglowskiéj filozofii do serca i duszy. Nie chcąc wpaść w takowego zamiaru podejrzenie, poprzestanę tymczasem na dokonanéj pracy, a zajmę się w przyszłym liście szkicowaniem innego przedmiotu.

Paryż w lipcu.

Paryż w lipcu wcale nie zabawny. Wszystko to co w innych porach roku czyni go najmilszą ze wszystkich stolic świata: ów nawał widowisk, zabaw i rozrywek wszelkiego rodzaju, w których żeby wziąść udział dość wyjść na ulicę — nieprzebrany zapas pokarmu umysłowego i zmysłowego — powabny ruch wykwintnych powozów i kobiet pięknych których tu przez jedną zimę napotkasz więcéj niż gdzieindziéj przez całe życie — handel przedmiotami zbytku, jakiemi są szale, koronki, dyamenty, które zdawałoby się iż zamawiane są przez władców świata, a właściwie stają się ozdobą pierwszéj lepszéj piękności lub panicza — wszystko to ustaje w tej porze, wszystko emigruje i osiada choćby nad brzegiem jeziora Enghieńskiego jeżli nie można daléj — w Paryżu zostaje tylko praca, owa surowa matka wielkich rzeczy, która w parze z potrzebą cuda płodzi.

Podczas kiedy w apartamentach wysłanych watą i kobiercami grobowe panuje milczenie, kiedy całe rzędy żaluzyj zamknęły się na parę miesięcy, kiedy na

modnych ulicach trawka zaczyna się puszczać z pomiędzy kamieni (rozrzewniający tryumf natury nad sztuką! a zawiasy bram hotelowych rdzewieją — niezmordowany robotnik francuzki z podwojoną siłą rzuca się do pracy, raz dla tego, żeby mógł zapomnieć o swéj części uciechy na tym świecie, o tém, że i jemu potrzebne świeże powietrze i morska woda; powtóre, żeby korzystając z wyjazdu gości przysposobić im nowe uciechy i nowe cacka, licząc już w myśli owe sztuki złota które mają opłacić wszystko na czem mu zbywa, wszystkie niedostatki, wszystkie noce bezsenne strawione na walce wysileń i obowiązku.

Paryż więc w lipcu to jeden warsztat, jedna wielka pracownia napełniona kurzawą i rusztowaniem — odurzająca stukiem wszelkiego rodzaju narzędzi, wonią wapna, pokostu lub gotującego się w ogromnych kotłach asfaltu, brzmiąca ochrypłym krzykiem przekupniów sprzedających zielony groch i sałatę, a nakryta dachem słonecznego żaru, który ulice i place zmienia w czwartą kondygnacyę Dantowego piekła, gdzie deszcz siarczysty pali a nie pożera potępieńców.

Pojmujesz, że w takim stanie rzeczy materyał zebrany w Paryżu, mógł być bardzo dobry do jakiéj filozoficzno-filantropijnéj rozprawy traktującéj o smutnej doli człowieka niemającego 100,000 dochodu, o dolegliwościach jakie wtedy wytrzymać musi, o tém, jak mu się ziemia piękna i miła zmienia w padoł płaczu, jak wszystko się nań sprzysięga i t. d. — ale zupełnie nie byłby właściwy do korespondencyi któréj celem uprzyjemnić chwil parę. Chcąc ci przeto posłać ztąd jakieś milsze wieści, wybrałem się po nie za rogatki w nadziei, że znajdę Paryż piękny za Paryżem, ukryty gdzieś w chłodzie okolicznych parków, w Neuilly, Asnières, Passy lub Renelagh, ale i tu go nie spotkałem; bo jeżli się nawinął jaki bulwarowy znajomy, to zakrywszy twarz uciekał wnet odemnie obawiając się, żebym go nie zdradził i nie zadał fałszu listom które on datuje z najodleglejszych krańców do jakich zwykł się zapuszczać świat modny.

Niezrażony przecież na pierwszym kroku, rozpocząłem dalsze wędrówki, udałem się do lasku Bulońskiego. Tu zjazd powozów i gwar zwykły zastąpiła cicha piosn-

ka śpiewającego w trawie świerszcza. Że to był dzień powszedni, zaledwie kilku mniéj pilnych robotników przybyło odetchnąć po znoju. Bez natłoku mogłem swobodniéj podziwiać ten park wspaniały, który ze wszystkich upiększeń jakiemi cesarz Napoleon ozdobił Francyą, jest może najładniéjszy, a niezawodnie był najpotrzebniejszy.

Kto od parę lat nie widział tego lasku, a raczéj tych zarośli (bo las wycięty radykalnie przez oblegających Paryż kozaków, nie mógł w żaden sposób odróść ponad ziemię, kto przypomina sobie tę bezładną gęstwinę gdzie po środkowéj drodze przeciągały w powozach piękne panie, po bokach zaś pojedynkowali się panicze, wieszali biedacy a obdzierali złodzieje — nie uwierzy nigdy, żeby bez kataklizmów natury mogły tu powstać wzgórza, skaliste spadki, rozległe jeziora, wyspy, wodospady, a wszystko w rozmiarach, których pieszo przemierzyć trudno — ażeby grunt, niegdyś jak billard płaski, mógł zmienić się w miłą oku falistość, któréj wielkie, sztucznie sadzone drzewa nadają cechę odwieczną, a zielone kobierce murawy rozesłane szeroko i porysowane siatką ulic wijących się od niechcenia, urok nietkniętéj ręką ludzką przyrody.

Ażeby módz objąć wszystkie na raz piękności parku i ocenić misternie obmyślaną całość jego, potrzeba było koniecznie wzniesienia panującego po nad drzew wierzchołki. Na ten cel usypano na środku znaczną górę, na któréj szczycie zasadzono wielki cedr libański sprowadzony tu z całym wzgórkiem na którym rósł od lat pięćdziesięciu. Do tego cedru wszystkie zbiegają się ścieżki, ciągnąc za sobą pod zieloną koronę drzewa rozłożoną jak dach szwajcarskiego szaletu, każdego co się zapuścił w ten obszerny labirynt. Widok ztąd jest tak piękny, że nie jeden z tych nawet co tu przybyli szukać pewnéj sukni białéj lub pewnych oczu czarnych błyszczących z pod maltańskiego kapelusza z wielkim rądem, zapomina o nich na chwilę, uderzony wdzięcznym krajobrazem zarumienionym łuną zachodu i przepasanym jak wiochna, niebieską wstęgą Sekwany. — Podobny obraz, tylko na większe rozmiary, musiał oglądać Nebaba, wdarłszy się na szczyt odwiecz-

nego dębu, zkąd orlim wzrokiem wodząc po szerokiem polu widział jak

„Snują się jary, wstają w piętrach wzgórza;
„Wśród nich gdzie niegdzie lasek się zachmurza;
„Błyszczy dnia resztką dach zamku blaszany;
„Błyszczy, na prawo Dniepr dołem rozlany.
„W błędnéj z tysiącznych węzłów plątaninie,
„Liczne się drogi na lewo rozbiegły:
„To skrętym wężem pełzną po wyżynie,
„To się jak wstęga snują po równinie,
„To w paszczach jaru giną niespodzianie,
„Aż razem znikną w dalekim tumanie.
„A dnia ostatkiem zachód pozłocony,
„Pocieniowany lotnemi obłoki
„Jest jak zwierciadło téj ponętnéj strony
„Z każdym jéj cieniem, z wszystkiemi uroki!“

Pod cedrem jednak nie było nikogo. Rzecz niepojęta — myślałem patrząc na te potoki purpury i złota płynące od tarczy słonecznéj — czemu człowiek którego zajmuje tyle marnych wypadków, który szuka odrodzenia w tylu niegodnych siebie widowiskach, nie znajduje największéj rozkoszy w podziwianiu tego, co jest prawdziwie wielkie i wieczne. Każden z nas zachował w żywéj pamięci wrażenie jakiejś drobnéj uciechy; nikt pomiędzy rozkosze nie policzył chwili w któréj sama natura kochać mu się kazała, w któréj czarowna noc letnia szeptała mu zachwyty, a różowy promień jutrzenki wyrwawszy go z samolubnego koła, zanurzał w atmosferze miłości i szczęścia w jakie zwykł wtrącać twory powrót światła. Ludzie zawsze jakby mimowolnie kosztują boskich dobrodziejstw: witają je bezduszném słowem pochwały, a nie zgłębiają ich wcale. Każden z nas miał dzień w którym słońce wydawało mu się piękniejsze niż innego dnia w życiu, ale czyż myślał wtedy o słońcu? — Pod symbolem obracającego się koła, ludzie powinni byli wielbić ruch wszech-świata, a nie kapryśne zwroty fortuny — nie przed cackami sypiącemi się z jéj rogu, ale przed cudnym porządkiem stworzenia klękać. Na nieszczęście swoje człowiek pobiegł za fortuną... ona potrząsa rogiem, a on schylając

się szuka czegoś w błocie, podczas kiedy w około niego nieprzebrane źródło szczęścia tryska przez wszystkie pory natury...

Ale idźmy daléj szukać Paryża.

W Saint-Cloud gdzie ukryty pomiędzy czterema górami zieloności, kwitnących lip i pomarańcz, niedawno jeszcze balował dwór i dworskie muchy — zaległa cisza. Puste aleje parku zapełniają się tylko w niedzielę. W dzień powszedni spacerują po nich tylko płochliwe gromady sarn — pawie włóczą po krużgankach pałacu gwieździste ogony — łabędzie muskają piersiami ciemne stawy — i cicho... cicho tak że słyszysz brzęczenie pszczoły na rezedzie, że słyszałbyś głos z Polski, gdyby tam kto wołał... W Saint-Cloud także nie znalazłem Paryża.

Sądziłem że go znajdę na Saint-Germeńskim tarasie którego sama nazwa wskazuje, iż musi mieć związek z herbarzem. Przez długie aleje lipowe i różane rabaty, udałem się do rozkosznego domku nad Sekwaną który zbudował niegdyś Henryk IV dla swéj pięknéj Izabelli, gdzie późniéj urodził się Ludwik XIV, o czém świadczy złoty napis na ścianie — a gdzie późniéj jeszcze, skoro znikł urok monarszy, założono kawiarnię pod nazwą *Pavillon Henri IV*, która jest celem przechadzki eleganckich mieszkańców stolicy.

Ale i tu nie znalazłem zwykłych gości. Obszerny park po którym tak lubił przejeżdżać się o zmroku otulony szalem Chopin i podsłuchiwać ukryte w gęstwinie słowiki — pusty i głuchy. Bóg dozwolił synowi pieśni słuchać wyższych harmonij — a ś. Wit uciszył leśną kapelę. Zamiast chóru Saint-Germeńskich słowików, które zdaniem naszego mistrza tonów, najpiękniéj ze wszystkich śpiewają, rozlegał się tylko monotonny wykrzyk wywielgi zamieszkałéj w wiśniowym sadzie i tentent biegnącéj przez most lokomotywy.

W pawilonie Henryka, nikogo. Wyjrzałem oknem: na ogromnéj równinie, któréj ze ściętéj prostopadle góry nie można okiem ogarnąć, tak się szeroko roztacza— piętrzą się winnice, domki, ogrody, ciągną się pola zasadzone warzywem w szachownicę, co zdala podobnemi je czyni do rozpostartéj sztuki szkockiéj tkaniny — daléj widać lasek Buloński, a nad nim jak dyadem Cy-

beli, szczyt *Łuku Tryumfalnego* — wyżéj, szare obłoki dymu unoszące się zawsze nad Paryżem, ale Paryża któregom dla ciebie szukał, ani widać ani słychać!

Z Saint-Germain udałem się do Montmorency; tam pewnie znajdę Paryż, myślałem sobie przez drogę. — Zatrzymawszy się chwilę przy dwóch wspaniałych nagrobkach pod którémi spoczywają jakby trzymając się za ręce Kniaziewicz z Niemcewiczem — przykląkłszy na ledwie zamkniętym wielkim grobie bez nagrobka, który z zielonéj doliny Montmorency polską Mekkę uczynił — puściłem się zadumany, krętą ścieżką przez winnice i ogrody, i sam nie wiem jak zaszedłem do pustelni Roussa.

Tu, niedaleko domku filozofa zastałem pod kasztanami tańcujące grono wieśniaków. Muzykant oparty o drzewo grał na przedętym klarynecie kontradansa *Dziewic Marmurowych* — a drugi co parę minut przestawał bębnić i na całe gardło wrzeszcząc, komenderował figury: *en avant deux! balancez! chassez! croisez!* i t. d. Wiejscy tancerze, starym obyczajem każdy kadryl rozpoczynali głośnym całusem składanym z komiczną powagą na obu rumianych policzkach tancerki. *Honni soit qui mal y pense.* Jestto sobie zwyczaj jak każdy inny, niewinniejszy od wielu, a niezawodnie przyzwoitszy od wyzywających przymilań, z którémi występować zwykli po salonach cudzoziemscy naśladowcy francuzkiego tańca. Jednakowoż blade angielki przypatrujące się przez lorynetki wiejskiéj zabawie, znajdowały że to *shocking*, i odeszły do domów zgorszone.

W ciasnych ścieżkach Ermitażu spotkałem kilka amazonek — z po za żaluzyj dojrzałem kilka pięknych twarzyczek — w willi Rachel mignęło mi się pół białéj draperyi i jedna czwarta bladéj twarzy. Podrażniony zajrzałem przez kratę: hufiec róż bengalskich strzegł wnijścia, a posąg Diany surowo patrzył ku bramie. Na perystalu ogromny *Kaktus superbus* tysiącem kolców tamował przejście i oślepiał pąsem. Wszystko niegościnnie odpychało śmiałka, co ważył się zazierać do buduaru Melpomeny. Sama tylko w głębi rysująca się na ciemnym cyprysie biała Wenus z Milo, łaskawszym spoglądała wzrokiem — widziałem z twarzy, że radaby była uściskać przechodnia, gdyby przed wiekami rąk nie była

postradała. Naprzeciw niej stał Apollo Belwederski, a na głowie jego siedział gadatliwy rozpustnik wróbel, który nieustannném świergotaniem zdawał się interpellować boginię.

Z resztą nigdzie znaku życia — i gdyby nie ta biała draperya co mignęła w oknie, i drobne stopki wyciśnięte świeżo na piasku, mniemałbym że nie wykwintny domek młodéj tragiczki u bram Paryża, ale opustoszały *teatro tragico* w Pompei oglądam.

Poszedłem daléj. Zwiedziłem wszystkie ścieżki — zajrzałem do każdego ogrodu — i nigdzie nie znalazłem Paryża. Wyraźnie nie miałem szczęścia.

Zmordowany, zaniechałem dalszéj wędrówki. Darujesz przeto, jeżeli nie mając żadnéj ochoty szukania Paryża w Dieppe, Honfleur, Trouville, Ostendzie, Homburgu, nad Renem, lub w Pyreneach — powracam na bruk stolicy, pomiędzy tych co pracują, bo z nimi pozostać podobno najchlubniéj, dopóki nie przyjdzie na ziemię królestwo Boże.

Zajmowano się tu wiele w ostatnich czasach dwoma ważnemi wynalazkami: najprzód elektrycznemi zegarami które Breget zaprowadza na latarniach miejskich — następnie, podwodnym dagerotypem anglika Thompsona. Bregetowskie zegary, z których pierwsze stanęły już na Pont-neuf i na Sebastopolskim bulwarze, są raczéj zastósowaniem dawniejszego wynalazku ku powszechnéj wygodzie miasta. Skazówki tarczy zegarowéj wymalowanéj na latarni, związane drutem z regulatorem elektrycznym znajdującym się w mieszkaniu zegarmistrza i przezeń poruszane, z chronometryczną dokładnością w dzień i w nocy wskazywać będą jednę i tęż samą godzinę w całym Paryżu. Sposób ten mierzenia czasu za pomocą elektryczności, ważny, mianowicie na kolei żelaznéj, gdzie jedna sekunda opóźnienia lub pośpiechu w odchodzącym pociągu, może sprowadzić okropne wypadki, już tu wprowadzony w użycie na wielką skalę. Na wszystkich liniach kolei francuzkich niema jednego zegaru któryby szedł wedle swéj woli, nie będąc poruszany przez regulatora powszechnego zawieszonego na ratuszu paryzkim.

Świéży wynalazek Thompsona nader ważne rokuje następstwa. Stósownym przyrządem kamery fotografi-

cznéj, zdjął on dagerotyp dna morskiego. Oto w jaki sposób wedle angielskiego dziennika *of the Society of Arts*, odbyła się pierwsza próba tego wynalazku w zatoce Weymouth:

Pan Thompson zamknąwszy przyrząd w szklane pudełko, którego dno drewniane otwiera się za pociągnięciem sznura, spuścił takowe z łodzi na sześć metrów głęboko w morze. Szkła przyrządzone poprzednio, tak ażeby mogły odbijać przedmioty o dziesięć metrów odległe, odsłonił skoro doszły do stósownéj głębokości, i zostawił tamże nieruchomie przez dziesięć minut, poczém zamknąwszy drewnianą okiennicę na spodzie pudła, wyciągnął je, i zwykłym sposobem chemicznym wydobył rysunek, który przedstawiał z należytą dokładnością dagerotypu, skały, muszle i całą podwodną wegetacyę.

Jakiż to potężny środek do rozpoznania miejsca na którém inżynierowie zechcą budować mosty, lub wykonywać inne podwodne roboty — jaka niespodziana pomoc w chwili kiedy podwodne telegrafy wymagają map równie dokładnych jak te, które już dokonano na lądzie!

Jedyną kwestyą na porządku dziennym w zakresie prac naukowych, są poszukiwania środków zapobiegających nowym wylewom, lub zatarciu śladów tych, które Francyi niedawno zatopiły 300 milionów. Dzieł tego rodzaju wyszło w ostatnich czasach bardzo wiele, ale autorowie mało podają środków praktycznych. Do liczby użytecznych, obchodzących zarówno wszystkich wylewami niepokojonych właścicieli, policzyć należy najprzód memoryał pana Lambot-Miraval, który dowodzi, iż powstrzymać można wylewy zaprowadzeniem u źródeł rzek, upustów, których wykonalne podaje plany.

Jednocześnie pan Vallée, naczelny inspektor dróg i mostów, wydał rozprawę, w któréj proponuje ażeby jezioro Genewskie obrócić na wielki bassen, gdzieby ściekały przypływy Rodanu. Uczony ten inżynier radzi porobić szluzy na Lemanie, któreby zamykano w czasie wielkich przypływów, dozwalając wodzie wzbierać bez szkody w tym ogromnym naturalnym kotle. Koszta tych prac których skuteczności matematycznie dowodzi, obrachował pan Vallée na 3 miliony franków.

Prócz powyżéj wymienionych i mnóstwa innych dro-

bniejszych projektów w tym celu wypracowanych przez tutejszych inżynierów, pan Bridge Adams, anglik, pod napisem *Wylewy we Francyi*, podaje wiele nowych i praktycznych pomysłów dążących ku ubezpieczeniu brzegów Rodanu, które zdaniem jego, nieumiejętnie obwarowali Francuzi, budując tamy w miejscach gdzie ich wcale nie było potrzeba, a opuszczając najwięcéj zagrożone punkta. Ostatni wylew Rodanu jest wymownėm poparciem twierdzenia pana Bridge. Ze zwyczajną atoli narodowi swemu sumiennością i skromnością, nie występuje on w celu zarzucania nieuctwa inżynierom francuzkim, ale w zamiarze szczerego służenia Francyi swą nauką. Jakoż, słuszne zarzuty jego i praktyczne pomysły, wzięto tu pod rozwagę i podobno najrychléj ze wszystkich wejdą w wykonanie.

Ale nietylko rzeki uwzięły się na Francyę w tym nieszczęśliwym roku, który miał być taki szczęśliwy. Mieszkańców północnéj części Paryża trapi szczególniejszego rodzaju wylew. Wszystkie prawie piwnice domów, ni ztąd ni z owąd napełniły się na metr i półtora metra wodą, która mimo pilnego pompowania przybywa ciągle, sącząc się przez ściany.

Pominąwszy zniszczenie zgromadzonych w piwnicach zapasów, zalew ten trwający już parę tygodni, podmywa fundamenta i osłabia do reszty już i tak słabe te klatki, które tu szumnie domami nazwano. Ta niespodziana kąpiel nóg tak szkodliwie działa, że wiele domów już się porysowało i grozi ruiną. Lokatorowie nie radzi czekać tragicznego rozwiązania tego dramatu, uchodzą z życiem w bezpieczne strony miasta. Ztąd w niektórych częściach Paryża mieszkania do bajecznych cen dochodzą. Zakątek na poddaszu, który u nas jużby wspaniałomyślnie wróblom zostawiono, zwany mansardą od nazwiska architekta wynalazcy tego nowego rodzaju utrapienia ludzkości — maleńki pokoik, gdzie średniego wzrostu mężczyzna wyprostować się nie może, a chcąc przewdziać surdut, musi otworzyć drzwi i okno żeby mógł ręce wyciągnąć — najmuje się tu po 250 i 300 franków rocznie. Ztąd można mieć miarę ceny mieszkań w których mieszkać można.

A propos drogości mieszkań, przychodzi mi na myśl zdarzenie które temi dniami czytałem w *Gazette des Tri-*

bunaux, owym czarnym regiestrze prawd, mniéj podobnych do prawdy niż wszystkie tak zwane przesady w romansach.

O trzeciéj z północy, mówi gazeta, podczas prześlicznéj pełni księżyca, policya spostrzegła na bulwarach włoskich człowieka mającego plecy obnażone aż do pasa; człowiek ten postawszy chwilę, usiadł we fotelu których tam pełno, otworzył zawiniątko, wyjął zeń czystą koszulę, wdział ją na siebie, poczém schowawszy brudną, zamknął swój tłomoczek, włożył paletot, nasunął kapelusz na oczy, usadowił się wygodnie we fotelu i siedział nieruchomy z zamkniętemi oczyma, jak człowiek który się do snu zabiera.

Wtedy policya zbliżywszy się cichaczem, chwyta go i prowadzi do pobliskiéj stacyi. Tam zrewidowano tłomoczek i znaleziono w nim ułożoną w jak największym porządku czystą i brudną bieliznę, sześć koszul, tuzin chustek do nosa i t. d. — prócz tego grzebienie, szczotki, mydło, pomadę, nożyczki, igły, nici czarne i białe, słowem wszystko co potrzeba do porządnego utrzymania ciała i odzienia.

Właściciel tłomoczka jako włóczęga stawiony przed trybunał poprawczy, temi słowy odpowiadał na pytania:

Sędzia. Nie maszże mieszkania, że koszulę przewdziewasz na ulicy?

Obwiniony. Szukam go wszędzie, ale przy teraźniejszych cenach pomieszkań, nie mogę znaleść żadnego któreby odpowiadało moim dochodom. Cóż mam począć?

Sędzia. Jakież są twoje dochody? Czém się trudnisz?

Obwiniony. Jestem tłumaczem.

Sędzia. Tłumaczem?

Obwiniony. Nie inaczéj; byłem czas jakiś w Londynie, gdzie nauczyłem się trochę po angielsku; idę więc na koléj i czekam na pociągi, a jeżeli przybywają Anglicy nieumiejący po francuzku, ofiaruję im moje usługi — prowadzę do hotelu i gadam za nich. Tym sposobem zarabiam tyle tylko żeby wyżyć i kupić sobie tytoniu, to jest około *franka na tydzień.* Jakże chcecie ażebym płacił mieszkanie?

Sędzia. Mieszkasz więc na ulicy?

Obwiniony. Téj zimy nie będzie to bardzo przyjemnie,

ale teraz wszystko mi jedno — noce ciepłe, na bulwarach i na polach Elizejskich wygodne fotele, w tłomoczku mam bieliznę do przewdziania — jak ją zbrudzę idę prać do kanału; mam wszystko czego potrzebuję do toalety: grzebienie, pomadę, nożyczki, igły i nici do cerowania — tylko muszę się przebierać w nocy, bo w dzień nie można. Na obiad kupuję sobie czasem kawałek kiełbasy do chleba i zjadam ją w szynku; jak mam naprawiać skarpetki, koszulę lub inne części odzienia, wychodzę na wieś i tam to wszystko odbywam. Nikomu w życiu nic złego nie zrobiłem — nikomu nie winienem ani liarda — tylko nie mam mieszkania. Ale niechby tak wszyscy zrobili jak ja, a obaczylibyśmy czyby właściciele nie zniżyli ceny swych mieszkań, do których dziś uczciwy człowiek docisnąć się nie może.

Zacny filozof którego otwarte zeznanie nie pozostawiło cienia niewiary w umyśle sędziów, skazany został na ośm dni aresztu, które zapewne do szczęśliwszych w swojém życiu policzy, zważywszy że miał mieszkanie, łóżko, i mógł się przebierać wygodniéj niż na bulwarach włoskich.

Londyn w lipcu.

Od zawarcia pokoju rozpoczął się tu szereg różnych uroczystości u dworu, i trwa od kilku miesięcy nieprzerwanie. Naprzód wizyta Cesarza Napoleona z Cesarzową była powodem do gościnnych festynów i dworskich obrzędów, w których królowa brała udział; późniéj przybył Wiktor Emanuel król sardyński, co podobnież dało powód do świetnych obchodów, uczt i balów; a w ostatnich czasach przybywali w odwiedziny różni książęta, jako to: Fryderyk Wilhelm Pruski, Oskar Szwedzki — obadwa starając się o księżniczki krwi królewskiéj; następnie Rejent Badeński, król Leopold Belgijski z młodszym synem; a obecnie bawią książę i księżna Pruscy. Każdy z nich doznał jak najgościnniejszego przyjęcia; tak więc raz po raz nieustające fety, parady wojskowe, bale, przejażdżki. Następnie z powodu powracających wojsk i floty z wyprawy, urzędowe przed-

stawiania dowódzców u dworu i nagradzanie zasług jednych i drugich orderami, tytułami, szlachectwem; co wszystko działo się z pewnemi ceremoniami, przy czém nietylko obecność królowéj ale i udział jéj w dokonaniu formalności był potrzebny. Wydarzały się téż, jako z biegu nadzwyczajnego spraw wynikające, częstsze prezentacye dyplomatów mocarstw zagranicznych, jednych na przyjezdnem, drugich na odjezdnem, i etykietalne przyjęcia ich u dworu; a czasem nawet i oni nawzajem przyjmowali dwór u siebie, co od niedawna w modę weszło. Nierównie częściéj niż za lat przeszłych bywały tak zwane ranne przyjęcia (*levees)* i dworskie pokoje (*drawing rooms*), które były nadzwyczajnie liczne i świetne i gdzie wielu znakomitych cudzoziemców i mnóstwo wyższego świata angielskiego przedstawiano królowéj. Wojskowi posuwani na wyższe stopnie, również urzędnicy cywilni otrzymujący posady w kraju lub za granicą, przypuszczani byli do pocałowania ręki N. Pani. Taki jest zwyczaj; i prezentowani są znowu za powrotem, jak dopełnią powierzonych sobie obowiązków. Prezentacye więc takie muszą być częste. Przyjęcia te na pokojach nabyły tém większéj świetności i nawet powabu, że za panowania teraźniejszéj królowéj wiele dam bywa przedstawianych. Starsze dostojniejsze matrony przedstawiają młodsze, jużto pokrewne, jużto znajome z zacnych rodzin. Przedstawienia takowe u dworu poczytywane są za wielki zaszczyt i w zwyczaju jest przedstawiać panienki wyższych domów nim je wyprowadzą na świat, to jest za dojściem lat szesnastu; poczém mniemają się być upoważnione do brania udziału we wszystkich zabawach towarzyskich, balach almakowych, teatrach, koncertach; słowem prezentacya ta u dworu wyzwala je z więzów dzieciństwa i wyprowadza na wielką widownię świata. Oprócz tych publicznych obrzędów dworskich a pewnie niemało utrudzających, królowa ma mnóstwo innych niemniéj uciążliwych, a do nich liczą się posiedzenia gabinetowe z ministrami, narady o sprawach domowych i zagranicznych tak rozległego państwa, sankcyonowanie uchwał parlamentowych, wynagradzanie zasług, fundacye różnych zakładów własną jéj ręką, parady wojskowe i zwiedzanie rannych po szpitalach. Bez niéj ani kryształowy pałac mógł być

otwarty, ani pierwszy koncert w nim dany, ani wodotryski puszczone. Zawsze i w tylu miejscach jéj obecność jest potrzebna, konieczna. Prawdziwie, dostojeństwo królewskie w Anglii i piastowanie go jak je królowa piastuje, nie jest wcale synekurą. Szczęśliwsi są jéj poddani, co wszystkich tych kłopotów nie mają, a przynajmniéj uniknąć by ich wielu mogło, gdyby chcieli. Lecz i oni zdają się z kolei być porywani i unoszeni tym samym wirem zabaw i kłopotów. Gdzie królowa się zjawi, tam oni muszą być; co królowa chce widzieć lub słyszeć, toż samo oni chcą widzieć i słyszeć. W ten sposób uroczystości na których królowa znajduje się, nabierają większych zapewne rozmiarów i blasku, ale w miarę tego stają się także niewygodniejsze; niemożna najczęściéj obejść się bez natłoku i ścisku, ani też niekiedy bez przypadków. Właśnie tak się zdarzyło na jednem z ostatnich przyjęć dworskich w pałacu St. James, z powodu takiego natłoku osób różnych na pokoje. *Punch* niby naoczny świadek, schwycił całą śmiészność tego zdarzenia i tak je skreśla.

Scena. Wejście do pałacu St. James. Stopnie schodów prowadzących na górę. Pełno szlachty, duchowieństwa, urzędników, dyplomatów dworów zagranicznych i dam wyższéj arystokracyi.

Hrabina. (z zmarszczoną brwią krzyczy) A . . . h! Proszę, chciéj pan przecie uważać! Te pańskie ostrogi! rozdarłeś mi nogę do krwi.

Jenerał. Tysiąc razy panią przepraszam. Ależ bo ten tłok nieszczęsny. Oh! oh, moje nagniotki! Do stukroć . . . To pan mię udeptałeś!

Sędzia. Stój panie, wstrzymaj się! moja peruka! Powiadam panu żeś twą gwiazdę zachaczył o jéj kędziory.

Ambasador. Pardon, milor, je vous demande mille pardons! but ze kraoude (the crowd) — impossible — de l' arrêter.

Biskup. Paní — oh! zacna pani. Jejmości brosza wszczepiła się w mój rękaw!

Ziemianin z prowincyi (Country Gentleman) Hey, milordzie! Proszę was milordzie, zrobić miejsce. Rozsunąć się tam — alboż niemożna? Wszakże tę panią zadusicie na śmierć!

Hrabia. Alboż to ja się pcham? To ten pan tutaj.

Baronet. Nie, to nie ja.

Hrabia. A ja powiadam, że pan!

Margrabina. Oh! oh! zgubiłam moje brylanty.

Wicehrabina. Ah! moje koronki — moje koronki!

Wdowa po lordzie. Ah! do licha! Otóż masz — już po moich ślicznych wstążkach u czepka!

Alderman. Rękojeścią szpady porzesz mi pan po brzuchu. A to panie nieprzyjemnie.

Szeryf. To nie moja lecz pańska wina. Po co brzuch pański stoi tu w drodze?

Amerykanin. Dalej wy — dalej naprzód *(go a-head)!* po co tak stoicie?

Książe. Do kogo to pan tak gadasz?

Amerykanin. Do kogo? ja wiem do kogo — do tych co zawalają drogę.

Liberalny członek parlamentu. Czy raczysz pan być tak dobrym postąpić z łaski swéj trochę daléj?

Członek zachowawczy. Bodajże was z waszą polityką! *Szlachetne lordy* i *dostojne pany.* Oh! oh!

Wszyscy. Oh! och! ah! ach! Oj drogi! oj moje! Ostrożnie — uważać — ha teraz! Daléj — daléj tam idźcie! Hoj, ha, ho! —

(Wchodzą, i spada zasłona).

Taką daje *Punch* humorystyczną szkicę tego natłoku u dworu. I w rzeczy saméj musiał ścisk być wielki, bo (żart na stronę) żałować należy że mu lepszemi urządzeniami niezapobieżono, gdyż nieobeszło się bez dotkliwéj szkody. Jedna z dam, Lady Pelham, przybywszy dla prezentowania się królowéj miała w tym natłoku ubiór tak zniszczony i do tego stopnia w nieładzie, że zmuszoną była z pośpiechem wracać na powrót do domu. Szczęściem jeszcze dla niéj, że ten przypadek spotkał ją w pierwszym przedpokoju, a nie na pokojach; zdołano przecie bez wielkich trudności znaleźć i przywołać jéj karetę. Wspaniałą suknię podarto na niéj; a miała ją kosztować 120 funt. str. Co gorsza, gwałtowne wzruszenie jakiego z tego przykrego zdarzenia doznała, przywiodło ją o chorobę. Pałac St. James jest starożytną budową i zbyt szczupłą na tak liczne reprezentacye jakie bywają za téj królowéj; poprzednicy jéj

nigdy tak świetnych obrzędów u dworu nie miewali, mógł więc im ten pałac wystarczyć. Teraz i rząd i naród uznają potrzebę wystawniejszéj budowy; zamiarem przeto jest, bądź gdzieindziéj odpowiedni królewskiéj godności pałac wybudować, bądź na tem samem miejscu gdzie teraźniejsza kletka gotycka stoi: właściwiéj bowiem niemożna tego sławnego pałacu St. James naznaczyć jak wyrazem kletki. Pod względem architektonicznym niezaleca się on niczem zewnątrz, a rozkład jego wewnętrzny jak najgorszy, niemal lichy. W całéj Europie niema pośledniejszego mieszkania królewskiego. Królowa też w nim nieprzebywa. Kiedy bawi w stolicy, mieszka w blizkim pałacu Buckingham, inaczéj w zamku Windsorskim lub na wyspie Wight. Pałac St. James służy jéj jedynie na obrzędy dworskie, i to dość niewygodne równie dla niéj, jak i dla wyższéj warstwy świata, jak to z przytoczonego wyżéj przykładu można wnosić. Czem kantory dla kupców, czem bióra dla urzędników, tem pałac St. James jest dla królów Angielskich, to jest rządową oficyną dla odbywania spraw kraju przywiązanych do ich dostojeństwa. Po załatwieniu ich szukają oni dla siebie wytchnienia i pobytu w dogodniejszych mieścinach. Za przykładem panujących, cały naród idzie. Meklery i klarki (pisarze w bankach) po zamknięciu giełdy, przedawacze różni po zamknięciu sklepów, właściciele rękodzielń po zamknięciu fabryk, i każdy co zamożniejszy mieszkaniec dąży do swych wiejskich mieszkań, częstokroć pysznych gmachów, w których podług gustu i ukształcenia właściciela przepych i wygoda panują; a wygoda taka jakiéj u was na stałym lądzie nie mają wyobrażenia, a jakiéj napotkać nigdzie niemożna oprócz w jednéj Anglii, co też oni osobnym i niemal wyłącznym wyrazem *comfort* nazywają. Jest to wygoda ze swobodą połączona — błogie wytchnienie dla znużonego trudami dziennemi umysłu. Aby zapewnić sobie ten *comfort*, Anglik zbiera pieniądze całe dni, całe lata pracuje, okrętami porze morza, przedsiębiorstwa zakłada na całéj kuli ziemskiéj — i wszędzie go pełno. Niema ludu któryby się tak jak angielski rozbiegał po wszystkich częściach i zakątkach świata, coby często nawet inne narody podbijał — nie dla próżnego zbioru, nie dla marnéj ambicyi, ale jedy-

nie by sobie *comfort* zabezpieczyć w Anglii, dokąd wszystko zagarnia, wraca i mądrze używa.

Owóż do takich to zaciszy domowych można widzieć codziennie wielką część ludności londyńskiéj rozjeżdżającą się lądem i wodą w różnych kierunkach z ogromnéj stolicy która nad wszelkie inne europejskie miasta, przemysłem jéj i pracą wzrosła, i jeszcze rozpiera się na wszystkie strony. Z jéj obwodu rozwożą ją tysiączne omnibusy, różnokształtne fiakry i pyszne karety; na Tamizie tysiące łódek i parowców z nią się snuje; koleje żelazne jakby magiczną siłą ujęte zabierając największe jéj nagromadzone tłumy i unosząc daléj z równą szybkością jak na bajecznym niegdyś kobiercu perskim, wysadzają je zwolna na te i owe strony po drodze, by rozchodziły się do owych schludnych, częstokroć pysznych mieszkań, gdzie rzeczony *comfort* się rozgościł i powabnym dla podróżnych przymila się uśmiechem. Jak bogacz tak i najuboższy znajdzie tam miarkę szczęścia dla siebie odmierzoną, aby tylko w ich progi wstępował z czystym umysłem i przestawał na swym dziale. Dziwna rzecz! jakto jedna zasada praktyczna szczęśliwym trafem wynaleziona, a któréj się naród raz silnie pochwyci, zdolna jest w skutku stać się potężną dźwignią dobrego jego bytu, szczęścia i wielkości! Mylą się przeto ci, co nic w tém nie widzą prócz materyalizmu, i zwykle go Anglikom zarzucają czyniąc go przedmiotem szyderstwa. Niema narodu pod słońcem któryby więcéj miał rozwiniętego w sobie duchowego życia. To życie duchowe nie zostaje tu czyjąś wyłączną własnością lub przywilejem, lecz stało się udziałem całego narodu i wszystkie warstwy społeczeństwa są niem przeniknione: widać jego objaw w rozlicznych instytucyach narodowych które są jego wynikiem, a bardziéj jeszcze na obszerném polu wiedzy i umiejętności ludzkich. Czemu to życie nie jest postrzegane, to dla tego, że jak duch w ciało tak ono jest wcielone w praktykę. Maż to Anglikom być poczytane za naganny materyalizm, że nie ślęczą przy teoryach jak inne narody, ale już zastósowali je u siebie? Nad podwójne to wysilenie umysłu, mianowicie nad teoryę oraz zastósowanie jéj, co właściwie stanowi postęp, jakiż spirytualizm może być przekładany jako szlachetniejszy? Spirytualizm

bez zastósowania jest bezpłodnym kwietyzmem Wschodu, jest nieruchomością.

Wyszła z pod prasy biografia roczna (*Annual Biography*) sławnych ludzi zmarłych r. 1855. Wydawcą dzieła jest p. Watford. Wyliczam imiona tych których żywoty są opisane, a strata ich była najdotkliwszą dla kraju. Do takich należeli lord Raglan naczelny wódz wojska w Krymie; Józef Hume i Sir Robert Inglis, znani członkowie parlamentu; jeden radykał, drugi torys. Sir William Molesworth minister osad; lord Truro znakomity prawnik; Samuel Rogers, nestor poetów angielskich i panna Mitford poetka i autorka wielu popularnych dzieł prozą; De la Beche i Greenhough, znani badacze geologii. W tym tak świetnym poczcie zgasłych znajdują się także żywoty Adama Mickiewicza i hr. Waleryana Krasińskiego. Dla ostatniego składają się dziś na wzniesienie skromnego pomnika.

Inném ciekawém dziełem jest historya Gustawa Adolfa (*History of Gustavus Adolphus*), tudzież wojny trzydziestoletniéj aż do śmierci tego sławnego króla w bitwie pod Lützen — napisana przez p. Chapmana. Z niéj wyczytuję, że Gustaw Adolf był wielkim lingwistą; oprócz klasycznych języków greckiego i łacińskiego, znał celniejsze nowoczesne języki europejskie a między niemi i polski. Za młodu bo niemając jak lat dwanaście, mógł już nim rozmawiać. Uczył się go zapewne w widokach na koronę polską, do któréj jako Waza rościł sobie prawa.

Zwróciło tu także na się uwagę dzieło: „Znamiona Czasu“ (*Sings of the Times*) napisane po niemiecku przez pana Bunsen, a tłumaczone przez pannę Winckworth, znaną tłómaczkę niektórych pism Niebuhra. Chevalier Bunsen — bo pod takim tytułem jest on tu znany — był jak wiadomo posłem pruskim aż do czasu wypowiedzenia wojny Rosyi, mąż niemniéj z nauki jak z szlachetnych przymiotów duszy wielce poważany. Ztąd wspomnione pismo jego ma tu wziętość i niemal urok, chociaż z treści swéj nie zaleca się nowością. P. Bunsen zapatrując się ze stanowiska człowieka stanu na obecny religijny i polityczny stan Europy, spisuje swe postrzeżenia nad nim w formie listów do swych przyjaciół, które razem zebrane tworzą spory tom. Najgło-

wniejszem z jego spostrzeżeń, czyli objawów teraźniejszego wieku, według jego mniemania jest zupełny brak religii; w czém nie różni się on od angielskiego pisarza Carlyle który toż samo przed nim utrzymywał. P. Bunsen pociesza nas wszelako tem, że jako najgrubsza ciemność nocy bywa przed zajaśnieniem porannéj zorzy, tak właśnie świat jest obecnie jakoby na przejściu z pomroki go ogarniającéj do nowego światła: do życia duchowego, a nawet do zupełnie nowego objawienia w religii. Na dzieło pana Bunsena zapatrywać się zawsze należy ze stanowiska protestanckiego. W Niemczech sprawiło ono wielkie wrażenie lecz wywołało również opozycyę, która się objawiła nie tylko w czasopismach ale nawet w osobnych dziełach z tego powodu pisanych. Autor bynajmniéj nie rozpacza, lecz pełen jest otuchy i współczucia dla rodu ludzkiego; smuci się tylko i lituje nad jego ubóstwem — a osobliwie nad brakiem duchowego żywiołu i życia. Przedmiot tych listów wydający się na pozór powszednim, nie jest w istocie takim dla myślącéj części czytelników — tchnie wiarą, nadzieją, miłością — sprawia ulgę wśród niedowiarstwa, zwątpienia i samolubstwa. Każda karta nosi znamie wzniosłéj moralności i niepospolitych zdolności umysłowych z których p. Bunsen zaszczytnie jest znany. P. Bunsen usunął się od spraw publicznych i osiadł w Heidelbergu.

Antoni Kłobukowski Redaktor odpowiedz. Antoni Czapliński Rząd. Druk.